

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/176

1962



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Cz. MIŁOSZ : **ZACZYNAJĄC OD KLAMATH**

A. BOBKOWSKI : **ZMIERZCH**

J. MIEROSZEWSKI :
LIBERATION, CONTAINMENT I CO DALEJ ?

SPIS RZECZY

MARIA DĄBROWSKA

Czesław Miłosz:	<i>Zaczynając od Klamath</i>	3
K. A. Jeleński:	<i>Aktualność Marii Dąbrowskiej</i> ..	12
Maria Czapka:	<i>Na Polnej 40</i>	14



Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	17
Alicja Iwańska:	<i>Meksyk (dok.)</i>	26
Andrzej Bobkowski:	<i>Zmierzch</i>	42

ARCHIWUM POLITCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Liberation, Containment i co dalej</i>	61
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	70

SĄSIEDZI

Piotr Wandycz:	<i>Studium stosunków polsko-sowiec- kich</i>	77
S.W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	87

KRAJ

—	<i>Porażka Gomułki</i>	93
Stefan Kisielewski:	<i>Mój testament</i>	100
—	<i>Humor krajowy</i>	106

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapki:	<i>Tadeusz Piotr Potworowski</i>	112
—	<i>Komunikat</i>	119

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Adam Ciolkosz (opr.):	<i>Zagłada getta warszawskiego (dok.)</i>	121
-----------------------	---	-----

KSIĄŻKI

Tymon Terlecki:	<i>Zwierciadło dyrektora teatru</i>	150
Tymon Terlecki:	<i>Trylogia o Kordianie</i>	155
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	158



J.G. Görlich, K.A. Jeleński, W. Sukiennicki, F. Śmieja, A. Wasung:	<i>Listy de Redakcji</i>	159
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec – Juin

1962

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Jiri Kolaja, Lexington, Ky (USA)	9,80 NF
Z. Sikorski, Darlinghurst, NSW (Australia)	13,80 „
J. P. Pietrasz, Salem, Mass. (USA)	8,60 „
Czesław Borowicz, Buenos Aires (Argentyna)	250,00 „
John R. Walker, Lincoln, L.I. (USA)	49,00 „

DZIĘKUJEMY

NA NAGROBEK DLA ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO

Aleksander Janta, New York (USA)	49,00 „
--	---------

FUNDUSZ WYDAWNICZY STAWAR PO ROSYJSKU

Wacław Kozłowski, Buenos Aires (Argentyna)	11,20 „
Zdzisław Gałaczyński, Buenos Aires (Argentyna)	11,20 „
Stanisława Kowalczyk, Buenos Aires (Argentyna)	13,45 „
Inż. Władysław Wojciechowski, Buenos Aires (Argentyna) ..	16,80 „
Jeremi Stempowski, Buenos Aires (Argentyna)	11,20 „

DZIĘKUJEMY

◆
Ponieważ ilość odpowiedzi na naszą Ankietę ogłoszoną w kwietniowym numerze „Kultury” jest według naszej oceny niewystarczająca aby analiza mogła być naprawdę wartościowa — prosimy tych naszych Czytelników, którzy dotąd odpowiedzi nie nadali, aby zrobili to jak najszybciej, a także wpłynęli na swoich znajomych, aby wypełniali i nadsyłali nam kwestionariusze (załączyliśmy je do kwietniowej i majowej „Kultury”).

REDAKCJA

Imprimé en France

Maria Dąbrowska

ZACZYNAJĄC OD KLAMATH

Zaproszenie do wzięcia udziału w „wielogłosie” o Marii Dąbrowskiej przyszło w chwili kiedy przeżuwałem parę drobnych zdarzeń i ponieważ nie umiałbym ich się na razie pozbyć, udzielię im miejsca, może, jak się okaże, niezupełnie przypadkowego.

◆
Jednym z tych drobnych zdarzeń był nocleg w Klamath. Jest to punkt na szosie prowadzącej z Portland, Oregon, do San Francisco, przy ujściu rzeki Klamath do Pacyfiku. Mówię: punkt, bo trudno nazwać miasteczkiem kilka domków przy moście, ozdobionym u obu wylotów figurami niedźwiedzi z cementu. Domki to parę moteli, wyrażając się językiem dostosowanym do epoki dyliżansu, oberż, i kilka sklepów zalecających przybory wędkarskie, wymyślne sztuczne owady dla oszukania ryby, siatki, naboje. Rzeka Klamath drąży jar przez górską puszcę, jest w głąb leśnej głuszy jedyną względnie dostępną drogą — dla łódek z motorkiem, pchających się pod prąd, od porohów do porohów — i słynie ze swoich łososi. Zardzewiałe żelastwo za domkami (szkielet samochodu, stary piecyk, stopy rur) obrasta las. A las tutejszy jest jakby esencją leśności, jest to las z bajki dla dzieci. Przy pniach *redwoodów*, które przeżywszy lat 2.000 nie osiągną jeszcze zgrzybiałego wieku, człowiek jest rozmiarów krasnoludka. Las dotyka tutaj oceanu. Pustka, wzdłuż brzegu skały-katedry w otoczu piany, a dalej szaro-niebieskawa przestrzeń rozplywająca się w mgiełkę.

Była wiosna, ledwo rozwijała listki buczyna. Upychając rano manatki w bagażniku, co pewien czas gapilem się w niebo. Odbijało ono melancholijny ogrom w dole. Pośpiesznie dążąca

gdzieś w swoich pilnych sprawach dzika gęś, krążący orzeł rybołów. Zamyślenia przerywał mi hałas ciągników na szosie, wlokących pnie o średnicy tak na oko chyba dwóch metrów, do wielkich tartaków w sąsiednim Arcata.

Nikt z literatów polskich nie był, przypuszczam, w Klamath. Nie sądzę też, żeby o ich istnieniu słyszeli kiedykolwiek mieszkańcy tamtejszych tartacznych osad. Złożyło się tak, że znam młodego człowieka, który jest nauczycielem w tych okolicach. Wybrał ustronie jak się zdaje dlatego, że ma tam mnóstwo przyjemności: *skin-diving* czyli podmorskie polowania, wyprawy na kampingi w domenę łakomych niedźwiedzi, nawiedzających nocą obozowiska żeby tam grzebać się w nieopatrzone pozostawionych koło namiotu zapasach, i tak dalej. On też, podejrzewam, nie umiałby wymienić ani jednego polskiego autora, co absolutnie nie przeszkadza mu żyć i cieszyć się światem. Korzystałem więc ze szczególnego przywileju: jedyny na obszarze iluś tam setek mil łączyłem krajobrazy ze swoistą, mnie tylko właściwą, wiedzą. Myślałem na przykład o Orzeszkowej i jej *Nad Niemnem*. Legenda Jana i Cecylii z tej powieści, o założeniu osady w puszczy przez dwoje ludzi, którzy wymknęli się prawom społeczeństwa, jest bardzo amerykańska. Choć raczej bliska duchowi wczesnego osadnictwa, na wschodnim brzegu kontynentu. Dzieje żyznej nadniemeńskiej doliny, uprawianej przez potomków Jana i Cecylii, Bohatyrowiczów, w ciągu kilku stuleci, są dziejami powolnego, organicznego wzrostu zamkniętej wspólnoty przed-przemysłowej. Ta faza trwała na północno-amerykańskim lądzie krócej, choć też miała kołowrotki, domowe warsztaty tkackie, miejscowych kowali i kołodziejów. Ale tutaj, nad Pacyfikiem, biały człowiek zjawił się późno, kiedy samowystarczalność jego wiejskich gmin dobiegała już kresu. Tutaj raczej widzi się jak wielorakie są sposoby podboju natury, niekoniecznie wegetatywność, żeby tak rzec, więzi międzyludzkich im towarzyszy. Zbudowano mosty i szosy, które są arcydziełami, zwłaszcza jeżeli zważyć na układ terenu, konieczność wykorzystania krętych wąwozów rzek, wiercenia skały. Narzucono naturze swoją siłę zdobytą w przemysłowych centrach. Pionierstwo wozów krytych płótnem, ciągnionych przez woły, mignęło jak w przyspieszonym filmie, Jan i Cecylia toporem torując sobie drogę, na starość używali samochodu.

Legenda Jana i Cecylii jest bardzo amerykańska także przez to, że wyraża się w niej nostalgia, ta sama co w baśni o Johnny Appleseed, który wędrował na zachód opętany jedną manią, sadzenia wszędzie jabłoni. Ta sama, co utrwaliła się w pietyzmie dla pamiątek pierwszego osadnictwa, kulcie starych amerykańskich mebli, kołowrotka, samodziła, stylu *colonial* w architekturze. I śmiem wysunąć hipotezę, że Orzeszkowa wpisała tę legendę w powieść pod wpływem jakichś lektur nierodzimych. Mit amerykański nawiedzał różne literatury europejskie, poczynając od *Atala* Chateaubrianda. Polskiej nie na-

leży tu wylądować. Ktokolwiek odczytuje uważnie *Listy z Ameryki* Sienkiewicza i oglądał stepowo-pustynne regiony Stanów, nie potrafi długo opierać się podejrzeniu, że Dzikie Pola są po prostu tylko odpowiednio podkolorowanym na ukraińsko *Far West'em*. W zaludnianiu Dzikich Pól bohaterami Sienkiewicz używał takiego procederu jak współczesny mu Karol May, twórca nieustraszonego i niezwykłego Old Shatterhanda, rycerskiego Winnetou, krwiożerczych a tchórzliwych Pawnisów. Że taki romans przygód jak *Ogniem i mieczem* stał się niemal księgą narodową, to już przypisać trzeba i zaletom języka i okolicznościom politycznym.

Legenda Jana i Cecylii w *Nad Niemnem* zmusza co najmniej do zastanowienia. Wypadałoby zbadać kiedy zaczyna wchodzić w użycie słowo „kresy”, zakładające pojęcie polskiej kolonizacji. Za czasów Mickiewicza nikt o Litwie jako „kresach” nie mówił. W istocie napływ przybyszów z zachodu w dorzecze Niemna był zawsze dość słaby, jeżeli nie liczyć przedsiębiorczych jednostek ze szlachty, niekoniecznie zresztą tylko polskiej. Jeden na całą okolicę mazurski zaścianek Dobrzyńskich w *Panu Tadeuszu* — bo reszta to rdzenni, „Litwini”, jest tutaj dość wymownym przykładem. Genealogia zaścianka Bohatyrowiczów, od początków, od wykarczowania pierwszego pnia, zdaje się być u Orzeszkowej odbiciem politycznych niepokojów, obroną indygenatu kupionego pracą przed uroszczeniami zaborców.

Ale mniejsza o dygresje. Orzeszkowa towarzyszyła mi w Klamath jako zastępczyni różnych rzeczy mało określonych, spleciona była z „Jedźmy, nikt nie woła”, „Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej”. Wszelka wyobraźnia jest zlokalizowana, nosimy w sobie geografie pozostałą z dzieciństwa, uzupełniając ją, przebudowując, ale nigdy po prostu dodając, zawsze nakładając nowe widoki na stare i swojskie. Potrzebowałem paru nadniemeńskich grusz. Co nie przeszkadzało mi myśleć o dobrej i mądrej pani Elizie także inaczej, nie tylko jako o przeszłości. Niby staroświecczyzna, ale tak naprawdę to problematyka Orzeszkowej jest w polskiej literaturze nadal aktualna, choć jakby zatajona, przesłonięta wstydliwie naj-naj-wyszukańszymi ornamentami. Justyna z *Nad Niemnem* pożytku takich ornamentów nie rozumiała, choć i wtedy ich nie brakło. W jej osobie Orzeszkowa przedstawiła swój lęk przed zdradą wślizgującą się okólnie, podstępnie, zdradą wobec wartości elementarnych. Ci na szczytach społecznych, wykształceni, ocytani, błyskotliwi, nie lubili pamiętać, że ich „europejskość” była pozorna, że kiedy rozprawiali o sztuce monachijskiej i francuskich nowościach nie pozbywali się przez to piętna. Justyna, uciekając z dworu do zaścianka, słuchała wewnętrznego głosu, a ten jej podszeptował, że wartości elementarne powinny być pierwsze i że są należycie przechowane właśnie we wspólnocie gdzie wszystko jest organiczne, naturalne, nietknięte dezintegracją. Jej

ręce czarne od pracy w polu wyobrażały ostatecznie ręce autorki rozwiązującej ten sam problem, biorącej na siebie czarną robotę literatury w służbie. W służbie zaakceptowanej z miłości do ludzi małych, tych co to w *Nad Niemnem* zachowują wierność a „tak” i „nie” nie poddają dyskusji.

Jeżeli ktoś powie, że nie widać tu nic wspólnego z Marią Dąbrowską, zaprzeczę. W każdej literaturze istnieje większa ciągłość niż się wydaje, choć różne przełomy, zgiełk szkół i kierunków, zdolne są tę ciągłość na długo niekiedy zamazywać. Postępowa inteligencja warszawska, pomimo wszelkich przeobrażeń, znajdowała swoje opinie równie dobrze w kronikach tygodniowych Prusa jak w kronikach tygodniowych Słonimskiego, podobnie Orzeszkowa, pisarka populistyczna i demokratyczna w kraju, który znał wielkie demokratyczne porywy, ale demokracji mało zakosztował, nie pozostała bez spadkobierców. Nie znaczy to wcale, że chciałbym szukać wpływów literackich czy porównywać rangę pisarską tych dwóch autorek. Nie to mnie tutaj obchodzi. Ich pokrewieństwo przypisać trzeba względnie małym zmianom w samej tzw. polskiej rzeczywistości. Dla tych z pokolenia Dąbrowskiej, którzy, studiując jak ona za granicą, zdobywali się na poważną konfrontację rodzimej społecznej budowli z zachodnią Europą, było dość jasne, że ich kraj to nie kilka większych miast ale wieś i że od tego, kim będą mieszkańcy nowej wsi, już bez sukman i małowicznych krakowiaków, zależy przyszłość. Punkt obserwacyjny Orzeszkowej — jakieś Grodno, jakaś prowincja — nadal okazywał swoją przydatność.



Maria Dąbrowska-pisarka dojrzewała w okresie kiedy literatura polska chętnie powoływała się na przywilej wolności sztuki. Od chwili manifestu Przybyszewskiego droga eksperymentu była otwarta. Nowela społeczna z życia wiejskiej biedoty, jaką uprawia w młodości Dąbrowska, trąci pozytywizmem i robi wrażenie perwersyjnej skromności, na przekór komuś. Jeżeli kipiały w tej literaturze, i wtedy i zwłaszcza później, dyskusje o proletariacie, o rewolucji, dotyczyły one doktryn, nie ma co ukrywać, miejskich i przykrajanych „na wyrost”. Ale książki o przyziemnych (nudnych?) kłopotach wsi i o potrzebie reformy rolnej nie napisał w latach 1918-1939 nikt z polskich literatów, nikt z wyjątkiem Marii Dąbrowskiej. Skromna i piękna proza posłużyła jej też do ułożenia dzieła, które formalnie można zaliczyć do gatunku *roman fleuve*. Tak jak w tym samym czasie Roger Martin du Gard, Dąbrowska w *Nocach i dniach* szukała genealogii dzisiejszości. Brała na warsztat przeciętne żywoty, drążąc je, pokazując dramaty istnień ludzkich w środowisku, zewnętrznie przynajmniej, dokładnie przypominającym środowisko powieści Orzeszkowej.

Pani Eliza jako młoda dziewczyna przeżyła tragedię i narodową i swoich najbliższych przyjaciół: „Wytoczony w walkach strumień krwi najlepszej. Powstanie tu było zaciętsze, upartsze niż w Królestwie. Najmężniejsi, najszlachetniejsi, najgoręcej milujący zginęli od kuli, od zsyłki, od wychodźstwa... — Legł pod kulami i na stepach północnych, zawisł na szubienicy zastęp szlachetnych, młodych demokratów — braci po duchu wczesnej młodości mojej! — wiem jak liczny, jak bujny, jak zapalony duchem świętym”. (*Listy* — list do A. Drogoszewskiego).

Dąbrowskiej dane było doświadczyć na pewno nie mniej. Największe jednak rozpętanie diabolicznych sił historii przypało na jej wiek dojrzały. I jest coś bardzo przejmującego w fakcie, że kiedy ludzie w Polsce ostatnich paru dziesięcioleci rozglądali się za autorytetem moralnym wśród literatów, zatrzymywali się zawsze na jednym nazwisku, pisarki niechętnie odnoszącej się do zbyt górnych słów i zbyt górnych idei, *tylko* populistycznej i demokratycznej. Górne słowa i górne idee pękały, rozsypywały się. Co było potrzebne, to wiara w nienazwany, wymykający się słowom a niezawodny instykt ludzi prostych. Nie twierdzę bynajmniej, że Dąbrowska znajdowała ostoję w organicznych więziach wspólnoty przed-przemysłowej. Przynależność jej do dwudziestego wieku i wrażliwość na przemiany, jakie niesie ze sobą industrializacja nie ulega wątpliwości. Jej wiara zdaje się pochodzić z przekonania, że w człowieku jest jakaś szala, która po chwilowych wahaniach i zakłóceniach powraca do równowagi, tak że nie uda się go całkowicie zatamizować ani wykorzenieć. „Środowisko” literackie i kawiarnia niestrudzenie produkowały doktryny i mody. Ale głodny nie naje się ciastkami. Dąbrowska i przed wojną i po wojnie starała się wypiekać chleb.

Kto wie, może to zestawienie, o które nie kusiłbym się pewnie gdyby nie Klamath, zyskuje dodatkowy sens skoro włączymy tu jeszcze osobę Józefa Conrada. Trzy różne obsesje wierności. Orzeszkowa skrzywdziła Conrada swoim znanym artykułem zarzucając mu zdradę. Dąbrowska naprawiła krzywdę, przyczyniając się swoimi szkicami, jak mało kto w Polsce, do uszanowania jego powikłań. Tę trójkę prozaików, pomimo wszelkich różnic, zbliża wspólny im upór w uczepieniu się „kilku prostych zasad”.



Drugie drobne zdarzenie wyglądało jak następuje. Zapaliłem świecę i długo, starannie wiązałem przed lustrem halsztuk. Następnie dorzuciłem drew do kominka i zasiadłem w fotelu z małą książeczką pobudzającą do marzeń. Książeczka ta, wydana w roku 1762, wywarła niemały wpływ na dzieje ludzkości, a właśnie ze względu na ów wpływ doczesne szczątki jej autora przechodziły zmienne koleje. Umieszczono je w Panteonie, ale

wkrótce, kiedy zmienił się ustrój, znieważono i wyrzucono do piwnic, po to tylko, żeby po nowej rewolucji znów wywindować je na miejsce poczesne, za powiewem nowego mroźnego politycznego wiatru przenieść do piwnic, i tak dalej, kilka razy. Świece i halsztuk wolno, jeżeli ktoś jest podejrzliwy, uważać za hiperbolę (ale kominki są rzeczywiście nad Pacyfikiem). Co do książeczki to jej tytuł brzmi: *Du Contrat Social*. Autorem jej jest Jan Jakub Rousseau.

Ten jeden z najbardziej politycznych traktatów w światowej literaturze został napisany w intencji anty-politycznej, w każdym razie z wyraźnego wstrętu do zawodowych polityków. Do nich przecie odnoszą się w nim następujące słowa: „W kwestiach moralnych granice możliwości są mniej wąskie niż przypuszczamy: jedynie nasza słabość, nasze przesady, nasze wady je zwężają. Niskie dusze nie wierzą w istnienie wielkich ludzi: podli niewolnicy uśmiechają się szyderczo słysząc słowo wolność”. I jeszcze: „Pokój, jedność, równość są nie do pogodzenia z politycznymi subtelnościami”. Rousseau chciał być następcą Machiavella, którego uważał za przyjaciela florenckiego ludu. Rady jakich Machiavelli udzielał Księżciu były jego zdaniem tylko formą obraną po to żeby oszukać cenzorów, pod nią kryło się ostrzeżenie dla rządzonych. W *Du Contrat Social* jest też już zawarty cały program romantyków, zwłaszcza polskich romantyków: z Ludami przeciwko władcom, politykom i dyplomatom.

W dwieście lat po wydaniu tej książeczki triumf Rousseau jest całkowity i porażka jego jest zupełna, co niestety zdaje się być losem wszystkich niemal ludzkich idei. Triumf, bo nie ma teraz bodaj ani jednego kraju na świecie, z wyjątkiem może Abisynii, gdzie by nie powoływano się na *volonté générale* ludności. Fikcyjne wybory w państwach rządzonych autokratycznie są holdem składanym pamięci Jana Jakuba. Porażka, bo nigdzie prawie nie widzimy dzisiaj systemu jaki zalecał Rousseau twierdził, że władza stanowienia praw nie może być przez lud nikomu delegowana. O parlamentaryzmie angielskim odzywał się uszczypliwie: „Wszelka ustawa, jakiej lud *osobiście* nie ratyfikował jest nieważna”. Ideałem jego było ogólne zgromadzenie ludności — na Forum, jak w Rzymie, czy pod drzewami, jak w jego rodzinnym kantonie Genewy. Zakładał też, że warunkiem wolności jest małość państwowych organizmów i duże państwa odpisywał na straty: „Ponieważ wolność dojrzewa nie w każdym klimacie, nie jest ona wszystkim ludom dostępna”.

Ten ideał Rousseau przetrwał gdzieś niedługo w postaci plebiscytów czy powszechnego referendum, ograniczonego jednak zwykle w zakresie przedmiotów decyzji. Poza tym szukano innych rozwiązań, oddalając się od wskazań genewskiego filozofa, czemu trudno się dziwić, zważywszy na stan zaludnienia. Jak dotychczas poza dwoma rozwiązaniami nie wynaleziono nic. Pierwsze z nich polega na delegacji władzy przez suwerena

tj. przez lud, a więc na wyborach do parlamentu. Sposób ten nie znalazłby łaski w oczach Rousseau, który zauważał z przekąsem, że mieszkańcy Anglii są wolni tylko w dniu wyborów. Zalety tej metody są raczej negatywne niż pozytywne czyli bardziej chroni ona przed czymś gorszym, niż zapewnia dokładny obraz zbiorowych dążeń. Rządzeni uzyskują możliwość kontroli, a tylko dzięki kontroli da się zachować to dobro nie do pogardzenia, jakim jest praworządność. Drugie rozwiązanie polega na tym, że pewna grupa, zorganizowana jako partia, przypisuje sobie cnotę i mądrość, traktując resztę obywateli jako dzieci nieświadome swoich interesów. Pozostawione samym sobie, dzieci bawiłyby się ogniem czy połykałyby trucizny. Toteż wolno im głosować, ale tylko na nauczycieli. Wprawdzie takie wybory przypominają praktyki co weselszych średniowiecznych duchownych, którzy w post mianowali comber jeleni rybą i zjadali tę rybę *honoris causa* już wolni od grzechu, ale pozory szacunku dla *volonté générale* są zachowane. W imię pedagogii dzieciom zapewnia się nawet samorząd, sprządzający się do utrzymywania czystości w klasie i sprzedaży ołówków. Państwa o takim ustroju lubią zapewniać, że są praworządne. Jeżeli jednak nici władzy ustawodawczej, wykonawczej, sądowej i kontroli zbiegają się jednej komórce partyjnej hierarchii, a ściślej, co wydaje się nieuniknione, w rękach jednego człowieka, jest to praworządność najwyższej we wzajemnych stosunkach pomiędzy szczeblami administracji, nie większa niż w Rosji Mikołaja I. Puszkina mawiał o ówczesnym rządzie że jest jedynym w Rosji Europejczykiem i że gdyby mu się tylko podobało, mógłby być dziesięć razy sroższy. Podopieczni w takich warunkach zerkają z obawą ku górze, oczekując stamtąd gromów a już sam brak gromów ich rozrzewnia.

Niewiele więc zostało z marzeń samotnego wędrowca po górach Sabaudii. A przecież, jakiegokolwiek są straty, istniała i istnieje korektywa, jakby namiastka woli ludu wyrażanej przez podniesienie rąk: opinia publiczna, którą kształtuje przede wszystkim słowo pisane. Gdyby ten czynnik był bez znaczenia, nie wydawano by tylu milionów na propagandę. W dziewiętnastym wieku już prasa stawała się potęgą, ale największą wagę miał głos poetów i powieściopisarzy. W Polsce literatura zastępowała instytuty Gallupa, referendum i parlament, co prawda powoli tylko ucząc się odgadywać znaki na migi dawane przez „wielkiego niemowę”, masy analfabetów.

Trudno przewidzieć czy i jak te obowiązki będą sprawowane przez literaturę w przyszłości. Od dość dawna przebiegają przez środowiska literackie w Europie fale zniechęcenia i obrzydzenia do spraw publicznych. Bezsilność, czy to wobec „strasznych mieszczań”, jak we Francji z połowy ubiegłego stulecia, czy to wobec państw-gigantów jak teraz, doradza chronić się w „sztukę dla sztuki”, która ma już bogatą tradycję i nadal kwitnie, choć dla przyzwoitości nadaje się jej coraz to nowe

nazwy. Prawdopodobnie jednak literatura chcąc nie chcąc zawsze świadczy, nawet jeżeli jak pan Jourdain nie wie, że przemawia prozą. Koszmar Kafki zapewne był dla jego pierwszych czytelników wyrafinowaną, wysoce indywidualną i indywidualistyczną wizją artysty. Nie jest tym dla nas.

A teraz od Rousseau do Dąbrowskiej. „Zaangażowanie” literatury polskiej po roku 1945 jest dość pozorne, chyba że utożsamia się literaturę z propagandą, czego robić nie warto. Temat, który znajduje współbrzmienie w sercach obywateli porusza się najczęściej jeden — okrucieństwa niemieckie, co do których wszyscy są zgodni, jest to jednak eksploatacja tego co minęło. Pod powierzchnią zawitych teoretycznych wypowiedzi czai się obojętność wobec państwowych instytucji, urządzenie których nie zależy od przeciętnych śmiertelników. Świadomość znikomej roli jednostki zamyka ją w sferze prywatnego życia i osobistych stosunków. Lud, drogi Janowi Jakubowi i polskim romantikom, wystąpił po wojnie jako suweren raz tylko, w 1956 roku, przyjmując Gomułę przez aklamację, równą podniesieniu rąk pod dębami. Nie był to jednak akt ustawodawczy: o konstytucję, o ustrój rządzący go nie pytali, jakkolwiek w jednej dziedzinie, organizacji rolnictwa, wolę chłopów wtedy ujawnioną wzięli pod uwagę. Zdolność do wybuchów u rządzących, przykryta grzecznym milczeniem, dostarczyła wtedy nie tylko w Polsce lekcji. Takie lekcje się zapomina, ale nie od razu.

Użyłem w zastosowaniu do Dąbrowskiej przymiotnika „populistyczny”, choć nie stosuje się go niemal wcale w polskiej literaturze. Trafia on jednak o tyle w sedno, że kojarzy się z postawą uważnego nasłuchiwanie jak trawa rośnie czy też co się dzieje w *grass roots* — brak odpowiednika tego anglosaskiego wyrażenia w polskim języku. W przeciwieństwie do większości swoich kolegów, Dąbrowska nigdy nie umiała oprzeć się presji „dołów”, tej rozdzierającej, bo niemej, skar-dze, która woła: „nie kłam”. Przez dziesięć lat, do roku mniej więcej 1955, ogłaszała tylko utwory przedwojenne i tłumaczyła *Dziennik* Samuela Pepys’a. Ta jej wstrzemięźliwość była znacząca. Potem przydarzyło się jej coś dziwnego. W tzw. okresie błędów i wypaczeń była za mało upolityczniona to znaczy nie zdradzała ochoty do propagandy. Po krótkim zrywie prawdziwego tym razem zaangażowania, literatura odwróciła się od kwestii publicznych z odrazą, odrabiając artystyczne zaległości i pochłaniając przy okazji mnóstwo obrzydliwych odpadków z paryskiego śmietnika. Wskrzeszonej młodopolskiej kawiarni nie podobała się Dąbrowska, nie podobało się kilku pisarzy podziwiających jej troski, tym razem dlatego, że wolne zatomizowane dusze (jak je określał Brzozowski) nie mogą przecie zajmować się społeczeństwem tj. nudziarstwem. O parę kroków od tych zachodnich lokali ludek, jak w 1900 r., czytał sobie Kraszewskiego i Orzeszkową, a starannie omijał podrabiany egzysten-

cializm, nastawiając uszu tylko jeżeli zaleciało mu w nim polityczną aluzją. Co prawda czytał więcej i do listy swoich autorów dodawał już Dąbrowską. Niestety sławiona nowoczesność wymaga czegoś więcej niż eleganckie zapożyczenia. Kafka czerpał całą awangardowość ze swojej Pragi, Bruno Szulc ze swojego galicyjskiego miasteczka. Ludek, pomimo wszystko, dość sprytny, jest ostatecznie nikim innym tylko Ludem, nosicielem *volonté générale* Jana Jakuba Rousseau. I prawie na pewno lepsza literatura będzie wyłaniała się ze złożonej, ale uczciwej gry piszących ze zbiorowymi aspiracjami — przez ich przejęcie, zamknięcie pod szyfrem czy taką ich artystyczną transformację, żeby „naród zobaczył się w jestestwie swoim”. W tej linii dziedzictwa, z której wyłamać się bezkarnie prawdopodobnie nie można, Marii Dąbrowskiej przypada stanowisko zaszczytne.



Zdaję sobie sprawę, że pochwała Dąbrowskiej w moich ustach brzmi nieprzyzwoicie. Egoista ogłaszający zwycięstwa altruisty? Cudzym kosztem? Dąbrowska mieszka tam gdzie wspomnienie Rousseau wywołuje melancholijny uśmiech: jakaś abstrakcja! Tutaj, pomimo całej techniki, a może poprzez nią, zachował się powiew optymistycznego osiemnastego wieku, jak zachowały się niedźwiedzie i leśna przyroda, tam znana z opisów pisarzy, którzy nigdy w dorzeczu Wisły nie mieszkali, tylko gdzieś nad Niemnem, Wilią czy w Karpatach. I tu mi wygodniej. Wygodniej z dala od złowrogiej powtarzalności, z jaką co parę dziesiątków lat powraca polemika „o ludziach rozsądnych i ludziach szalonych”. Nie muszę udzielać odpowiedzi na pytanie czy mieszkańcy Polski są dziećmi, które pozbawione nadzoru opiekunów zjadałyby pastę do podłóg i bawiły się zapałkami. Może tak a może nie. Szczerze mówiąc, gdybym tam mieszkał, zbłądziłbym się. Z niechęci do patetyczno-narodowego repertuaru popadłbym w drugą skrajność, brak mi muzycznego słuchu. Jest umiejętność filtrowania danych każdej sytuacji, tak że co najbardziej istotne pozostaje *poza* rozważnym i niezbitym rachunkiem, ale umiejętność tę rzadko posiadają intelektualiści, częściej konduktor tramwajowy, budylnik czy wąsaty wieśniak. Dąbrowską podziwiam więc za to, czego mi brak, czego umiała uczyć się gdzie należy.

Czesław MIŁOSZ

AKTUALNOŚĆ MARII DĄBROWSKIEJ

Często się zdarza, że interesujący się sprawami polskimi cudzoziemiec zapytuje mnie kto ze współczesnych Polaków ma we własnym społeczeństwie największy i najbardziej powszechny autorytet moralny. Odpowiadam wówczas bez wahania: Maria Dąbrowska. Trudniejsza jest odpowiedź na następne pytanie: dlaczego? Istotnie — dlaczego ta krucha, drobna starsza Pani o miłym uśmiechu i cichym głosie cieszy się szacunkiem „elity intelektualnej” i mas czytających, komunistów i katolików, kraju i emigracji, Gomułki i Wyszyńskiego, Schaffa i Tatarkiewiczza, Słonimskiego i Putramenta, Gottesmana i Kisielewskiego, Andersa i Ciołkosza?

U podłoża tkwią oczywiście „Noce i Dnie”. Dwudziestowieczne europejskie sagi rodzinne, powieści-rzeki, są wszystkie poświęcone mutacji centralnej w danym społeczeństwie klasy między dwiema rewolucjami przemysłowymi. Ich niewątpliwa siła atrakcyjna polega na obiektywizacji procesu, który poszczególne klanom, rodzinom, jednostkom, wydawał się spowodowany im tylko właściwym losem. Oplakiwane „przypadki” bankructwa, licytacje, czy też powolne dostosowanie się do nowych warunków, „pechy” czy „nieszczęścia” stają się tu zrozumiałe w szerszym kontekście, dojrzała wizja zastępuje prymitywny infantylizm. „Noce i Dnie” pomogły polskiej inteligencji wyrosnąć z odziedziczonej nostalgii do utraconych dworców, pomogły jej zrozumieć nieunikniony charakter przemian społecznych.

Na to jednak żeby przetrwał dzień powszedni, rozciągnięty na dziesiątki lat i kilka tomów, trzeba szczególnych cech pisarskich, które w naszej epoce posiadali, poza Dąbrowską, bodaj tylko Tomasz Mann i Roger Martin du Gard. „Saga Rodu Forsyte’ów”, przyjęta w swoim czasie jak arcydzieło, wydaje się dziś nieznośna, tyle w niej źle ukrytego snobizmu, kokieterii. Duhamel, Jules Romains stali się nieczytelnymi z ich deklaratywnym humanizmem, pozorną „głębią”. Czemu zawdzięczają swe przetrwanie Buddenbrookowie, Thibault, Niechcice? Temu, że ich twórcy chcieli naprawdę zrozumieć postacie, które stworzyli, społeczeństwo, które opisywali. „Noce i Dnie” są wielką książką, są zarazem książką uniwersalnie dostępną, dlatego że jest to dzieło głęboko uczciwe.

Prestiz literacki nie jest równoznaczny z prestiżem społecznym, moralnym. W wypadku Dąbrowskiej jednak, każdy wrażliwy czytelnik czuje, że to dzieło, pozbawione nieznośnych cech zewnętrznego moralizatorstwa, jest na wskroś autentyczne, że u jego podstaw stoi dość wyjątkowy zestaw motywów szczególnie ważkich w życiu społecznym: rozum i sceptycyzm; współczucie i stoicyzm; uniwersalizm i partykularyzm. Jest to dzieło zara-

zem bardzo ludzkie i bardzo polskie. Nic dziwnego, że styl życia Marii Dąbrowskiej jest tak bliski stylu jej dzieła. Nie jest przypadkiem, że wybrała ona za młodu studia przyrodnicze, socjologiczne, gospodarcze. W jej formacji intelektualnej czuje się ślady wielkich cieni XIX wieku: Darwina, Malthusa, Marksa. Ale Dąbrowska nie podziela optymizmu zeszłego wieku (który zbyt często dziś się określa jako „płytki”), ani jego elementów utopijnych (również zbyt łatwo dziś określanymi jako „naiwne”). Ogólną reakcją na racjonalizm XIX wieku były wszystkie prądy irracjonalne w których jesteśmy po dziś dzień pogrążeni. Słownictwo dzisiejszych intelektualistów jest do znudzenia monotonne: egzystencjaliści, fenomenologowie, pseudo-marksiści, nowocześni katolicy (od św. Husserla i św. Kierkegaarda), personaliści — wszyscy szermują *angst*’em, alienacją, dialektyką, demistyfikacją, niepokojem, buntem, skandalem, zakwestionowaniem. Politycznie (i z przyzwyczajenia) na „lewicy” (czyli po stronie rozumu, wolności i sprawiedliwości), intelektualnie coraz częściej wybierają oni świat spirytualizmu lub absurdu, którego logiczną konsekwencją w życiu społecznym są prawicowe zasady przetrwania i porządku, tradycji i ładu. Maria Dąbrowska jest również człowiekiem i pisarzem na wskroś współczesnym, ale jej podejście do najtrudniejszych problemów ludzkiej psychiki i międzyludzkich stosunków przypomina podejście Conrada, któremu poświęciła piękną książkę; nie jest rezygnacją z praw rozumu, ale stoicką odpowiedzią na pozorne granice rozwiązań racjonalnych. Działalność społeczna Dąbrowskiej długo była związana z ruchem spółdzielczym, który był prawdopodobnie jedyną alternatywą totalizmów naszej epoki i na którego aktualność wskazują dzisiejsze poszukiwania rewizjonistów tak świata „socjalistycznego”, jak „kapitalistycznego”. Stałe zainteresowanie Dąbrowskiej problemami ludzkiej pracy, ma również we współczesnej socjologii bardzo żywe odpowiedniki, w miarę jak zaczyna górować przekonanie, że prawdziwym rozwiązaniem jest może nie tyle „uwolnienie” się od pracy, co jej ożywienie. „Ludzie stamtąd” i napisane przed pierwszą wojną „Rozdroże” — traktat o konieczności radykalnej reformy rolnej — są dowodem jak głęboko Dąbrowska rozumiała zawsze zasadnicze polskie problemy.

Tłumacząc to wszystko memu zachodniemu rozmówcy i spostrzegam się, że właściwie nie jest to jeszcze odpowiedź na pytanie, które mi postawił. Lewica polska rzadko bywała również racjonalna, równie bliska konkretnych zagadnień społecznych. Maria Dąbrowska należy do najsolidniejszej tradycji polskiej lewicy, najsilniej związanej z problemami swej epoki, do tradycji, która wydała Ludwika Krzywickiego i Stefana Czarnowskiego, Stanisława Stempowskiego i T. Szturma de Sztrema, Aszkenazego i Znanięckiego. Ludzie tego typu byli zwykle w Polsce osamotnieni, równie dalecy — na lewicy — od politycznej demagogii jak od salonowego liberalizmu, zaś od nacjo-

listycznej i katolickiej prawicy siłą rzeczy odcięci. Prestiż Dąbrowskiej wśród ludzi, którzy są od niej ideologicznie nie raz bardzo oddaleni, wynika zapewne z szacunku dla wielkiego pisarza, dla prawego i odważnego człowieka. Może jednak również, wśród powodzi sloganów, wśród retoryki rewolucyjno-nacjonalistycznej, markso-piastowskiej, która z wariantami występuje od „Trybuny Ludu” do „Tygodnika Powszechnego”, mimo literackich mód i snobizmów, społeczeństwo polskie intuicyjnie czuje aktualność dzieła i myśli Marii Dąbrowskiej, która poznała psychikę ludzką, umiała jej uniwersalne aspekty uwydatnić w konkretnym, polskim kontekście, która wierzy w siłę rozumu, w wagę pracy, w konieczność więzi społecznej, w trudne prawo jednostki do wolności i protestu.

K. A. JELEŃSKI

NA POLNEJ 40

Przed laty z górą trzydziestu, bo chyba w 1925 czy 26, w Paryżu, gdzie kończyłam wtedy moje studia, spotkałam się po raz pierwszy z twórczością Marii Dąbrowskiej. Była to nowela *Noc ponad światem*, drukowana na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich”, nowela która weszła następnie do zbioru opowiadań wydanych pod tytułem *Ludzie stamtąd*: historia stróża Nikodema, dotkniętego nieuleczalną chorobą, ludziom obrzydłego i jego młodego psa Lorda. Jedynie z Lordem mógł Nikodem rozmawiać w ciągu nocy swego stróżowania, jemu jednemu się zwierzać, jego szaloną miłością się krzepić. Pies ginie, a człowiek pozbawiony ostatniego oparcia rzuca wszystko i idzie na przepaść. Wzruszenia doznanego tyle lat temu, nie zapomniałem nigdy, a stróż Nikodem i radosny Lord stali się jak gdyby podstawą mojej przyjaźni dla Marii Dąbrowskiej. Przyjaźni i wdzięczności.

Jak słusznie zauważył Jerzy Stempowski („Preuves” nr 120), niektóre cechy Dąbrowskiej przypominają kobiety polskie XIX w., które musiały podjąć cały ciężar życia i odpowiedzialność za młode pokolenie w zastępstwie mężów, synów i braci zabitych, zesłanych lub emigrujących. Wypowiedzi Marii Dąbrowskiej w okresie międzywojennym były głosem sumienia naszego pokolenia.

Maria Dąbrowska zaczęła od publicystyki, pracy społecznej i politycznej dzieląc życie męża, działacza lewicowego, następnie legionisty. Ale niebawem uświadomiła sobie istotę swoich najgłębszych zamiarów.

„Żadnych artykułów, żadnej pracy społecznej — zawyrokowała Stefania Sempołowska w pierwszej zaraz rozmowie z młodą pisarką. Niech pani to wszystko rzuci. Pani ma wielki talent

artystyczny, nie wolno go pani marnować. To jedyny pani obowiązek społeczny...” i od razu zamówiła Dąbrowskiej cykl opowiadań historycznych do pisma młodzieżowego „W Słońcu”, z czego powstała pierwsza jej książka *Dzieci Ojczyzny* („Myśli o sprawach i ludziach” 1956).

W następnym okresie, już po owdowieniu, przyjęła Maria Dąbrowska tryb życia poddany surowej dyscyplinie człowieka, który dokonał wyboru i podjął związane z zawodem odpowiedzialności i ograniczenia.

Rzadko kiedy widywano ją na zebraniach towarzyskich, jeszcze rzadziej w kawiarniach literackich. Stosunki towarzyskie ograniczyła do ciasnego grona przyjaciół, którzy wnosili w jej życie istotne wartości.

Na marginesie *Nocy i Dni*, które wypełniły długi szereg jej dni i nocy, znajdowała Maria Dąbrowska czas na publicystykę. Odzywała się jedynie w sprawach istotnie ważnych. Całym swoim autorytetem poparła plany reformy rolnej min. Poniatowskiego, występowała najsurowiej przeciwko narastającej fali antysemityzmu i haniebnym ekscesom młodzieży akademickiej („Wiad. Liter.”: *Doroczny Wstyd*), potępiała niegodne sposoby pacyfikacji Galicji, brała w obronę ludzi prześladowanych przez władzę, lub zniesławianych przez partyjną albo rządową prasę. Odwaga przekonań tej drobnej, cichej kobiety spletała się przedziwnie z nieśmiałością życiową, wahaniami i rozterką wobec zagadnień wymagających szybkich rozstrzygnięć. Jedną z przyczyn tych charakterystycznych wahań zdaje się być jej docieklivość w drażeniu każdego problemu dla poznania różnych jego aspektów i dokonania wyboru, bez uciekania się do uproszczeń lub do jakiegokolwiek „mniej więcej”. Usposobienie Marii Dąbrowskiej żywo przypomina nam Barbarę Niechcicową z jej „wiecznymi zmartwieniami”, Barbarę spleśzoną wobec dnia powszedniego, mężną i ofiarną w obliczu kłęski i przeciwności.

Maria Dąbrowska nie dbała o reklamę, nie szukała poklasków, cechy dość rzadkie, zwłaszcza u kobiet piszących, cechy które w połączeniu z niezależnością jej pióra i moralną postawą przyczyniły się — do jej wyjątkowego miru, do szerokiej poczytności, zaufania i czci polskiego społeczeństwa.

Rodem z ziemi kaliskiej osiadła Dąbrowska od swoich młodych lat w Warszawie, do której dziś już należy. Toteż tylko przez pomyłkę, pod obuchem kłęski i w rozterce ducha zdecydowała się opuścić Warszawę w początkach Września wojennego. Ale się opamiętała nim wjechała na Zaleszczycką szosę, nie chciała emigrować i ze Lwowa, gdzie przeczekwała pierwsze miesiące okupacji sowieckiej, przedarła się z powrotem do Warszawy, dzieląc z nią kłęski następnych lat, powstanie żydowskie i polskie aż do wysiedlenia wraz z całą ludnością zburzonej stolicy.

Rezerwę, której się trzymała w epoce przedwrześniowej, zdołała zachować w najcięższych, stalinowskich latach Polski Ludowej. Nie angażując się politycznie obserwowowała bezstronnie wypadki, przyjmując z otuchą a nieraz z życzliwością niejedną z zachodzących przemian. Pozytywny stosunek do życia pozwala jej ufać żywotnym siłom narodu i jego tradycyjnej zdolności oporu.

Po wojnie odnalazła Dąbrowska w mieszkaniu na Polnej cudem zachowanym od ognia i szabrowników swoją bibliotekę, swój warsztat pracy. W języku jasnym i prostym, nie zakłóconym latami kłęski podjęła ciężki, a umiłowany trud pisarski. Z radością odnaleźliśmy rytm jej prozy w drukującej się obecnie powieści *Przygody człowieka myślącego*.

„Jedno z ostatnich pouczeń, którego nam udziela doświadczenie, to że wszelkie formy sukcesu obciążone są ciężką dani-
ną” — stwierdza biolog T.H. Huxley, ten sam, który obok Darwina i Buckle'a był czytany w gronie młodzieży przez Basię Ostrzeńską, późniejszą Niechcicową.

Sądzę, że Maria Dąbrowska płaci nie bez gorczy daninę sławy. W usta znużonej jubileuszowymi obchodami aktorki z noweli *Klara i Anieli*, kładzie Dąbrowska skargę jubilatki: „Zabalsamowali mnie, skropili wodą święconą, jakby już umarłą. A ja nawet jeszcze nie zaczęłam. Żadnej z moich ról nie zagrałam jakbym tego chciała, jakbym powinna, jakbym umiała. Czy zdołam to jeszcze zrobić? Muszę — koniecznie”. (Z tłum. fr. w „Preuves”).

Huczne obchody swego jubileuszu zamieniłaby może chętnie na dawną, cichą pracownię przy ulicy Polnej, a oficjalne akademie, wywiady i *flash'e* na szczupłe grono otaczających ją wtedy, a dziś zmarłych lub rozproszonych, przyjaciół.

Życzymy Marii Dąbrowskiej męstwa i cierpliwości na te wyjątkowe chwile a następnie spokoju i ciszy koniecznych dla dopełnienia zamierzeń, dla wygrania tej upatrzanej, najlepszej swojej „rol”.

Maria CZAPSKA

Polsko-szkocki Hotel

„STRATHCONA COURT”

(Właśc. C.C. Ślęzakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą od 21 szylingów

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

Fragment z dziennika

Wtorek, Buenos Aires

Wracałem z Hurligham w nocy, samochodem, ta jazda nie chciała się skończyć, światła zabiegające i oślepiające, masy rozpedzone wystrzelające, wyslizgujące się z boków zagęszczenia domów i latarni nadpływające, i wieże radiowe, i wielkość samotnych budynków, i walące pociągi — schwytni byliśmy w sieć ruchu zrozpaczonego, nieprzytomnego. Siedziałem cichutko w komfortowej jamie samochodu. Naraz zwalniamy, skręcamy w bok z szosy, stajemy — co takiego? — inżynier Orłow, który nas wiozł, mówi głosem ledwie dosłyszalnym że musi chwilę wypocząć... jeszcze zdążył nas przeprosić i zasypia nad kierownicą. Konsternacja.

Po kilku minutach ocknął się i znowu jedziemy, choć wolniej. — Proszę się nie niepokoić... Nic takiego... Muszę się napić kawy. Zajechaliśmy przed narożny bar, będący kwintesencją snu, drzemał „moso”, drzemało kilku konsumentów kawy i grapy, spały puste stoliki, krzesła, okna, ściany, przetrzeni samej głowa się kiwała morzona śpikiem — a na zewnątrz wyrzywały pojazdy, jeden za drugim — i ta mieszanina rozpedzenia i rozespania... pęd senny, czy rozpedzony sen?...

Przybycie do domu

Mieszkanie moje także było naładowane snem — aby dotrzeć do mego pokoju musiałem przejść obok pięciu drzwi, za którymi gnieździł się sen, naprzód Roberta (Argentyńczyk, student) i Herr Kluga (handlowiec), potem don Eugenia, który jest Rosjaninem i pracuje w porcie, Basilia, który jest Rumunem i Arany, Argentyńczyka, urzędnika. Śpią, albo nie śpią. Trzeba posuwać się ostrożnie wśród tego zagęszczenia i uszanować

wypoczynek, którego nie znam... ja tu nic nie znam i nikogo, moje rozmowy z nimi to *que tal?* i *tiempo loco*, staruszek, który mieszkał do niedawna w pokoju Arany, zaczął mnie pewnego razu, czy bym nie kupił jego miedzianego łóżka, i w tydzień potem umarł.

Nasza dyskrecja jest nieposzlakowana, nie ma mowy aby ktoś komuś wyplakał się, zawył lub zaryczał, czasami tylko w nocy wstaje upiór czyjegoś jęku i krąży nad pracą oddechów. Każdy spożywa swoje życie, jak befszytk, na osobnym talerzu, przy osobnym stoliku. Czyż bym postępował lekkomyślnie nie zamykając się w nocy na klucz, któż zaręczy, że zbrodnia nie urodzi się w tym pogmatwaniu losów? Nie. Wstrętnawa dyskrecja, powstała z wycucia, że się jest dla drugiego obrzydliwością, nudą i przykrością, ta wstydlivość nakazująca unikać zbliżenia, lepiej mnie zabezpiecza od angielskich zamków. Mogę spać spokojnie. Nie zabijają. Zabraknie im śmiałości, żeby podejść.

Nazajutrz

Boże mój, cóż to za rodzaj nieskończoności nam proponujesz? Określiłbym ją jako „wewnętrzna”, zawartą we własnym naszym łonie.

Dziwne doprawdy, że nie możemy wyczerpać naszego gatunku, iż nigdy nie zdołam poznać wszystkich ludzi (daleko mi do tego!), że nie będę mógł powiedzieć: oto kres, zobaczyłem już wszystkich, więcej nie ma.

Ciągle natykać się na nowy wariant człowieka — na ludzkość w każdym odmienną — i wiedzieć, że tym wariantom nie ma końca — i że naładowani jesteśmy nieskończonością innych możliwych kombinacji — i że nie ma takiego człowieka, który by nie był możliwy w bliższej lub dalszej przyszłości... ależ to jest wewnętrzna otchłań! To prowadzi do rozwydrzenia wyobraźni! To obala wszystkie normy, psychologiczne, moralne i inne, ma się wrażenie, że jesteśmy rozsadzani nie duchem bynajmniej, a spiskiem spółkujących ciał stwarzających wariant.

Czwartek

Ostatnie czynności przed wyjazdem — jutro — z Gomezem do Urugwaju. Wyciągam walizkę.

Piątek

Aeroplan. Lazur. Wysokość 1500 — dowcip! Czyjs dowcip ze mną.

Ale naprawdę zabawne (i z trudnością powstrzymuję się od śmiechu), że oprócz mnie 49 innych, takich jak ja, buja w przestworzu. Szybujemy gromadką. Ta ilość w powietrzu jest inna od ziemskiej, i uderza mi do głowy.

Obok mój towarzysz podróży, J.C. Gomez.

W dole pięciomilionowy liszaj oddala się z szybkością 500 (na godzinę).

Sobota, Piriapolis

210 kilometrów, 50 pasażerów. 210 załatwiliśmy w ciągu 25 minut, ale 50 zajęło prawie 180, czyli trzy godziny (rewizja walizek, sprawdzanie dokumentów), z czego wniosek, że ilość pasażerów była większą o 155 trudnością do pokonania, niż ilość kilometrów. Gomez aprobeuje ten rachunek uzupełniając go rozważaniami na temat „fenomenu cyfry i cyfry fenomenu” — było to już gdyśmy wychodzili z urzędu celnego w urugwajskiej stolicy — a mnie się zdawało, że i przedtem on mówił, przez cały czas lotu, tylko ze śmigła zanadto furczały.

Idziemy do omnibusu, który ma nas zawieść do Piriapolis, ja trącam go w bok, gdyż przed nami tłumok, z którego wycieka, tak, wycieka z tłumoka jednemu przed nami i była to wódka, zapach na to wskazywał, wódka! Zatoczyłem się nieomal, gdyż jeszcze, po tej wysokości, niezbyt pewnie czułem się na nogach, a ta wódka kapiąca z tłumoka (wypełnionego wódką?) tuż za drzwiami urzędu celnego była bardziej wódką, była to więc tak zwana „wzmocniona”... i to oszołomienie zamroczyło mego przyjaciela, w rezultacie musiał wyskakiwać z omnibusu, już startującego, bo zawieruszyła mu się walizeczka podręczna, a to spowodowało, że mój dojazd do Piriapolis był samotny (o czwartej ppoł.).

Zagospodarowywałem się w moim pokoiku, w willi Los Angeles, oczekując na przybycie Gomeza następnym omnibusem.

Dom zaszyty w lesie sosnowym i głuchy, jak pień, zastygły w gotyckiej perspektywie drzew i bezludzia, gdzie girlandy bieleziny męskiej i damskiej, oraz pościelowej, stanowiły dla mnie w tej chwili, po takim szamotaniu niedawnym — domyślam się, że to nie będzie zbyt jasne — osłabienie ilości ludzkiej, jej namiastkę, czy nawet dekadencję... było to blade widmo tłumy, coś jak księżyc... i jak choroba... Oddychałem głęboko. Spokój. Cisza. Kiedyż pojawi się Gomez? Ach, a ten tłumok, jak wyciekał ten płyn przemycany, zakazany, kropelki iskrzące się w słońcu nielegalnie...

Nazajutrz, Piriapolis

O, jak upija luz!

Niedziela

Niezmordowany alkohol łokciem mnie trąca w bezpośrednim pobliżu.

Następnego dnia

Krajobraz rozsiada mi się aż do kości. Butelka, ale nie tamta, nowa, wraz z trzema innymi, w szafie, w pokójku narożnym z werandą, wychodzącą na drogę.

Wtorek

Szmer ciszy wszechwładnej... ale czy usypiający?

Sroda

Być dowcipnisiem??

Och, nie... To mi nie przystoi! Tego nie oczekujcie! Nie jestem od bawienia dowcipami...

Ale cóż poczniesz, gdy Dowcip zaczął się na ciebie ze wszechstron, gdy jesteś okrążony Dowcipem?

Czwartek, przed spaniem

Chłonę niezaludnienie strzeliste, zielono brązowe z księżycem — ten dom jest chytry, bo od naszej strony, mojej i Gomeza, bez żywej duszy, bez wtargnięcia ludzkiego, a od tamtej strony nadziany, jak kiszka pasztetowa, w każdej klitce po dwie osoby — ale o tym się nie wie, na tę stronę nie dochodzą odgłosy... i inne mają oni ścieżki przez las, dla nas niewidoczne.

Dziś dyskusja poranna z Gomezem o formach współczesnych afirmacji i o naszym do niej stosunku (to jest negacja negacji, mówił), druga, południowa, o granicy hermetyzmu i wieczorna o „pi” jako symbolu, który by się nadawał do ujęcia wszelkiego „rozminięcia”, także tego, które jest ostatecznym sekretem sztuki. On to lubi. Sam o sobie mówi: gaduła. Wczoraj opowiadał jak to koledzy w szkole wołali na niego *cierra la canilla!* (zakręć kran) a gdy to nie pomagało podstawiali mu pod usta miednicę, czy inne naczynia...

Jadamy na werandzie, rozprawiając. Jedzenie przynosi nam

dziewczynka ośmioletnia, jedyny przedstawiciel *tamtych*, z drugiej strony domu, i jakaż satysfakcja, że *tamci* objawiają się nam w postaci osłabionej, zredukowanej do poniżej dziesięciu lat. Wiemy, kto zaczął się gnieździ po *tamtej* stronie, poznaliśmy Diputado i jego seniore, Helmana i Ricarda, oraz zwiariowanego Andaluzę, także escribana z rodziną, wiemy coś o tamtejszym ścisisku w klitkach, ale po *tej stronie* leśny przestwór i tylko owa bielizna, wisząca na sznurach, koszule rozmaitych numerów, majtki, ręczniki...

Rusza się to, pieszczone wietrzykiem... Wolałbym, przyznaję, nie mieć do czynienia z tą obecnością zdegradowaną, z tym jakimś biletym wizytowym, zakrawającym na kpinę...

„Nieurodzone jeszcze pokolenia
Przeklinać będą ten żarcik Delfina!”

Szekspirze! Tylko, że w tym wypadku sam żarcik jest nieurodzony. Wyławiam być może z zarysowujących się okoliczności naszego pobytu luźny fakt dowcipu — nieskrystalizowany — sączący się za szczelin, ale niezgrabnie... nieudolnie... Pytanie, czy to jest dowcipne, czy my w tym wyglądamy dowcipnie, pozostaje zawieszony (i, gdybym był zawiany, dodałbym „zawieszony, jak te koszule i majtki”).

(Nie domyślałem się w nim tego nałogu i pojęcia nie miałem, że w nim dokonuje się taka elaboracja).

Chissotti. Orzeszki.

Piątek

O, genialna i hojna to właściwość literatury: ta wolność snucia wątków, zupełnie jakby się wybierało ścieżki w lesie, nie wiedząc dokąd zaprowadzą — ani co nas oczekuje...

Piątek

Około ósmej następuje przełom: albowiem o tej godzinie wynurzam się z samotni i wkraczam do „miasta”, złożonego z dwóch równoległych ulic, trzydziestu hoteli i dwudziestu sklepów, ale przecież miasta, z asfaltem i neonami.

Idę aby spożyć kolację w restauracji hotelu Rivadavia. Zjawia się mój uczonego przyjaciel. Sala wypełniona, ale ilość osłabiona, zamroczona...

Zasiadamy...

Zanim jeszcze „moso” przyniósł zakąski i karafkę, wszczyła się dialog o niegenialności Prousta, lub o naiwnościach perwersji, albo o tragizmie „suchym” i „lepkim”. Rozgrzewamy się, oczy nam błyszczą, podnosimy rękę, mówimy *permiso* aby

dojść do słowa i zapuszczamy się w takie labirynty, że już do prawdy (powiedziałem) nie wie się, co się je. Ani, co się pije. I rodzi się jaskrawy kontrast pomiędzy naszym stolikiem a pozostałymi, gdzie się gędzi w wyziewach nudy. Matki strofuja dzieci. Ojcowie mlamlą coś tam prawie końskiego, z gazetą, lub bez. Narzeczony powie coś głupiego narzeczonej. Oni tedy patrzą na nas, jak na raroga... chcieliby coś pojąć...

Fyzyk podnosi do ust kieliszek Cuirazao. Zwierza mi się z uśmiechem, że jak dotąd nie spotkał w całym Piriapolis nikogo rozmawiającego... my jesteśmy jedyni...

Wracając do domu mieliśmy dość energiczną dyskusję na temat „ex”, tego natrętnego pojęcia (*ex-istir*) nawiedzającego rozliczne dziedziny, i jego związku z czasowością. Powoływał się na Siegrista i jego opinie o maniackiej naturze fizyki. Ja z kolei przypomniałem mu westchnienie Siegrista: „akcje spadają!”.

Milczenie gwiazd.

Niedziela

Wycieczki nasze na coraz wyższe szczyty, brodzenie w gąszczach zapierających wzrok, zdobywanie ściany skalistej i zawisanie nad zawrotnymi czeluściami aby naraz roztoczyły się przestrzenie nad naszą miarę, nie do ogarnięcia, rozplywające się we mgle.

Wycieczki — brodzenie w gąszczach, wprowadzających w ślepotę, w zamęt, w kołowaciznę — zdobywanie urwisk i czepianie się gołymi rękami skalistej ściany w zawrotnej wspinaczce nad czeluściami — zawisanie — aby z nieludzkiego szczytu roztoczyły się przestrzenie nad naszą miarę, uśpione mgłą. Bierzemy ze sobą żywność i napoje na trzy dni.

Niedziela (późną nocą)

Mam na oczach bilmo
Argamantacja wykryca mi do najprzeróżniejsze grymma
Komizm wywicha się ku ku kumummizm
Język bestia fika się z ossi dialektycz
Dalldaltonnizmmmm phy!
Dowcipp? kujący kowanie.

Wont, poszoł z dow dowcipp. Nie. Nie. Nie chcę. Won.
Ale po co on mnie się czepia!

Sika z butelki a majtki schną.

Wont Poszoł z dowcipem Po co mnie się czepia ten Dow-
cip wci... Po co mnie obłazi jak robactwo... psia jego... Dow-
cip... Won.

Oto bełkot mój nocy niedzielnej!

Następnego dnia popołudniu (piszę to w moim pokoju)

Mógłbym zanotować dzisiaj „źle się czuję” i to byłby może dowcip, którego się lękam nade wszystko.

Przed chwilą był tutaj Helman. Przyszedł niby do Gomeza (którego nie zastał) żeby załatwić drobne rachunki. W każdym razie była to pierwsza wizyta „z tamtej strony” i ja nie dałbym trzech groszy czy zachowanie jego było zupełnie wyprane z żartobliwej intencji... Złośliwej?

Dowcip? Och, żebyż w końcu skryzalizował się ten opar dowcipu, parujący nieuchwytnie... Wypatrzeć na koniec bestię, snującą się ospale wśród drzew, za domem, na linii gór, na linii oceanu... Nuże, potworze, ukaż się! W czym rzecz? Czego chcesz ode mnie? Wyłaż!

Pusto.

Przy śniadaniu dłuższa wymiana zdań, która zaczęła się dość przypadkowo od poczwórnego korzenia racji wystarczającej, ale zaraz przeszła na „zasadę cielesności”, tak jak ją wprowadził Renesans, przemieniającą się obecnie w „zasadę kompromitacji”, a w przyszłości mogącą stać się (jak ja twierdziłem) „zasadą pasji”. Kobieta z dwojgiem dzieci przystanęła na drodze aby uchwycić coś z naszych słów gwałtownych — ale nic nie uchwyciła. Poszła.

Wtorek

Rozleniwienie... Nie zaręczyłbym, czy rozleniwienie nie jest tym co nam się przytrafiło... wobec gór leniwych, szklatego morza, mrówek ruszających się niesporo i (czemuż miałbym ukrywać?) tego co wisi na sznurach... i zwisa...

Rozleniwienie... Rozluźnienie...

Jak przyjemnie — nie wiedzieć dobrze — zezwolić aby mówiło się samo — wysłuchiwać własnych słów...

Aaaaach!

Sen.

Tegoż dnia w nocy

Milcz! Milcz!

Chyba mi się mignął... Kto? Dowcip!

Tylko spokojnie!

Mam wrażenie, że mi zamajaczył o zmroku, kiedy siedząc na werandzie wpatrywałem się w... dlaczego miałbym nie powiedzieć... w bieliznę, która o tej godzinie wydawała się zatrutą, zepsuta chorągwią, trupio bladą i księżycową. Była to chorągiew ICH, stamtąd, z *tamtej strony*, ha, to oni byli, oni sami,

widziałem ich rzędem wiszących na sznurze: Diputado i Seniora, Helman i Ricardo i Andaluz i mała Celia i rodzina rejenta... widziałem, ale w postaci majtek, koszul, jako refleks znikczemniały i szyderczy ich prawdziwego istnienia *po tamtej stronie*.

I oto tutaj Dowcip wychynął się, wyszczerzył zęby...

Albowiem — pojąłem — *tamtą stronę* była podstępem! Kawałem! Bo *tamtą stronę* — dla nich — jest po naszej stronie!

A więc to nie był refleks... to oni byli, na tych sznurach, w naturalnej postaci!

Spryciarze!

Dowcip, czy tylko możliwość dowcipu? Nie chcę mówić o tym z Gomezem. Za wiele już mówiłem z Gomezem. Nie będę więcej mówił z Gomezem. Dość już gadania z Gomezem. Chcę tylko zapisać tutaj na wszelki wypadek, że ja osobiście nie wdaję się w żaden dowcip...

Nie.

Wiem, że jeśli odpowiem dowcipem na dowcip, jestem zgubiony. Muszę zachować, nawet w tej chwili, powagę mojego istnienia.

Dowcipnisie! Jeśli komiczny mam być, to z zewnątrz tylko, nie wewnątrz — niechże ten komizm będzie, jak chmura nadciągająca, mgła rosnąca, szmer w zaroślach, jak insynuacja na horyzoncie, niech to z zewnątrz kryjomo sączy się, przecieka, nadciąga ku memu centrum ze wszystkich stron, wszystkimi drogami, a ja będę trwał niewzruszony, jak Tell z jabłkiem... powagi mojej... na głowie...

Sapienti sat!

Sroda, 3-go

Na tym koniec. Wyjechałem z Piriapolis 31 stycznia via Colonia i w Buenos Aires byłem tegoż dnia o wpół do dwunastej w nocy.

Gomez już poprzednio wyjechał, wezwany telegraficznie przez kogoś ze sfer uniwersyteckich.

Przenigdy więc się nie dowiem, co właściwie nam się wydarzyło w Piriapolis.

Przybycie do domu

Mieszkanie było naładowane snem, gdy po północy, z głową jeszcze chwiejną od roztańczenia statku na wodach La Plata wkładałem się do mego pokoju, z walizką. Spali Roberto, Herr Klug, don Eugenio, Basilio, Arana — upiory westchnień i postękiwań unoszący się nad pracą oddechów. Czym jest ilość we śnie? Śpiąca ilość? Ty śpisz, ilości? Czy też, ilości, ty nigdy nie śpisz?

Nie — ilość nasza z nami nie zasypia, gdzieżby tam sen zmorzył twór zrodzony z sumowania... krąży niestrudzona... Zapytywałem wszakże, już w moim pokoju, siedząc na łóżku, czy to, że śpiących było wielu (pięciu) jest faktem uspakajającym, czy niepokojącym? Czy sen jednego jest niebezpieczniejszy, niż sen kilku, kilkunastu, czy nawet kilkuset? Pytanie, hm, może i pretensjonalne... ale nie pozbawione żądła. Ilość w zastosowaniu do człowieka — pozwólcie mi to zauważyć — zachowuje się zdumiewająco, gdyż mnoży i dzieli zarazem. Któż wątpi, że działanie pięciu ludzi, ciągnących linę, będzie pięć razy wydawniejsze, niż jednego? Ale już ze śmiercią rzecz ma się na odwrót, gdyż śmierć dziesięciu tysięcy jest dziesięć tysięcy razy mniej śmiercią, niż śmierć pojedyncza.

Więc była to uspokajająca myśl — że oni spali, śnili, w pięciu — i mogłem spokojnie złożyć głowę na poduszce i włączyć się w ich oddech ciężki, łapczywy, błędzący, jako numer szósty. Cóż mogłoby mi grozić ze strony nocy i snu, gdy do brotliwa Ilość czuwała nade mną, rozpuszczając mnie w sobie. Jak dobra wróżka! Jak anioł stróż! Dobranoc! Dobranoc! Pora już abym skończył te zwierzenia... czy nie ze wszystkim klawrowne? Mętne cokolwiek? Coś nie coś rozwiąże, rozchybotane, rozproszone, rozpustne... roz... rozpuszczone? Przyjaciele! O cóż wam chodzi? Jeśli by była tutaj jakaś rozpusta intelektualna, Ilość ją rozpuści w sobie, jak rozpuszcza grzechy i cnoty nasze, amen.

Witold GOMBROWICZ

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD
121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Meksyk (dok.)

Podróż z Mexico do San Cristobal, „antropologicznej” stolicy Chiapas. Cztery dni autem. Najpierw małe miasteczko Texcoco, dawna stolica królestwa Toitoków. Podobno niedaleko Texcoco, jest park zaplanowany przez jednego z władców Texcoco, króla-poety, „Głodnego Szakala”. Ale tego parku nie widzieliśmy. Zresztą pewno niewiele jest do zobaczenia. Zatrzymaliśmy się na chwilę na targu gdzie sprzedają bardzo tanio śliczne talerze i wazy z delikatnymi wzorami. Można je kupić już po dwa pesy sztuka. Za to wysuszone, puste dynie, których Indianie używają tu do przewożenia wody, kosztują po dziesięć pesów sztuka. Praca nie kosztuje tu prawie nic mimo Rewolucji przez jak największe „R”, a takich podłużnych dyń jest na pewno mniej niż Indian wyrabiających te piękne wazy i talerze...

Jalapa jest stolicą tropikalnego stanu Vera-Cruz, ale położona jest dość wysoko w górach i klimat ma idealny. Kwitnące oleandry, azalie, purpurowe bukambille i ostro-niebiesko kwitnące drzewa jacarandy. Pomarańcze, banany, papaje, palmy, plantacje kawy i mimo tej fantastycznej flory chłodne, nawet zimnawe wieczory i niezbyt upalne dni. Jest to miasto uniwersyteckie, rozgadane, ożywione i bogate. Nie ma tu w ogóle Indian, a w każdym razie Indian, którzy się do indiańskości przyznają, ale jest sporo Arabów. Arabowie mają przeważnie sklepy z kolorowymi brzydkimi kretonami, sklepy otwarte szeroko na ulice jak jarmarczne kramy. Najbogatsi Arabowie są właścicielami plantacji kawy. Podobno ich synowie to typowa złota młodzież, interesująca się tylko zabawą, sportowymi autami i rasowymi końmi.

W nocy obudziła nas najprawdziwsza serenada pod oknami naszego hotelu. Przez godzinę prawie trzech młodzieńców z gi-

terami śpiewało na całe miasto żalosną, romantyczną pieśń o Alicji z zamku... *Alicja del castillo*... potem odjechali na warczących motocyklach...

Na drugi dzień upalna podróż coraz niżej i niżej przez bardzo już tropikalną nizinę i przedmieścia rozżarzonego portu Vera Cruz. Niebieski Atlanty i brudna piaszczysta plaża z całą masą brudnych białych koralu. Na molo sprzedaje się wielkie gałęzie przeraźliwie białych i rozgałęzionych koralu, jak abstrakcyjne choinki. Na niektórych z tych choinek wiszą szkielety latających ryb-straszycel z rozczapierzonymi skrzydłami.

Potem tropikalny, zakurzony przesynek Tehuantepec i wkrótce widać już pasemko Pacyfiku. Przez przesynek prześlizgują się wiatry i wietrzyki: od Atlantyku do Pacyfiku... od Pacyfiku do Atlantyku. Indianki ubierają się tu zupełnie po cygańsku: długie kolorowe suknie, złota biżuteria, we włosach kolorowe wstążki.

Potem noc w eleganckim hotelu nad chłodnym jeziorem Catemaco, do którego dojeżdża się przez gorącą, zakurzoną i zabiedzoną wieś. Hotel nazywa się „Playa Azul” — „Błękitna Plaża”, ale plaży nad jeziorem Catemaco w ogóle nie ma, jest za to niebieski basen do pływania w tropikalnym ogrodzie.

Hotel zresztą nie jest tak bardzo elegancki, ale kontrast z zakurzoną i zabiedzoną wsią jest tak wielki, że trudno nie być trochę zaniepokojoną i łatwo tu sobie wyobrazić „różnicę burżujów” z malowideł Diego Rivery...

Na trzeci dzień jedziemy wyżej i wyżej w kierunku Chiapas, kręconymi drogami przez góry, lasy, górskie strumyki i w dolinach prawie zupełnie wyschnięte w tym sezonie rzeki. I znowu góry. Zamiast palm, kaktusów i agaw wiecznie zielone i jakieś bardzo egzotyczne dęby i najprawdziwsze amerykańskie sosny o długich jedwabistych igłach. Aż w końcu w ciepłej dolinie zakurzona, gorąca stolica Chiapas, Tuxtla, nielubiana przez antropologów dlatego chyba, że nie widać tu wielu Indian, że „biali” urzędnicy stanowych biur są bogaci i biali, no i może dlatego, że dla antropologów San Cristobal, dawna stolica Chiapas i największe chyba centrum indiańskie w Meksyku, jest nadal prawdziwą stolicą, a nie „nowoczesna, nieciekawa” Tuxtla...

Z Tuxtli tylko 70 kilometrów do naszej „stolicy”, San Cristobal. Na południo-wschód od San Cristobal „terytorium uniwersytetu chicagowskiego” nasycane od 5 lat starszymi i młodszymi antropologami. Z innych stron „stolicy” inne amerykańskie uniwersytety. Między Tuxtłą i San Cristobal — terytorium Har-

vardu nieco mniej „nasycone” antropologami niż terytorium uniwersytetu chicagowskiego.

Czy są jeszcze wsie i miasteczka bez antropologów? W Mexico słyszeliśmy, że podobno Larrainzar jest „wolna”... ale cóż skoro jest ona na terytorium Harvardu, a my należymy do grupy chicagowskiej! Przed przyjazdem tutaj napisaliśmy jednak do Harvard i okazało się, że nie mają nie przeciwko naszemu zainstalowaniu się w Larrainzar, wolnej, pustej, bez antropologów...

Wąską, ale niezłą drogą skręciliśmy w lewo samym dojazdem do San Cristobal i od razu znaleźliśmy się w kraju Indian Chamula, mówiących językiem Tzotzil, z rodziny języka Majów. Chamula mają tu opinie najbardziej agresywnych i najlepiej zorganizowanych Indian. Kilka dni temu w San Cristobal rozeszła się plotka, że Indianie Chamula planują powstanie i że lada dzień czy lada godzina zaatakują San Cristobal. Oczywiście nie było w tym ani krzty prawdy ale sporo osób bardzo się przestraszyło: zabarykadowali się w co lepszych domach, pouciekali... Chamula to tylko jedna z grup Tzotzilów, ale chyba najbardziej znana, bo dość dużo tu przeprowadzano badań i kilka lat temu wyszła nawet popularna książka, biografia jednego z Indian Chamula, napisana przez meksykańskiego antropologa Ricardo Pozas. No i do popularności Chamulów przyczynia się pewno i to, że są tak blisko San Cristobal i że ich jest tak dużo: około czterdziestu tysięcy... Podobno Chamulą nie przestaje się być nigdy. Niektórzy emigrują z kraju Chamula na długo, zapominają Tzotzil, zmieniają strój Chamula na zwykły, meksykański, ale zawsze w końcu wracają i w momencie powrotu wszystko zaczyna się od początku: przypominają sobie Tzotzil, przypominają sobie, przy pomocy licznych krewniaków, starodawne zwyczaje i życie toczy się znowu tak jak przed setkami lat...

Po jakimś czasie droga zaczęła się bardzo psuć, coraz węższa, coraz głębsze przepaście, coraz większe dziury i głązy, przez które przeskakiwał bohaterstwo nasz sfatygowany stary Plymouth.

Minęliśmy „stolicę” Chamulów San Juan Chamula, minęliśmy kilka osiedli, tak zwanych „parafii”, minęliśmy dużo krzyży: po dwa lub trzy krzyże razem, minęliśmy czerwone płachty jałowej ziemi, skały, zagajniki, kilka maleńkich uważnie ogrodzonych *milp* (pól kukurydzianych), kilka płacht palących się zarośli (aby oczyścić ziemię dla nowych *milp*) aż wreszcie zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu dróg przy których kilka kobiet Chamula pasło owce. Dwie z nich zaraz uciekły. Trzecia została i zaczęliśmy ją wypytywać o drogę do Larrainzar. Okazało się jednak, że nie rozumie ani słowa po hiszpańsku. Nie

bała się jednak nic i mówiła do nas cały czas w swoim języku, gestykulując i starając się pomóc. Ostatecznie wydało się nam, że już wiemy jak jechać i drogą na prawo zaczęliśmy zjeżdżać w dół. Po paru minutach dojechaliśmy do jakiejś „parafii” — jak zwykle kilka małych chatek w gąszczu drzew i kwiatów — po drugiej stronie drogi porządne maleńkie *milpy*. Przed jedną z chatek mały chłopiec Chamula w białej *chamarze* przepasanej skórzaną szarfą i w wielkim słomkowym *sombrero*. Zaczął do nas kiwać, podbiegł do auta i poprosił żeby go podwieźć. Zapytaliśmy go czy jesteśmy na właściwej drodze okazało się jednak, że nie. Była to droga do Chenalho, wsi w której kilka lat temu przeprowadzała badania Kubanka Calixta Guiteras. Z wielką trudnością zawróciliśmy. Mały Chamula wcale się tym nie zniechęcił i powiedział, że wobec tego pojedzie w odwrotną stronę. Okazało się, że mu na imię Mateo, że ma... już dziesięć lat i że ojciec jego jest nauczycielem i też mówi dobrze po hiszpańsku.

Ale droga do Larrainzar po kilku zaledwie kilometrach tak się pogorszyła, że zdecydowaliśmy się zawrócić, ale w tym momencie samochód zagrzał się, jęknął i stanął. Nie można go było ruszyć z miejsca...

Zapytaliśmy Mateo czy ma tu w pobliżu krewnych. Okazało się, że ma wuja w chacie na horyzoncie. Poprosiliśmy go żeby pobiegł do wuja, sprowadził go tutaj i powiedział, że zapłacimy za pilnowanie auta a sami pójdziemy do San Juan Chamula do *Instituto Nacional Indigenista* (INI) postarać się o pomoc. Czekamy i czekamy, ale Mateo nie wrócił... Minęło nas chyba z dziesięciu Indian w ciągu tej godziny. Niektórzy dźwigali wielkie pale drzewa, inni biegli truchtem z wielkimi naręczami gałęzi, inni nieśli na plecach wielkie butle *trago* czyli czegoś w rodzaju naszego bimbrow. *Trago* jest tu radością i przekleństwem Indian. Indianie nie piją nigdy bez okazji, ale okazji w ich życiu jest wiele i wówczas nie można nie pić. Długie, trwające czasami tygodniami pertraktacje małżeńskie oblewa się *trago*, przyjaźń, religijne *fiesty*, śmierć, chorobę i wyzdrowienie... przywitania i pożegnania, przekazanie władzy i przejęcie władzy... Spróbowaliśmy się pytać jak daleko do San Juan Chamula, większość nie rozumiała jednak po hiszpańsku lub rozumiała tylko parę słów. Jeden z nich był bardzo pijany ale łagodny. Powiedział nam, że jest bardzo biedny i że butla z *trago* jest ciężka. O nic nie prosił.

Zdecydowaliśmy się zamknąć auto i nie czekać już dłużej na wuja naszego Mateo. Do San Juan Chamula było stąd jakieś 12 kilometrów, jak wywnioskowaliśmy z fragmentarycznych odpowiedzi Indian. Szliśmy niezbyt szybkim, ale równym krokiem nie rozmawiając z nikim, ale pozdrawiając wszystkich spotyka-

ných Indian *Adios...* co znaczy tu równocześnie „z Bogiem” i „do widzenia”. Staraliśmy się wyglądać na jak najbardziej pewnych siebie, zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że idziemy przez kraj najbardziej agresywnych Indian z Chiapas, przez terytorium zamieszkałe tylko przez nich, coś jakby indiańskie królestwo. Kilka lat temu, przy jednej z bocznych dróg, zamordowano tu niemieckiego malarza bo... wzięto go za diabła, tak przynajmniej opowiadają w San Cristobal. Był on ubrany na czarno, nie mówił ani słowa po hiszpańsku, no i tym bardziej nie mówił językiem Tzotzil, musiał więc być diabłem.

Im bliżej San Juan Chamula tym więcej spotykaliśmy Indian. Niektórzy z nich mieli muły lub konie obładowane drzewem, misami, wazami i butlami *trago* — inni dźwigali sami. Dźwiganie to wygląda zawsze w ten sposób, że cały ładunek przytroczony jest do szerokiej opaski, którą przykryte jest całe czoło, nad opaską wielki kapelusz. Kobiety noszą w ten sposób tylko drzewo. Inne rzeczy: misy, butle itd. noszą na głowie. Wszyscy mężczyźni mają przy sobie *maczety*, długie i grube jakby miecze, które służą tu do pracy w polu. Błyszczą co nowsze *maczety* na tle ciemnych *chamar*.

Po dwóch godzinach drogi spotkaliśmy ze zdziwieniem ciężarówkę: w szoferce *ladinos*, z tyłu Indianie. Zapytaliśmy się jak daleko do San Juan Chamula i z radością dowiedzieliśmy się, że już prawie dochodzimy. Po chwili rzeczywiście zobaczyliśmy trzy krzyże na wzgórkach a za nimi zieloną łagodną dolinę. Potem portal starego kościoła a dalej kilka białych i niebieskich budynków naokoło niewielkiej *plazy*, śliczny biało-różowy, tak zwany „nowy” kościół i na uboczu kilkadziesiąt ciemnych, czyściutek i jakoś bardzo porządnie wyglądających lepianek: nasza oaza! Ale stolica Chamulów wydała nam się dziwnie pusta... nie spotkaliśmy po drodze nikogo! Dopiero na *plazy*, przed długim niebieskim domem zauważyliśmy ciemnego młodego mężczyznę ubranego po meksykańsku. Okazało się, że jest synem sekretarza „rządu” Chamulów, jedyne *ladino* (czyli nie-Indianina) z tej wsi. Jest to jedyny urzędnik miejscowy wybrany nie przez samych Chamulów, ale przez władze stanu Chiapas. Przybiegła zaraz cała chmara dzieci, wnuków sekretarza, pokazały się dwie kobiety *ladino* i wytłumaczyliśmy im wszystkim naszą przygodę. Okazało się, że w „stolicy” nie ma dziś prawie nikogo, bo wszyscy urzędnicy Chamula pojechali ciężarówką miejscowej kooperatywy na *fiestę* do San Cristobal — *fiestę* dziesięciolecia INI (*Instituto Nacional Indigenista*). Ojciec jego też oczywiście pojechał, w stolicy zostały tylko kobiety i dzieci, no i on jeden jako zastępca ojca. Za dwie i pół godziny powinni wrócić.

Nazywam San Juan Chamula „stolicą”, bo to chyba najwłaściwsza z możliwych nazw. Ale jest to stolica specjalnego typu. Stolica bez miejscowej ludności. Mieszkają tu jedynie corocznie zmieniający się urzędnicy i tylko sekretarz *ladino*, wyznaczony przez stan Chiapas nie podlega tym rocznym wyborom. Gdy Juan Perez Jolote, bohater książki Ricardo Pozas, był jednym z urzędników „rządu” Chamulów, przez rok zmieniło się aż czterech sekretarzy. Obecny sekretarz jest tu jednak już od dziesięciu lat jest on więc jakby jedynym mniej więcej „stałym” mieszkańcem stolicy. Sekretarz ten jest również jedynym płatnym urzędnikiem. Wszystkie inne stanowiska są honorowe i wielu urzędników Chamula zadłuża się na szereg lat podczas takiego roku w stolicy. Ale być członkiem „rządu” Chamula to wielki honor, tak, że niewielu tylko, najbiedniejszych, ukrywa się przed wyborami wiedząc, że nie będą sobie mogli na to pozwolić... Innym, mniej biednym, pomaga rodzina — podczas roku urzędowania: wujowie, kuzyni i dalsi krewni uprawiają jego *milpy*... mieć krewniaka w „rządzie” to bądź co bądź honor dla całej rodziny...

Wybrany urzędnik przeprowadza się z rodziną ze swej, czasami bardzo odległej „parafii” do specjalnej chatki w San Juan Chamula. Każdemu urzędowi odpowiada inna chatka, ale chatka prezydenta jest identyczna z chatkami innych władz. Władze mieszkające w stolicy są dwojakiego rodzaju: cywilne i religijne. Urzędnicy religijni zajmują się głównie figurami świętych, zmienianiem ich strojów, kwiatami, świeczkami i urządzeniem różnych pół-pogańskich ceremonii religijnych podczas licznych fiest.

Wszyscy członkowie rządu dostają specjalne berła kąpane w *trago* mieszanym z herbata z kwiatu jabłoni. Berła te zawsze noszą przy sobie i są one oznaką bezwzględnej, ale bardzo bezosobistej władzy.

Z młodym *ladino* i z jego najstarszym synkiem poszliśmy do kantyny Chamulów, zawalonej pakami z coca-colą i zawieszonych kolorowymi świeczkami. Otworzyła nam młoda Indianka w długiej czarnej spódnicy, a raczej w wełnianym pledzie, przepasanym czerwoną wełnianą szarfą. Na plecach miała zupełnie niewidoczne dziecko, zapakowane w grube *reboso* i przytroczone do jej szczupłego ciała jak wielkie siodło. Podała nam coca-colę i usiedliśmy naokoło stołu. Na stole numer pisma *U.S.R.R.* po hiszpańsku! Sekretarz przeglądał je uważnie z bardzo poważną miną. Na drugiej bodaj stronie wielki artykuł *Socialismo y Humanismo* — zupełnie jakby się czytało meksykańskie pisma. Ale jak tu wytłumaczyć Chamulom czym jest naprawdę „hu-

manizm” sowiecki...? Ciekawa jestem swoją drogą kto tu czyta U.S.R.R. i kto je zaabonował. Może tak zwani „promotorzy” — wykształceni Indianie, którzy po zdobyciu wykształcenia wracają na wieś...

Zapytałam naszego *ladino* czy może nas zaprowadzić do kościoła. Zgodził się chętnie. Kościół ciemny. Podłoga zasłana sosnowymi igłami, pod ścianami figury odświętnie ubranych świętych, w kącie wielki krzyż ubrany w coś w rodzaju białej koszuli. Jest to podobno sławny krzyż Chamulów, który ma całą, bardzo bogatą, garderobę. Z okazji różnych świąt ubiera go się w różne „suknie”. W kącie, pod ścianą przy mrugających świeczkach kilku pijanych kościelnych przy butlach *trago*. Jeden z nich podchodzi zataczając się do naszego *ladino* i pyta czy jesteście katolikami...

Czekaliśmy potem jeszcze ze dwie godziny na ławkach przed niebiesko-białym domem. Ściemniło się już trochę i oziębiło się bardzo. Syn sekretarza wydawał się już bardzo nami znudzony. Przyplątał się drugi *ladino* w wiatrówce, pracownik INI z *campaña contra el paludismo*, przysłany tu dla zbadania malarii, która przywlokła się z *tierra caliente* — z tropikalnych nizin. On też czekał na przyjazd „rządu” Chamulów z San Cristobal.

Ale nie ciężarówką. Grupę ludzi w ciemnych *chamarach* wypatrzyły najpierw dzieci młodego *ladino*. Szybko i zwarcie szło na przelaj przez łąkę ze trzydziestu chyba dostojników w czarnych *chamarach*, przepasanych rudymi skórzanymi szarfami, w wielkich słomkowych kapeluszach przybranych długimi kolorowymi wstążkami, w sandałach na wysokich podeszwach z opon samochodowych, i z czarnymi świecącymi berłami. Towarzystwo im kilku młodszych Chamulów w białych *chamarach* i kilku małych chłopców. Wszyscy bardzo poważni, jak średniowieczny królewski orszak w drodze na ważne obrady. Nikt wśród nich nie był pijany, chociaż wracali przecież z *fiesty*. Tak, ale Indianie upijają się jedynie tylko z okazji „rytualnych”, najróżniejszego rodzaju, a *fiesta* dziesięciolecia INI nie miała żadnego związku z żadnym z ich starodawnych rytuałów.

Pamiętam zeszłego roku w lecie taką *fiestę* studencką w *Casa Chicago*, w domu uniwersytetu chicagowskiego w San Cristobal, w której brali udział młodzi amerykańscy antropologowie i mieszkających z nimi dziewięciu Indian-informantów. Amerykanie upili się obrzydliwie i zaczęli się okropnie wygłupiać. Przyglądali się im z ironicznymi uśmiechami zupełnie trzeźwi i bardzo spokojni Indianie.

Jeden po drugim podchodzili do nas dostojnicy Chamulów i witali się podaniem ręki. Wydało mi się przez chwilę, że to my razem z młodym *ladino* witamy ich tutaj ceremonialnie

przed długim niebieskim domem, przy wejściu do sali posiedzeń z dwoma aż portretami prezydenta Meksyku, Lopez Mateos.

Prezydent Chamulów okazał się młodym, najwyżej trzydziestoletnim człowiekiem. Ubrany jak inni dostojnicy i z takim samym berłem. Mówił coś długo językiem Tzotzil do młodego *ladino*, który tak jak i inni odnosił się do niego z najwyższym szacunkiem i jakby lękiem. Za jakieś pół godziny przyjechała ciężarówka kooperatywy Chamulów. W niej, na przednim siedzeniu, sekretarz *ladino*, z tyłu cała masa młodych Indian w białych *chamarach* i kilku starców w czarnych *chamarach* i z berłami.

Dopiero teraz zaczęła się prawdziwa narada co zrobić z naszym autem. Poprosiliśmy prezydenta, żeby wyznaczył dwóch młodych Indian do pilnowania auta w nocy — powiedzieliśmy, że oczywiście za to zapłacimy, a następnego dnia rano przyjedziemy z mechanikiem z San Cristobal wyciągnąć auto. Prezydent zwrócił się do młodych Chamulów w jasnych *chamarach*, ale nikt się nie zgłosił mimo zaofiarowanej zapłaty. Byli zmęczeni po *fiestie*. Zresztą mimo fatalnych warunków finansowych, o ile można tu użyć tego terminu, Indianie niebardzo palą się do zarabiania pieniędzy.

Narady między prezydentem, sekretarzem i starcami trwały chyba godzinę. Nic nie rozumiałam bo rozmawiali w swoim języku, ale bardzo ciekawe było przyglądanie się tym naradom. Co za poczucie porządku i hierarchii! W końcu prezydent wyznaczył trzech młodych Chamulów. Powiedział nam, że będzie to kosztowało 20 pesów za pilnowanie auta do 9-ej rano — 20 pesów dla wszystkich trzech, czyli niecałe dwa dolary... Pożegnaliśmy się znowu „ceremonialnie” ze wszystkimi dostojnikami po kolei i szofer kooperatywy, Indianin-promotor, odwiózł nas do San Cristobal. Po drodze Filip powiedział mi, że nie boi się wcale o auto, bo ludzie są tu bardzo uczciwi i na pewno nic nie ukradną. W niektórych dzielnicach Chicago byłoby dużo niebezpieczniej zostawić auto w nocy na ulicy. Szofer Chamula uśmiechnął się i niepewnym hiszpańskim odpowiedział: „Przed wszystkim boją się swoich władz, władz Chamula, bo wiedzą, że gdyby coś zginęło mieliby do czynienia z prezydentem i innymi. Bardzo się boją i dlatego nie kradną...”

Villa las Rosas

Teraz już wiemy dlaczego harwardowska Larrainzar jest „wolna” — bez antropologów! Filip, tak jak inni Amerykanie,

woli miejscowości do których można jednak dojechać autem. Jedynie Calixta (Kubanka) i chyba ja sama, wolałybyśmy miejscowości mniej dostępne i mniej zbadane. Z pewnym żalem zrezygnowałam jednak z niedostępnej Larrainzar i oto jesteśmy w Villa las Rosas, bardzo „grzecznie”, w samym centrum „terytorium chicagowskiego”...

Za czasów kolonialnych Villa las Rosas nazywała się „Pinola” i chicagowscy antropologowie nadal używają tej nazwy, tak, że aż do przyjazdu tutaj byłam pewna że „Villa las Rosas” jest tylko oficjalną nazwą i że *de facto* mieszka się tu w „Pinoli”... Okazało się jednak, że pierwsi spotkani tu mieszkańcy używają jedynie nazwy „Villa las Rosas”. Niektórzy wiedzą, że miasteczko nazywało się kiedyś „Pinola”, ale to było dość dawno, przed niepodległością, przed 1810... Chicagowscy antropologowie nadal jednak mówią i piszą o „Pinoli”. Nawet Ester, studentka antropologii z Argentyny, która pracuje tu już od roku przyzwyczaiła się do nazwy „Pinola”... Czy antropologowie chcieliby widzieć tutejszych mieszkańców bardziej konserwatywnymi niż nimi naprawdę są? Czy jest to wpływ grzebania się w historii Meksyku? A może Indianie mieszkający tutaj nazywają to miasteczko „Pinola”? Okaże się z czasem, o ile tu zostaniemy. Dziś popołudniu jedziemy do Venustiano Carranza (nazywanego przez antropologów kolonialnie i ładnie San Bartolomé) i jutro zdecydujemy gdzie się „osiedlić”... Wybierzemy! Dla mnie osobiście bardzo ważny jest w życiu wybór. Ponieważ zrezygnowaliśmy z Larrainzar koniecznie musimy zobaczyć choćby jedno jeszcze miasteczko przed ostateczną decyzją: i potem wybrać! Luksus i ciężar wyboru... Jak to się stało, że się jednak nie zmieniłam po tylu latach w Ameryce...? Przecież większość tak zwanych „współczesnych ludzi” (powinam chyba dodać „ludzi Zachodu”) woli nie wybierać, zmęczona jest wybieraniem, nie chce tego typu „wolności”... A może powinam pisać „wolności” bez cudzysłowu? O tej właśnie wolności pisze tyle Erich Fromm w *Escape from Freedom*.

Jeszcze jedna uwaga. Antropologowie amerykańscy są oczywiście jak najbardziej za niepodległością Meksyku i przeciw wszelkiej kolonialności, tym bardziej intrygująca jest ta tendencja do używania nazw kolonialnych. I zawsze są po stronie mieszkańców, zawsze mają wielki szacunek dla spojrzenia na świat charakterystycznego dla „tubylców” i bardzo uważają żeby nie zafaluszować tego spojrzenia na świat książkowymi abstrakcjami...

Esterę złapaliśmy wczoraj rano w San Cristobal. Jedzie na miesiąc do Argentyny, potem tu wraca jeszcze na jakiś czas. Tak, że w tej chwili Villa las Rosas jest „wolna” nawet od

Estery... Powiedziała nam, że według ostatniego spisu ludności Pinola ma 7700 mieszkańców z tego znaczna większość to Indianie. Ester mieszka we własnym domku w indiańskim *barrio*, ale jada w restauracji w centrum. Zbiera tu dane do tezy doktorskiej i kilka razy już zmieniła temat. Zaczęła od badania problemu tak zwanych *revestidos*, Indian, którzy przestają się ubierać po indiańsku i powoli przestają być Indianami. Później zainteresowała się psychosomatyczną chorobą *disipela*, która tu jest bardzo rozpowszechniona. Na *disipelę* choruje się według tutejszych mieszkańców ze wstydu. Zawstydzona osoba dostaje *disipeli* z najróżniejszymi objawami fizycznymi, wysypką, gorączką itp. O ile zawstydzona została w towarzystwie kobiet, wyleczyć ją może jedynie *curandera*, *kobieta* — o ile w towarzystwie mężczyzn wyleczyć ją może jedynie *curandero* mężczyzna... o ile w towarzystwie mieszanym przychodzi oczywiście i *curandero* i *curandera*... Później Ester myślała o tezie na temat organizacji politycznej tutejszych Indian, organizacja ta jest jednak podobno w zaniku — tutejsi Indianie, Tzeltale, są bardzo inni i być może trochę mniej indiańscy od Tzotzilów z kraju Chamula. Wyglądają też inaczej: jak łagodni wieśniacy w białych strojach z czerwonymi pasami — nie jak groźni rycerze. Ostatecznie Ester doszła do wniosku, że najciekawsze dane którymi dysponuje są z dziedziny wierzeń religijnych i magicznych tutejszych Indian. Narysowała już przy pomocy swych przyjaciół Indian „supernaturalną mapę” całej Pinoli. Ale o tym później...

Villa las Rosas jest mniej więcej 70 kilometrów od San Cristobal. Jedzie się najpierw dobrą szosą wśród dębowych i sosnowych lasów, potem skręca się w boczną, ale dobrze utrzymaną drogę i znowu jedzie się wśród dębów i sosen nad dolinami i przepaściami, w których rosną tropikalne drzewa i kwiaty. Im dalej tym więcej widać wędrujących Indian. Najpierw widzi się Indian ze wsi Amatenango, w której jest indiańska „fabryczka” glinianych garnków i misek używanych tu wszędzie w Chiapas. Potem widzi się Indian ze wsi Aguacatenango. Obie te wsie całkowicie indiańskie tak jak wsi w kraju Chamulów. Indianie ci należą jednak do innej grupy lingwistycznej. Język Chamulów to Tzotzil, język tutejszych Indian to Tzeltal. Tzotzile i Tzeltale mogą się porozumieć mniej więcej tak jak Hiszpan i Francuz. Ale łatwiej im rozmawiać ze sobą po hiszpańsku.

Villa las Rosas położona jest o jakieś 800 metrów niżej niż San Cristobal i jest tu znacznie cieplej. Z daleka już widać zieloną dolinę tak zarośniętą drzewami, że długo nie można dostrzec budynków. Z drugiej strony doliny wysokie drzewiaste góry. Wjeżdża się najpierw w szeroką drogę-ulicę i jedzie się

długo, długo wśród małych indiańskich lepienek, ledwie widocznych wśród dzikich ogrodów-parków, w których pod wielkimi drzewami, wśród pnących się zarośli rosną małe zielone, mocne krzaki kawy. Zielone jagody i czerwone dojrzałe jagody. Nie widać tu nigdzie kukurydzy. Jest to miasto kawy i kukurydziane *milpy* są dalej, za miastem. Nie widać też dużych plantacji, ale dzikie kawowe ogrody ogrodzone kamiennymi murami wydają się bardzo duże w porównaniu z małymi chatkami. Powoli dzielnica indiańska zmienia się w meksykańską, domy są większe, kryte dachówką, ludzie równie ciemni, ale inaczej, szarzej ubrani. Ale dzikie ogrody takie same i wszędzie zapach kawy mieszkający się z zapachem kwiatów.

Zastanawiam się, jadąc wśród tych dzikich ogrodów, czy jestem w mieście czy na wsi. Czy powinno się mówić o Villa las Rosas *pueblo* czy *ciudad*... A może właśnie jest to *villa* — coś pośredniego — osiedle kawowe.

Ale samo centrum jest bardzo inne. Urywają się tu nagle ogrody i ulice twardnieją gęsto zabudowanymi domami. Białokolorowe mury i *plaza* wśród kolumniastych budynków i arkad wyglądają nagle bardzo średniowiecznie. Na środku *plazy* cementowy ogród jak salon w cieniu dziwnych, puszystych, bardzo sztucznie wyglądających drzew. Cementowe ławki wszędzie nokoło i bardzo młode ciemne dziewczęta *ladino* spacerujące grupkami tam i z powrotem. Ubrane w brzydkie kolorowe kretony. Długie włosy w lokach. Kolczyki. Niektóre z nich mają pończochy i bardzo wysokie obcasy mimo upalnego słońca. Na ławkach ciemni mężczyźni *ladino*, w rozchełstanych koszulach i wielkich kapeluszach. Spod czarnych wąsików przyglądają się spacerującym dziewczynom. Kilku małych *ladino* gra w jakąś grę na samym środku tego „salonu”: kolorowe kulki. Przyglądają się im starsi z ławek w samym środku ogrodu, wśród czerwonych dali. Na bocznych ławkach widać kilku bielusińko ubranych Indian z czerwonymi pasami. Przed zielonymi arkadami stoliki, na których miejscowe kobiety, *ladino*, sprzedają osmażone owoce i oblepione muchami płaty wysuszonego mięsa. Na trotuarach kilka Indianek sprzedaje cebulę, orzechy, jakieś zioła i wielkie garnki z *Amatenango*. Przed drewnianą budą kilka stolików: pije się tutaj coca-cola, piwo, musujący sok jabłkowy i inne bajecznie kolorowe i słodkie *refrescos*.

Przez cały poniedziałek wybieraliśmy się autobusem do Venustiano Carranza, ale nic z tego nie wyszło, bo autobus nie

przyszedł. Czekaliśmy na „stacji autobusowej” w dużym, pustym pokoju przegrodzonym parawanem z drzewa, na którym z jednej strony ponalepiane są wycinki z meksykańskiego wydania „Life’u”, z drugiej wycinki z codziennej prasy meksykańskiej, przeważnie fotografie. Po drugiej stronie parawanu stolik i krzesło. Tu urzędnik autobusowy sprzedaje bilety. Nie trzeba mu było w ogóle tłumaczyć kim jesteśmy i co zamierzamy tu zrobić. Zna on oczywiście Esterę i przelotnie studentów uniwersytetu chicagowskiego, „Don Alberto” i „Don Chris”, którzy tu byli przez kilka miesięcy. Powiedziałam mu, że moje badania będą trochę inne od badań poprzednich antropologów, bo interesują mnie Meksykańczycy raczej niż Indianie, że nikt tu dotąd nie przeprowadzał takich badań więc chciałabym tę lukę wypełnić. Tak prosto z mostu, a potem zapytałam go ilu jest mniej więcej w Villa las Rosas Indian w stosunku do nie-Indian. Powiedział, że *populacion indigena* (ludność indiańska) jest znacznie liczniejsza niż *la gente ladina* (ludność *ladino*), że Indian jest tu około 80%. Potem rozmawialiśmy o tym z czego tutejsza ludność żyje i okazało się, że wszyscy mają tu po kawałku ziemi i zajmują się rolnictwem czy ogrodnictwem, bo ogrodnictwem nazywa się chyba uprawa kawy.

San Bartolomé

We wtorek przyjechał ostatecznie rozklekotany autobus z San Cristobal, brudny, z powybijanymi szybami i rozlatującymi się ławkami, śmierdzący. W autobusie z piętnaście osób. Kilku niewątpliwych Indian, w krótkich białych spodniach, jak kostiumy kąpielowe. Kilku niewątpliwych *ladino* i kobiety: bosa i w butach, z kolczykami i bez, w szalach i bez szali, wszystkie prawie z koszykami i z dziećmi, wszystkie brudne, mówiące po hiszpańsku lub nie mówiące nic. Nie mam pojęcia czy Indianki czy *ladino*... Zresztą, jak wiem z monografii antropologicznych i opowiadań chicagowskich antropologów, czasami Indianie i Indianki przebijają się „po ladinowsku” wyjeżdżając ze swych *pueblos*, a czasami na odwrót: u siebie w *pueblo* noszą ladinowskie stroje i mówią po hiszpańsku a wyjeżdżając do miasta wkładają stroje indiańskie i mówią między sobą swoimi językami...

San Bartolomé położone jest w kraju tropikalnym, w *tierra caliente*, o jakieś 650 metrów niżej niż Villa las Rosas, tak, że jechaliśmy w dół kręconymi drogami i coraz więcej widać było palm i bananów, coraz więcej tropikalnych przewiewnych chatek, coraz mniej dębów. Ale niewiele w ogóle było widać z tego

rozklekotanego autobusu przez brudne lub potrzaskane okna, wśród zbierającego kurzu. Minęliśmy wieś ladinowską, kilka kobiet wsiadło, kilku mężczyzn wysiadło, potem zazieleniło się od gęstych, wysokich pól trzciny cukrowej i zatrzymaliśmy się nagle w bardzo nowoczesnym osiedlu fabrycznym, Pujilitic, należącym do miejscowego bogacza, o którym tu się wiele słyszy.

Za cukrownią przez kilka kilometrów znowu pola trzciny cukrowej, potem strumyk, potem bezmożna rzeka Rio Blanco, którą można przejechać wpływ wysokim autobusem tylko w suchym okresie. W okresie deszczowym rzeka wzbiera i przez prawie pół roku San Bartolomé jest odcięte od świata. Po drugiej stronie rzeki „paskudna droga”, jak mówią tutejsi szoferzy, i jedzie się bardzo wolno skacząc pod sufit rozklekotanego autobusu. I tutaj zaczyna się step zarośnięty nieśmiałyymi żółtymi drzewkami, suchy. Nad tym stepem zaczęło zachodzić szerokie czerwone słońce i gdy wspinaliśmy się krętą drogą w górę było już bardzo ciemno i widać było tylko wysoko co chwilę znikające światełka nowej, bardzo nowej elektryczności San Bartolomé. Potem światełka zniknęły na zakręcie i nagle wjechaliśmy w jakąś wysoką, murowaną białość. Okazało się, że to cmentarz tak duży i tak bardzo murowany, że w pierwszej chwili zrobiło mi się trochę niesamowicie, bo cmentarz wyglądał jak miasto niepotrzebujące innego miasta.

Za cmentarzem ukazało się jednak San Bartolomé. Ciemne i duże. Średniowieczność tego XVI-wiecznego hiszpańskiego miasteczka wydała mi się jeszcze bardziej średniowieczna niż „średniowieczność” naszej Pinoli...

Zatrzymaliśmy się w starym hotelu pełnym skwaru, roślin i komarów i zaraz na wstępie zobaczyliśmy Marcelo, studenta antropologii, Meksykańczyka, który pracuje tu od kilku miesięcy. Mały, ciemny, z błyszczącymi oczami i małym wąsikiem, chyba bardzo młody, ale wyglądający na tyle starszego od studentów amerykańskich. Marcelo jest studentem *Escuela de Antropologia* w Mexico współpracuje jednak z Chicago.

Po kolacji Marcelo zaprowadził nas do Mike'a, starszawego studenta antropologii z Chicago, który jest tu już chyba trzeci raz. Gdy go widziałam ostatnio w Chicago mówił, że w San Bartolomé chciałby zamieszkać na stałe, że jest to najcudniejsze miejsce na świecie, że czuje się tu świetnie. Wyobrażałam go sobie zawsze siedzącego gdzieś na progu starego kolonialnego domu, wśród kwiatów i paproci, z gitarą i szklanką piwa, no i oczywiście otoczonego grupą rozbawionych przyjaciół-informantów...

Do domu Mike'a zśliśmy dość długo wąskimi stromymi uliczkami, wybrukowanymi wielkimi wypukłymi kamieniami. Gdyby nie Indianie można by na chwilę pomyśleć, że się jest w Krakowie. I wreszcie dom... bardzo dziwny dom. Najpierw coś jakby łożo papierowego króla, cyrkowo wspaniałe i śmieszne... A potem na lewo, w brzęczącym i śmierdzącym gnojówką podwórzu — klatka: duża, nowa, higieniczna klatka z metalowych siatek i nawet sufit z siatek. W klatce stół, cztery krzesła, maszyna do pisania, magnetofon, bardzo amerykańsko-higienicznie wyglądający kredens i... Miko, z bokobrodami, ale bez gitary, z chudą, dużą żoną Peggy. Oboje wychudzeni i bladzi. Mówi, że po trzech miesiącach tutaj i po tym upale, potwornym upale, czują się zupełnie wykończeni, że od tygodnia nie mogą w ogóle pracować więc zdecydowali się wyjechać na dwa tygodnie do Mexico, bo nie ma sensu forsować badań gdy praca nie idzie... Potem pokazuje nam swoje notatki. Codziennie dyktuje swoje obserwacje i rozmowy z informantami na magnetofon, a potem Peggy je przepisuje. Okazuje się, że ten dziwny dom to dom prezydenta San Bartolomé, na samej granicy indiańskiego *barrio*, że siatki są konieczne bo na podwórzu są krowy i chmary much... Potem opowiada o picciu. Że bez picia nie można tu w ogóle zebrać żadnych danych. Mężczyzna musi pić, czy chce czy nie chce, i pije się to obrzydliwe *trago*. Przychodzą pijani Indianie i *ladinos* i trzeba z nimi pić. Kiedyś gdy nie chciał wypić z jakimś *ladino* „kieliszka przyjaźni”, *ladino* wyciągnął rewolwer... no i oczywiście zaczęli pić...

Następnego dnia przez całe przedpołudnie chodziliśmy z Marcelo po San Bartolomé. Najpierw jego domek. Mały, białomalowany ladinowski domek, w samym środku indiańskiego *barrio*, wśród tropikalnych chat pod strzechami. Jednopokojowy. W jednej części łożko pod moskitową siatką w drugiej stół, krzesło, maszyna do pisania, półka z książkami. Marcelo pokazuje nam fotografie. Najciekawsze fotografie z karnawału indiańskiego. Pod koniec tego karnawału Indianie „mordują” ceremonialnie jednego ze swoich, przebranego za *ladino*. Na fotografii widać już „zamordowanego” *ladino* w czarnych spodniach i białej koszuli. Wyciągnięty na ziemi, a naokoło Indianie w maskach (Chamula) i bez masek (Tzotzile z San Bartolomé).

Potem wspinałyśmy się wysoko aż do *barrio* Calvario, gdzie rośnie wielka, święta *Ceiba*, ogromne rozłożyste drzewo, które ma już około 800 lat. Obok drzewa jeden z wielu ślicznych kociołów. Widok na miasto i na powiat. Marcelo mówi, że we-

dług Indian właścicielem tej ogromnej *Ceiba* jest sam Bóg. *Ceiba* czuwa nad miastem i... promieniuje.

Wracamy przez inne *barrio* i oglądamy jeszcze dwa kościoły. Tydzień Wielkanocny: *Semana Santa* w całej pełni. Indianie w białych pajacowych strojach: nakrapiane na czarno i czerwono bufiaste białe spodnie, białe bluzy i haftowane czerwone chusty, które czasami noszą jako pasy, a czasami na głowach jak turbany. Indianki w obciśniętych, krótkich, szarych, ale kolorowo haftowanych spódnicach i w krótkich, przeważnie bardzo niebieskich, haftowanych bluzkach. Między bluzką a spódnicą nagie brązowe ciało. W ogrodach Indianki bez bluzek...

Wszyscy znają Marcelo i co pięć minut zatrzymujemy się żeby porozmawiać. Indianie mówią tu bardzo dobrze po hiszpańsku. Indianki też. Marcelo mówi, że przez cały tydzień nie ma tu w ogóle mężczyzn. Pracują na odległych *milpach* i tam nocują. Podczas *Semana Santa* przerywają pracę na tydzień, dlatego widać ich tyłu naokoło. Marcelo jednak w tych warunkach, chcąc nie chcąc, prowadzi badania, głównie nad kobietami. Kobiety są tu bardzo śmiałe i podobno ich pozycja w rodzinie jest silna, bo mają własne pieniądze i własne materiały, które dostają przy wyjściu za mąż. Nie ma tu żadnej wspólności majątkowej i kobiety często więcej zarabiają haftowaniem niż mężczyźni uprawą kukurydzy.

Potem wspinamy się na inny jeszcze pagórek, gdzie rośnie mniejsza *Ceiba* i wchodzimy do kościoła, naokoło którego zaczęły się pierwsze wielkanocne ceremonie. Indianin z bębniem i drugi z *pito* (fletem) chodzą tam i z powrotem od drzwi kościoła do skalistego zbocza. Dziwne, niezrozumiałe melodie... Inni siedzą przed kościołem w odświętnych strojach i gadają. Wchodzimy do kościoła i ze zdumieniem widzimy dwa jak najnowocześniejsze wielkie obrazy. Na jednym z nich pół-dziki Chrystus z ogromnym oszalałym okiem ucieka przed człowiekiem w masce, który próbuje go zamordować długim świecącym nożem...

Marcelo mówi nam, że zanim tu przyjechał zapytano go w *Escuela de Antropologia* czy potrafi pić. Bo jeśli nie potrafi, nie ma tu po co przyjeżdżać. I rzeczywiście. Już wkrótce po przyjeździe sąsiedzi Indianie powiedzieli mu, że musi się chociaż raz upić z nimi do nieprzytomności. Bez tego nie będą wierzyli w jego przyjaźń. Zapewnili go, że go odniosą do domu i rzeczywiście odnieśli go o czwartej rano. Od tego czasu stosunki bardzo się polepszyły, ale upijać się musi nadal. Od jakiegoś czasu zresztą nie pije, bo dostał tu od mleka czy sera maltańskiej gorączki... Musi pojechać do Mexico wyleczyć się.

Druga, prawie bezsenna, noc wśród brzęczących i gryzących

komarów i rano o 6-ej trochę chłodniejsze i bardzo piękne San Bartolomé w półmroku... Nie jakoś nie mogę nazywać tego miasteczka po rewolucyjnemu *Venustiano Carranza*. Wolę z Indianami i antropologami kolonialnie myśleć o „San Bartolomé”. Wiadomo jednak, że już wkrótce obudzi się słońce i zaczniesz się ten sam gęsty, duszny skwar...

Marcelo nazywa San Bartolomé „Paryżem Chiapas”, nie mogłabym jednak pracować w tej dusznej tropikalności! Zresztą podobno San Bartolomé jest raczej jak Toledo. Paryża mi nie przypomina, chyba tylko dlatego jest Paryżem Chiapas, że jest tak piękne. A może zresztą Marcelo powiedział *paraiso de Chiapas* a ja z tego zrobiłam *Paris de Chiapas*... możliwe...

Villa las Rosas

Co za ulga tu, w mniej pięknej ale chłodniejszej i już na pewno wybranej Pinoli, po tym *Paryżu Chiapas*! Acha jeszcze jedno. Syn właścicielki hotelu w San Bartolomé rozmawiał z nami, jak wszyscy, o antropologach i chicagowskich badaniach w Chiapas. „Była tu też ze swym mężem antropologiem, markiza hiszpańska” — powiedział nagle wspominając wizytę Juliana Pitt-Riversa, antropologa angielskiego. „Tak, tak, dziwne pomysły... jest to na pewno zdetrinizowana markiza, tak... *markiza zdetrinizowana*... Bardzo miła zresztą, bardzo prosta i tylko od Marcelo dowiedzieliśmy się, że to markiza. Dziwne pomysły, że Hiszpania była kiedyś taką potęgą. A co teraz? Wykończona przez dyktaturę, słaba, nic nie znacząca. Dziwne pomysły...”

Alicja IWANŃSKA

Zmierzch

Pada deszcz, szumi wśród drzew. Ściana wody, pomalowana na czarno, nocą zamyka werandę od strony ogrodu. Zupełnie tak samo jak w pierwszy wieczór w hotelu nad jeziorem, gdy przywiozłem tam Ewę. Rok temu. Byliśmy też na werandzie i Ewa pierwszy raz w życiu słyszała tropikalny deszcz. Leżeliśmy na leżakach i po chwili milczenia położyła rękę na mojej i powiedziała: „Boję się. To jest jakby nicłość. Można by powiedzieć, że tam jest nic, a my leżymy na granicy”. Teraz zawsze wydaje mi się, że poza tą czarną ścianą jest pustka, nic. W nim Ewa.

Szum coraz silniejszy. Ale może to tylko złudzenie, bo wieczorami sporo piję. Często myślę w trzeciej osobie. O sobie samym trzeba nieraz myśleć w trzeciej osobie. Zna się go naprawdę tego kogoś, i może nawet można o nim więcej powiedzieć, niż w pierwszej. Dlatego na aparacie radiowym przy stoliku na werandzie mam małe lustro. Czasem patrzę w nie i wtedy łatwiej mi jest pisać o sobie, opisując tego kogoś innego, będącego podobno moim odbiciem. Staję się bardziej obiektywny, udaje mi się unikać tej bezustannej gry, którą uprawia się w wewnętrznym dialogu lub mówieniu o sobie. To nieprawda, że zawsze przybiera się jakąś pozę wobec ludzi. Wobec siebie samego przybiera się ją bezustannie i to w postaciach, które wobec ludzi wzbudziłyby śmiech. Wobec siebie mamy odwagę przybierania póź, na które nigdy nie odważylibyśmy się wobec ludzi. Wewnątrz, w tym jakże często tandetnym i kabotyńskim dialogu, staramy się ze sobą zrobić to samo co robi się często ze śmiercią — staramy się siebie *wegerklären*, jak się to mówi po niemiecku i czego nie można przetłumaczyć na nasz język. Wyjaśnić precz? Może.

Nie potrafię myśleć o sobie w tamtych dawnych czasach. Czasem tylko pojawia się w oczach jakiś krótki wycinek, mający związek z Ewą z tamtego okresu mojego życia. Wieczór zimowy z Ewą z tamtego okresu mojego życia — wieczór zimowy lub przedpołudnie lata. To jedno co mi pozostało z tamtych czasów. Bez Ewy nie pozostałoby prawie nic. Intensywność życia i przeżywania lat późniejszych może zupełnie przysypać lata dawne, zamknąć je jakby w murowanym grobowcu. Podtrzymuję tę intensywność nadal, bronię jej staram się ją wtrącać do każdego spojrzenia rzucanego na Julię, do każdego kontaktu z nią, do zetknięcia się nawet naszych dwóch ciał. Bronię się tym przed pokusą kapitulacji wobec nicości, tego czegoś poza tą czarną ścianą wody. Bronię się akrobacją logiki mówiąc sobie, że jeżeli NIC istnieje, to nie może być niczym, bo istnieć może tylko coś, a nie nic. Wiem, że to jest fałsz, próba oszukania siebie samego i wtedy rzucam się wszystkimi myślami ku życiu, robiąc z niego całą fortunę, jedyną którą mogę dysponować, która jest uchwytana. „Pytasz mnie co to jest życie? To tak jakbyś mnie pytał co to jest marchew? Marchew to marchew i nie wie się nic więcej” — napisał raz Czechow w jednym z listów. Bronię marchwi. Na tle wnętrza poza tą ścianą jest skarbem. Kto wie, może jedynym.

Spojrzałem w lustro. Właściwie powinienem pisać w trzeciej osobie. Gdy napiszę o zimowym wieczorze lub letnim przedpołudniu, umieszczając w nich siebie w pierwszej osobie, to i ja sam i to wszystko co mnie wtedy otaczało będzie miało taką domieszkę mnie z obecnej chwili, że zatrze prawdę i sfałszuje obraz. Wszystkie wspomnienia w pierwszej osobie są czymś bardzo podobnym do odnawiania starych płócien.

Miałem wtedy dwadzieścia lat, byłem na pewno kimś zupełnie innym. Mógłbym napisać, że noc odwilży przypominała podlany ogród o zmierzchu, gdy czuje się zapach wilgoci i jakby słyszy szept opadających z kwiatów i jarzyn kropel wody, że w upalny poranek letni świerki wyglądają tak miękko, jakby były zrobione z puchu, a w czasie zimowych mrozów wydają się rzeźbami z opiłków żelaznych, że... Nie, nic takiego nie zauważyłem, nie układałem uczuć w słowa, bo nauczyłem się tego w wiele lat później. Gdy siedziałem w pokoju pani Eli w jej pensjonacie w górach, słyszałem szum obsuwającego się z dachu śniegu jak zawsze w czasie odwilży i nie dostrzegałem, że światło odległych i rzadkich lamp ulicznych staowało się także wilgotne. To dopiero ona w jakiś okólny sposób uczyła mnie tego wszystkiego. Ja myślałem tylko o tym, że nazajutrz będzie lepki i tępy śnieg, który będzie się lepił nawet do najlepiej wysmarowanych nart. Robiła ze mną to samo co ja staram się teraz zrobić z Julii, z tej prostej tutejszej kobiety z którą żyję. Marchew.

Ja miałem dwadzieścia lat, Ewa osiem. Różnica lat wówczas nie do zatarcia. Potem zniknęła. Gdy spotkaliśmy się na lotnisku w Kopenhadze przestała istnieć. Wieczorami, po całym dniu nart, wychodziłem na górę do pokoju pani Eli. Pokoik był malutki i dobrze ogrzany. Pani Ela siadywała na łóżku i wtedy używała już okularów, którymi zastąpiła długoletnie lorgnon. „Czy czytałeś już 'Kłębowisko żmij' Mauriaca?” pytała mnie. Nie czytałem. Mówiła o Bergsonie. Nagle wchodziła do pokoju Ewa z wyciętymi z jakiegoś starego żurnalu lalkami i usiadłszy w kącie zaczynała się nimi bawić szeptem. Potem nagle mówiła „Ta się nazywa Mery, a ta Dajsy”. Pani Ela poprawiała ją, ucząc poprawnej wymowy tych obcych imion, a ja nieraz rysowałem jej specjalne modele podobne do Marleny Dietrich lub Greta Garbo. Wszystkie lalki zawsze miały imiona zagraniczne. Właściwie nigdy jej nie lubiłem, denerowała mnie swoją dziecinną pretensjonalnością i pozami. Bałem się ich, już w wydaniu dorosłym, gdy czekałem na nią wtedy pod wieczór...

Światło zgasło i musiałem iść do szopy, w której jest dynamo, żeby zobaczyć co się stało. Lawina czynności, w sumie właśnie ta marchew, której jednak bronię. Oczywiście Julia zaczęła coś mówić za głośno, jak zawsze. Znalazła od razu winnego, nie wiedząc nawet co się stało naprawdę. Potem szukałem po ciemku latarki elektrycznej, płaszcz z plastyku, parasola. Latarka nie chciała się zapalić, więc musiałem przy świeczce naprawić kontakt baterii. Wszedłem w ulewę i czułem jej ciężar w ręce trzymającej parasol. Huk i szum słyszany poprzez przepierzenie alkoholu już wypitego. Właściwie dla tej niezawodnej ścianki lubię sporo wypić, bo oddziela mnie od myśli, nie pozwala jej całkowicie zapanować nad wszystkim. To teraz jedyna obrona. Piszę o tym dokładnie, bo dopiero teraz rozumiem do jakiego stopnia życie składa się z tych głupstw, które są ważne, są istotą życia. Dokąd są one uświęcone jakimś celem lub uczuciem, nie czuje się ich trwania. Gdy stają się częścią istnienia, czystego życia, zmieniają się w bezsens, rozciągają się w operację bez znieczulenia. Wszystko traci sens, nawet cierpienie. Moje ciągłe myśli o Ewie i próba pisania o tym, są właściwie próbą znieczulania.

Gdyby nie to, zakładanie pasa w szopie z dynamem trwałoby wieki. Po prostu pas spadł bez niczyjej winy. Julia oczywiście posądziła José, bo w tym kraju wszystko przypisuje się zawsze winie kogoś, żeby wykluczyć siebie. Od prezydenta do prostego Indianina. Nie nauczyli się jeszcze kulturalnej hipokryzji uprawianej przez nas. Jest to hipokryzja w stanie surowym, którą wolę. Zakładałem pas, robiąc wszystko przez ściankę alkoholu. Ręce doskonale pracują nie należąc do mnie. Ja siedziałem cały czas w pokoju pani Eli i potem mówiłem ze śmiechem „Efka!

„Efka!”. Tak ją wtedy nazywałem, czego nie lubiła. Patrzyła na mnie i cięła wyrazami: „Efka, to są maszyny do pisania Państwowej Fabryki Karabinów. Ja nazywam się Ewa”. Czasem robiła wielki zaszczyt i godziła się pojeździć na nartach na zboczach góry za domem. Udawała że nie może sobie poradzić z wiązaniami, ja udawałem, że traktuję to poważnie i pomagałem w przymocowaniu dwóch dziecinnych deszczulek. Każdy upadek był tylko przypadkiem i nie liczył się. Widząc ją po przeszło dwudziestu latach wychodzącą z samolotu po stromych schodkach, mimo woli czekałem, że się wywróci, bo wydawało mi się, że zjeżdża. Tym bardziej, że temperatura sierpnia w Kopenhadze była wtedy zupełnie zimowa. Odzwyczałem się od tych miesięcy letnich, o których co roku mówi się w Europie że tego roku są wyjątkowo chłodne. Wtedy zrozumiałem naprawdę, że jestem już kimś zupełnie innym, że umrę urodzony po raz drugi tutaj, nie tam.

Założyłem pas, puściłem z powrotem wodę na koło młyńskie napędzające dynamo i patrząc jak kontrolna żarówka błyszczycy coraz jaśniej, siedziałem w szopie i w moich obrazach. To wszystko wokoło jest moje, doszedłem do tego ciężką pracą, oczywiście przy pomocy Julii. Staram się spojrzeniem czepiać tego, jak koła ratunkowego, bo zbyt wyraźnie odczuwam, że w gruncie rzeczy to wszystko jest dla mnie bez znaczenia. A pomimo tego chcę żyć. Gdybym nie chciał mógłbym bardzo łatwo i bardzo po prostu przestać. A jednak tego nie robię. Nie rozumiem, nie umiem odpowiedzieć dlaczego. Czasem wydaje mi się, że należę do ludzi, którzy w życiu człowieka uznają tylko życie tu na ziemi, że nie jest ono żadnym etapem, że jest równaniem, bez niewiadomych. Zresztą dotąd żyję, mogę rozmawiać z Ewą, trwa we mnie to uczucie. Czy mógłbym rozmawiać z nią potem? Może, ale na pewno nie w ten sposób. Jest teraz we mnie bezustanny bunt przeciwko temu w czym wychowałem się i w co długo wierzyłem: w przerzut życia, w przejazd jakby przez tunel, po przejechaniu którego przed oczami przesuwają się znowu łąki w słońcu, jo-jo skowronków nad łanami zboża, krótko mówiąc życie, może trochę inne, całe w stanie gazowym, ale życie! Ewa nie wierzyła w nie. Czy tam mógłbym pisać do niej ten list?

W co wierzę? Siedzę w słońcu, miotły palm kokosowych czyszczą błękit nieba z resztek porannych chmur i lśnią w słońcu roślinną rtecją. Nie pojechałem dzisiaj przed południem do mia-

sta, bo od samego rana miałem sporo pracy. Najpierw przyszedł na werandę lekarz, który przyjechał karetką ze szpitala. Jakiś nowy, którego nie znałem. Młody, pewnie początkujący, na praktyce. Sympatyczny, bezpośredni w obejściu, ze śladami przetarcia się wśród Amerykanów. Powiedziałem mu, że ma zabrać nauczycielkę, bo będzie rodzic.

— Ile ona już ma? — zapytał.

— To będzie już szóste — odpowiedziałem.

— Podwiążemy ją — rzucił szybko bez czekania. Potem dodał jakby z obawą: Chyba, że pan się nie zgodzi.

— Każde dziecko z innym. Ona lubi dzieci — uśmiechnęłem się. — Żadne nie jest moje, więc nie mogę decydować. Niech pan sam decyduje.

Cisza, zapalił papierosa.

— Czy pan jest katolikiem? — zapytał nieśmiało.

— A pan? — Potwierdziłem równocześnie skinieniem głowy, że nim jestem. Do jakiego punktu?

— Ja też, ale nie mogę pogodzić się z tym wszystkim. Zwykle przy piątym podwiązuję! Na własną odpowiedzialność.

— Obniżyłbym do trojga — rzuciłem z uznaniem. Zawołałem Lolite i kazałem jej przynieść dla nas kawy.

— Nie wiadomo co robić. Czterdzieści tysięcy rąk robotycznych przybywa nam w rok, a to się nie powiększa — zakreślił półkole trzymanym w ręce papierosem przejeżdżając nim od gór i wulkanów na północy aż do rysującego się na południu paska Pacyfiku. Z mojej werandy widać cały pas wybrzeża, jedyną naprawdę żywą część tego kraju.

— Niech się pan stanie wyznawcą jakiejś doktryny, a wtedy nie będzie się pan pogrążał w pytaniach. Będzie panu łatwiej.

— Ale czy innym będzie łatwiej?

— Jeżeli i oni uwierzą będzie łatwiej także innym.

Rozmawialiśmy przy kawie, dyskutowaliśmy. Gdybyż na cokolwiek można znaleźć jasną odpowiedź. Mówiąc z nim myślałem cały czas o naszych rozmowach z Ewą, rozmowach nas dwojga z innymi ludźmi spotykanymi po drodze. Rozmowy intelektualne i czym bardziej intelektualne, tym bardziej sprowadzające się do maskarady pytań, na które nie ma odpowiedzi. W co wierzą naprawdę? Po co żyje? Jaki jest sens istnienia? Skąd lęk śmierci nawet wtedy, gdy staje się, lub stałaby się ulgą? Do jakiego stopnia trzeba się znieczulić na widok cierpień innych, aby móc żyć samemu? Elementarz myśli, niewyczerpany surowiec systemów filozoficznych i literatury. Pozornie równanie z niezliczoną ilością niewiadomych, kończące się jednak wynikiem zawsze wiadomym — śmiercią. To jest najważniejsze, do tego sprowadza się wszystko. Reszta jest nadbudową, jest bezustanną próbą nie-

przetłumaczalnego *wegerklärung*, „usuwania precz” wiadomej. Bo tylko wtedy można żyć, tylko wtedy walka o życie może być podjęta z energią i nawet wypicie kawy z młodym lekarzem nabiera jakiegoś sensu. Jakiego? Nie wiem, nie umiem odpowiedzieć, ale to odczuwam w ten sposób.

Zaprowadziłem go do „Rancho” z dwojgiem dzieci, sierot indyjskich. Ojciec ich był robotnikiem u mnie. Najpierw umarła matka, niedługo potem ojciec. Czteroletnia dziewczynka i sześciolatek chłopak. Dziewczynka spuchnięta, cała spuchnięta. Chłopak w ostatnim stadium gruźlicy. Dziewczynkę wozili do specjalistów, żaden nie wie co jej jest. Obydwoje słabi, prawie nie chodzą. Przeważnie leżą na łóżku rodziców i tulą się do siebie jak dwa ślepe kotki. Milczą, nie chcą mówić, jedzenie trzeba w nie zmuszać. Co mam z nimi zrobić? Dbam o nie tak, jak tylko mogę. Za życia rodziców nie wiedziałem o nich, bo je chowali jakby ze wstydem, trzymając w „Rancho” jak w więzieniu. Dla chłopca staram się o miejsce w schronisku dla dzieci z gruźlicą. Gdy umrze tam, zmniejszy się we mnie poczucie winy, choć nie jestem temu winien.

— Chciałbym raz uwierzyć, że wszystkiemu jest winien ustrój to ułatwiłoby mi życie i odczytyło litości, uwolniło od winy, uspołecznilo mój egoizm — powiedziałem młodemu lekarzowi.

Spojrzał na mnie jak na pacjenta, jak na tych dwoje. Nie powiedziałem nic. Nie chciało mi się tłumaczyć mu, że przyjmując całkowicie wiadomą równania dalej żyję, bywam szczęśliwy, że prawdziwym sensem jest dla mnie bezsens, marchew. I że nauczyła mnie tego kochana kobieta. Nauczyła wielu innych rzeczy, ściągnęła zokołu na którym stałem dla siebie samego jak pomnik i pchnęła w dalsze życie w normalnej postaci.

Lekarz zabrał nauczycielkę i odjechał z nią do szpitala. Ja poszedłem do robót ziemnych doglądać budowy stawów. Przedpołudniowy upał poprzedzający południową czy nocną ulewę pory deszczowej. Cisza. Jak wtedy. Czasem przyjeżdżałem do pani Eli w lecie. Jej pensjonat był wtedy pełny i do wielkiego stołu w jadalni dostawiano wysokie krzesła dziecinne z barierkami, przy których te zwierzątka dławiły się szpinakiem i innymi papkami, wpychanymi im pracowicie przez pocące się matki. Przed południem chodziłem nieraz na pływalnię z Ewą. Była ładna i ruszała się w swoim kostiumiku kąpielowym, tak jak robią to piękne kobiety, które dobrze o tym wiedzą, że są piękne i dobrze zbudowane, jakby miała już normalne piersi, biodra i uda. Uczyłem ją pływać. Trzymałem ją na rękach zanurzoną w wodzie. Nigdy nie przyszło mi wtedy na myśl, że kiedyś ona całym swoim ciałem będzie trzymała mnie na sobie i nauczy tymi zwykłymi

ruchami szczęścia; że to jej ciało będzie tylko pośrednikiem w uzyskaniu czegoś o wiele ważniejszego. Prawdziwego uczucia, tego czegoś śmiesznego, w czym każde jej spojrzenie, każdy ruch, każdy uśmiech nadawały sens bezsensowi. Gdy wychodziła z wody starała się odciągnąć moje spojrzenia rzucając na zgrabne Żydówki leżące nad basenem. W powietrzu unosił się delikatny zapach olejków i kremów „Nivea”. Mnie wydawał się wtedy zapachem ich ciał, na których kładłem się wzrokiem.

Razem z moim traktorzystą naprawiałem cieknącą rurę gumową przy chłodnicy i tnąc kawałek starej dętki samochodowej do tymczasowego załatania, czułem w rękach tę, którą Ewa zawsze zabierała na pływanię. Ja zwykle ją nosiłem. Bywają chwile, gdy całe dotychczasowe życie wydaje się krótkim błyskiem żarówki przy aparacie fotograficznym i jedną jedyną fotografią. Ile pozostało ze mnie z tamtych czasów? Nic. Byłem kimś zupełnie innym, potem stawiałem się wariacjami na temat tego kogoś aż do chwili gdy przywitałem się po latach z Ewą. Teraz nie stanę się już takim innym?

Popołudniu pojechałem do miasta. Mój majątek zwany po tutejszemu „finca” położony jest na połowie wysokości między górami i płaszczynną wybrzeża. Droga ode mnie do prowincjonalnej miejsciny położonej w pełnym tropiku jest polna i zła. Stamtąd czterdzieści kilometrów już asfaltowanej szosy pod górę do stolicy. Około dwóch godzin jazdy. Właściwie dzieje się to ciągle we mnie, ale najwyraźniej gdy prowadzę samochód. Myśli układają się wtedy intensywniej na dwóch poziomach niż kiedy indziej. Na każde „teraz” nasuwa nasuwa mi się natychmiast mgielka „wtedy”. Chwilami zamienia się ona w coś tak gęstego, że przesłania sobą wszystko i przypomina mi lot w chmurach. Dzisiaj trwało to nawet wtedy, gdy chodziłem po mieście.

Najpierw szukałem miejsca na zaparkowanie mojego jeszcze dobrego Forda, którego kupiłem w ten sam dzień, gdy otrzymałem pierwszy list od Ewy. Trzy lata temu. Jadąc wolno wzdłuż zlepiionych zderzakami wozów, poustawianych przy krawężnikach chodników kładłem w duchu i jednocześnie wodziłem po nich wzrokiem z uczuciem dumy. Były jakby dowodem wzrostu i rozwoju tego małego kraju Ameryki Środkowej, do którego przyjechałem trzynastą lat temu. Ulice były wtedy puste. Po biegnących wzdłuż miasta *avenidas* toczył się ospały ruch. Poprzeczne i wąskie *calles* ziały pustką i słoneczną ciszą prowincjonalnych zaułków. Tylko dzwonki na wózkach sprzedawców lodów, albo krzyki chłopców grających na nich w piłkę świadczyły że są zamieszkałe. Jeszcze je słyszę. Teraz burzy się stare, jednopiętrowe domy o grubych ścianach z „adobe” i na ich miejsce rosną

wysokie nowoczesne budowle ze stali, cementu i szkła. Niemal każda ulica w śródmieściu zasypana jest pyłem tynku i brunatnym kurzem wielkich cegieł z niewypalanej gliny, zawalona do połowy rusztowaniami i betoniarkami przy wznoszących się gmachach. Kto nie ma kapitału na budowanie, burzy często stary dom i na wolnym placu urządza w śródmieściu płatny postój dla samochodów. Opłaca się to lepiej niż czyszyć z tej starej rudery.

Wjechałem w końcu na jeden z takich placów. Obok tego na którym zatrzymałem się dzisiaj, już też burzono, a po drugiej stronie uliczki kopano głębokie fundamenty pod nowy budynek jakiegoś towarzystwa ubezpieczeń. Do głębokiej wyrwy obsunęła się ściana sąsiedniego domu razem kawałkiem parteru i całym biurem honduraskiej linii lotniczej. Z dna wykopu usuwano właśnie resztki mebli, maszyn do pisania i papierów. Zatrzymałem się na chwilę wśród tłumu gapiów i spojrzawszy wokoło pomyślałem mimo woli, że cała ta ulica wyglądała jak po bombardowaniu lotniczym. Tkwiłem znowu w mgiełce, opowiadałem Ewie to czego nie zdążyłem jej nigdy dokładnie opowiedzieć.

Kilkanaście lat temu przechodziłem przez takie miasta. Tak samo był koniec maja, na południowej granicy Niemiec przelatywały wiosenne ulewy i nogi ślizgały się w błocie gruzów. Wyruszyłem z obozu jeńców na własną rękę i szedłem do Francji. Po drogach wędrowali ludzie, toczyły się alianckie ciężarówki. Czasem mnie podwożono, czasem szedłem na piechotę, mając zawsze kogoś za towarzysza.

Ktoś obok mnie gapiący się na wydobywanie resztek mebli z głębokiego wykopu powiedział po hiszpańsku: „Tam na rogu będą budować wielki hotel z heliportem na dachu — zburzą cały blok domów — *toda una cuadra*”. A ja jednocześnie starałem się sobie przypomnieć jak śpiewała tamta dziewczyna. *Du kannst nicht treu sein — nein, nein, das kannst du nich...* To była modna piosenka wtedy. Razem z nią zaczynałem moje życie na nowo. I razem z tą dziewczyną. Spotkałem ją na drodze pod wieczór. Szliśmy razem. Niosła puste torby szukając po wsi kartofli. Całe pochodny tych kartoflarek krążyły po drogach. Słońce już zaszło, nadchodząca noc pooksydowała mokrą zielenią i zablocony asfalt szosy. Zapytała mnie gdzie będę spał. Przydrożne gospody były zawsze przepełnione. Powiedziałem jej, że mam dosyć kawy, aby zapłacić nią za łóżko za nas obydwój. Zaśmiała się i dodała z komiczną powagą, że zawsze przyjemniej wiedzieć naprzód z kim będzie się spać, niż zaznajamiać się dopiero we wspólnym łóżku...

Na dnie wykopu mały buldozer zaczął znowu rzucać się w przód i w tył, na stromym wjeździe wyla ciężarówka wypełniona ziemią i ludzie popychali się ustępując przed nią. Skończono już

zbierać resztki ruchomości biurowych i teraz niemal na każdej twarzy widziałem mniej lub więcej dyskretny zawód, że niczego nie udało się ukraść. Byle czego, czy trzeba czy nie trzeba, dla samej przyjemności kradzieży. Złodziejstwo jest tutaj czymś tak naturalnym i wrodzonym jak ich indyjska sztuka ludowa i stało się chyba teraz jednym z jej licznych i barwnych przejawów. Tkwi w nim swoisty i powszechny artyzm. Gdy myślę o tym uśmiecham się do siebie samego i jednocześnie odczuwam jakby lekkie pchnięcie żalu. Dlaczego tak kradną, dlaczego zmuszają mnie od początku do bezustannej czujności i do poniżających podejrzeń. Spoglądam tu często na ludzi tak samo jak wtedy, w Niemczech, patrzono na mnie.

Gdy wchodziłem do zagrody prosząc o wodę lub o nocleg w stodole lub oborze, nie spuszczano mnie z oczu *Alle diese Flüchtlinge und Kriegsgefangene...* — „A wy ile nakradliście się przez prawie 6 lat wojny?”. Pytałem spokojnie. Spuszczali oczy, stawali się usłużni i niewinni.

Przeszedłem na drugą stronę stronek ulicy. To samo. Walo no stary dom. Robotnicy stali na wyszczerbionych murach i tłukli kilofami. Kurz trzeszczący w zębach, przenikający wszystko, miały poprzecinanych przewodów elektrycznych. Szedłem i jednocześnie wchodziłem z tamtą dziewczyną do przydrożnego „Gasthausu”. Nie było elektryczności. Na stolikach kopciły kaganki kawałki korka z knotem pływające na samochodowej oliwie. W kącie charczał gramofon, przy jakimś stoliku śpiewano chórem. Reflektory wylatujących spoza zakrętu ciężarówek oświetlały salę jasno i krótko, jak błyskawice. Poszedłem za ladę i odmierzyłem szklanke kawy wysypując ją z woreczka. *Ein Bett*. Oczywiście kłaniali mi się. Nareszcie kłaniali się i byli uprzejmi.

Gdy teraz w ułamkach sekundy przesuwają mi się w głowie obrazy i wspomnienia, wiem, że wtedy nie było we mnie żadnej nienawiści. Odżyła po latach tu, wśród ludzi, którzy nic o tym nie wiedzieli, dla których wojna, ta cała wojna była grzmotem poza horyzontem. Przeszło rok temu, siedząc z Ewą w kinie i oglądając wycinki z zapowiedzianego filmu niemieckiego o bohaterstwach ich asa myśliwskiego Marseille, na dźwięk niemieckich słów i niemieckich Messerschmidów obydwójce krzyknęliśmy w ciemnej ciszy. Już i oni fabrykowali swoją legendę z tej wojny, już i oni przedstawiali tę wojnę od najkorzystniejszej dla nich strony. Jak szybko wszystko przemija. W wytwornym kinie, wypełnionym elegancką publicznością tego miasta, nasz krzyk był już tylko głosem kogoś obłąkanego. Ewa powiedziała mi: „Patrz jak szybko mknie czas, przemija życie, wszystko”. Powiedziałem jej, że czuję się jak człowiek, którego okradziono.

Po wyjściu z kina poszliśmy do najbliższego baru i usiedliśmy na wysokich taburetach naprzeciwko ściany pokrytej lustrem. Widziałem nasze twarze unoszące się ponad szybkami przeróżnych butelek. „Tak, ile lat życia skradło nam życie”, powiedziała Ewa i mówiła dalej, sącząc zimny „Martini”. Wszystkim plusom odpowiadały jakieś minusy i gdy leciała myślami wstecz pozostało z nich jedynie uczucie ciągłego znoszenia się. „Jak w równaniu matematycznym” — mówiła — „po dwóch poziomych kreskach następowało zero. Najpierw cyfry, litery, niewiadome do kwadratu, nawiasy, napięcie rozwiązania i w końcu nic, śmierć”. Jeszcze wtedy nie rozumiałem naprawdę, dlaczego o tym mówiła i podobało mi się. Miało to styl typowo barowy. Do tego ktoś siedzący obok robił w lustrze swój pijacki autoportret trzaskając aparatem fotograficznym i błyskawicami flaszki. I martwił się czy wyjdą kolory butelek. „Szczęśliwiec” powiedziała Ewa. Drugi i trzeci „Martini”. Ewa piła je tak szybko jakby odczuwała potrzebę bełkotu własnych myśli, kręcenia się koło kilku ciągle tych samych wyrazów „Życie okrada życie, zero, nic” — szeptała raczej do siebie. Znowu szum ulewy. Bryła wody spada na ziemię i paruje. Perpetuum mobile pory deszczowej. Piję i jest we mnie podobny bełkot myśli, jak w niej wtedy. Dyskutuję z nią, nie chcę ulec rozumowaniu, które mi narzuca. Wierzę w życie choćby mnie z niego okradało bezustannie i do końca.

Rano w mojej fabryczce krochmalu i innych mączek. Robiłem pomiary pod budowę nowej suszarni, gdy nagle wyżej, przy kole wodnym napędzającym prasy, usłyszałem krzyki ludzi: „Zabrało ją, zabrało ją, zniknęła”. Pobiegnęłam. Machali rękami, pokazywali mi, że czteroletnia dziewczynka, córka robotnika obsługującego prasę manioku została porwana przez koło, uniesiona w górę i wrzucona z prądem wody w rurę podziemną z wylotem w rzece o dwieście metrów poniżej. „Biedna Evita, biedna Evita” wołali, ale żaden się nie ruszył. Słyszałem ze wszystkiego tylko imię biegnąc natychmiast w dół. Stałem u wylotu rury, chciałem się modlić i nie mogłem. Czekałem. Zahaczy się wewnątrz o coś, czy nie zahaczy? Nagle struga wody buchająca z rury zmniejszyła się na chwilę, i potem wypłynęła lalkę ze szmatek na płytce strumień. Chwyciłem ją, położyłem na ziemi i zacząłem poruszać jej rękami w sztucznym oddychaniu. Potem przyłożyłem usta do jej małych ust. Żyła, czułem to. Pobiegnęłam z nią do samochodu i ułożyłem obok siebie na siedzeniu, popędziłem do szpitala. W drodze złapała mnie ulewa i musiałem zwolnić,

bo w tej masie wody wycieraczki na szybie są bezsilne. Nie myślałem o niczym, wszystko było walką o życie tej małej. Dowiezłem na czas, wyżyła, nic się jej nie stało, w ciągu godziny przyszła całkiem do siebie.

Popołudniu leżałem na hamaku, drzemiąc. Przybiegła lokalna kobieta od porodów. W jednej ręce trzymała narzędzia akuszerkie: kłębek nici i starą żyłkę, którą obcina pępownię po podwiązaniu jej niciami. Powiedziała mi, że Maria nie może urodzić i trzeba by ją odwieźć do szpitala. Zerwałem się, podjechałem samochodem pod „rancho” i ułożyliśmy Marię na siedzeniu. Jechałem ostrożnie i po paru kilometrach drogi usłyszałem nagle: „*Ya, estuvo — Señor*”. Powiedziała to i wypluła dziecko w potokach krwi jak ta rura małą Evitę. Gdy stanąłem z nią przed szpitalem, chciała wychodzić z samochodu o własnych siłach.

Siedzę teraz na werandzie, w ciemności błyskają resztki świetlików. Życie. Przez cały dzień tkwiłem w nim do tego stopnia, że nie myślałem o Ewie. To życie jest kołem. Wszystko inne jest kwadraturą, próbą wpisywania w nie wieloboku. Można wpisywać je w nieskończoność, ale granicą zawsze będzie koło, rzeczywistością będzie tylko to tutaj. Ono jest celem ostatecznym. Chcę wierzyć tylko w nie żeby nie stać się nieludzkim. Wierząc w cokolwiek innego ryzykuje się nieludzkość. Jak wielu tych od Boga albo materii.



Patrzę w lusterko. Widzę siebie wtedy. Miałem coś w sobie z bohatera powieści, sam przed sobą grałem jakąś postać. Miałem wielki zapas ról i rozległy repertuar. Kim jestem dzisiaj? Najczęściej wydaję się sobie człowiekiem stojącym na jakimś przystanku i czekającym na to samo, na co czekała Ewa. Istotą życia jest czekanie. Wszyscy na coś bezustannie czekamy. Jeżeli chodzi o mnie, to też czekam wiedząc jednak, że niczego poza tym co zawiera w sobie jednakowo życie i śmierć na końcu nie doczekam się. W olbrzymiej większości intensywność czekania jest jak gdyby tak wielka, że przeskakuje się w nim poprzez śmierć, przeczy niemal jej istnieniu przerzuca oczekiwanie poza nie. Czego oczekuje się poza nią? Życia, znowu jakiegoś życia. Jakiego? Takiego nowego, ale lepszego, jeszcze lepszego. Od czasu spotkania Ewy nie potrafię. Przedtem potrafiłem, potrafiłem przeskakiwać bezustannie, potrafiłem grać, potrafiłem być czytelnikiem powieści pisanej przez moje życie i sam ją pisać.

Byłem dzisiaj w mieście i oglądałem wystawy. Tak samo jak w ten dzień gdy dostałem list od Ewy. Ale inaczej niż wtedy. Wtedy potrafiłem rzucić się wprzód, dzisiaj obracałem się w

przestrzeni zamkniętej, w obrębie obwodu koła. Bez prób wpisywania w nie czegokolwiek, bez prób wpisywania wieloboków myśli. Wtedy. Każda sekunda przesuwana do wtedy. Wtedy szedłem tak samo oglądając wystawy pozamykanych sklepów. Było to niedługo po wyjściu z niewoli z obozu jeńców.

Nad opustoszałym Paryżem zapadał sierpniowy wieczór *V'Day'u*. Szedłem pustą *rue de Rivoli*. Przelatujące pod nią pociągi „metro” pełne ludzi jadących w stronę Łuku Triumfalnego dudniły głucho i po chodniku przelatywał krótki dreszcz, który wyczuwałem pod stopami, na pochmurnym, podwieczornym niebie rysowały się anemiczne dwa uda światła z reflektorów, rozwarła w wielki „V” i z daleka dolatywał przytłumiony gwar tłumu. Przy wejściu do kawiarni Rumpelmeyer'a tłoczyły się w drzwiach kelnerki w czarnych sukienkach z białymi fartuszkami spoglądając tęsknie w stronę Pól Elizejskich. Nie dali im wychodnego, pomimo że cały Paryż był zamknięty i w kawiarni nie było nikogo.

Przepchnąłem się między nimi i usiadłem przy stoliku. Umilkły wszystkie i skupione w drzwiach zaczęły mi się przyglądać podejrzliwie, wymieniając jakieś złośliwe uwagi szeptem. Wreszcie jedna podeszła i zapytała opryskliwie czego sobie życzę. „Szampana dla wszystkich” powiedziałem z uśmiechem. Pobiegnęła ku wyjściu i odwołała dziewczętą. Rzuciły się z piskiem zsuwając stoliki, przynosząc kieliszki i otwierając kilka butelek. „Jakie to miłe z Pana strony” — mówiły przechodząc obok mnie i pochylając uśmiechnięte twarze. A we mnie wzbierała wściekłość pomieszana z kpinami z siebie samego. Małą, tanią komedią w pustej kawiarni mściłem się na wielkiej komedii odgrywanej się tam, pod Łukiem Triumfalnym, w Londynie, w Nowym Jorku, w setkach tysięcy miast i miasteczek. I dograłem ją godzinie do końca. Położywszy na stoliku trzy tysiące franków odsunąłem krzesło i wstałem wnosząc kieliszek. Kilkanaście par wesołych oczu spojrzało na mnie z wyczekiwaniem. „Za zdrowie zbrodniarzy pokoju” powiedziałem głośno i wyraźnie, postawiłem pełny kieliszek na stoliku i wyszedłem szybko z kawiarni. To wtedy przeciąłem całą wiązkę przewodów i odetchnąłem. Romantrycznym gestem uwolniłem się od romantyzmu.

Było już ciemno. Szedłem i czułem z ulgą jak łatwo odrywać się od wszystkiego z czym byłem dotychczas zrośnięty. Nie-rozerwalne więzy! Suma przyzwyczajęń wobec których traci się zwykle odwagę, w których można iść bezmyślnie, jak między szynami. Byłe nawiązać, byłe uchwycić jakiś koniec i połączyć coś znowu węzłem, choćby na własnym gardle. I dalej duszę się. Czułem jak wzbierała we mnie niemal nienawiść do własnego

kraju, który jak żaden inny potrafił nafabrykować tyle nierozzerwalnych węzłów, że pozamieniał swych mieszkańców w niewolników. A ja chciałem być wolny jak każdy normalny człowiek.

Miałem ochotę czegoś się napić, uczcić początek, ale nawet bulwarowe bistra były zamknięte i dopiero koło Madeleine znalazłem jedno otwarte. Poprosiłem o podwójny rum. Wtedy czułem tylko moje trzydzieści cztery lata i wskakiwałem w nie z pośpiechem jak do ostatniego pociągu. Było mi wszystko jedno dokąd mnie powiozą. Spoza stolika w kącie podniosła się wysoka dziewczyna z utlenionymi i gładko zaczesanymi włosami. Przy opalonej twarzy włosy wydawały się niemal białe. Podeszła do mnie i zapytała prawie szeptem. *Voulez-vous?* Miała na sobie jasny płaszcz deszczowy i gdy stanęła obok była jakby jeszcze większa i bardziej rozrośnięta. Wyczułem w jej głosie ukrytą nieśmiałość. „Nowicjat” pomyślałem i ująłem ją pod ramię.

W hotelu panowała taka sama cisza jak na ulicach. Pojechaliśmy windą na ostatnie piętro, bo powiedziała, że stamtąd będzie widać ognie sztuczne. Była wielka ale dobrze zbudowana. Wąski pasek białej nieopalonej skóry wokoło bioder i białe wielkie piersi podkreślały jeszcze bardziej jej masywność. Opowiedziała mi, że była dwa tygodnie w Cannes na wakacjach i opalała się od rana do wieczora. *J'ai pas travaillé* dodała fachowo. Wydawało mi się, że pomimo mojego wysokiego wzrostu niknę przy niej z moim białym i szczupłym ciałem. Było mi prawie wstyd.

Pochmurne niebo za oknem zaczęło się rozświetlać krótkimi łunami i rzucać odbłask na kanciastą czerń dachów po drugiej stronie ulicy. „Ognie sztuczne” powiedziała i wstawszy z łóżka podeszła do okna. „To wszystko sztuczne” — bąknąłem i położyłem się na boku przyglądając się temu wielkiemu ciału, na którym dalekie błyski pękających rakiet słały się w mroku siny-mi plamami. „Czy pan nie Polak?” — zapytała nagle. Mruknięciem potakująco i dodałem, że po akcencie łatwo poznać. „*Si* — moi rodzice też z Polski, ale ja już urodzona tutaj” — powiedziała spokojnie i patrzyła dalej w okno. Syknęłem cichym śmiechem i pomyślałem o nierozzerwalnych więzach. Nawet tu mnie dogoniły i gdy po chwili położyła się znowu obok mnie, objąłem ją z głupią czułością i rozrzewnieniem. „Andzia na mnie wołali” — powiedziała po francusku wymawiając twardo „Andża” i przygniatając mnie ciężkim i długim udem. Było mi dobrze i blisko, tuliłem się do niej, bo to jedno było naprawdę uchwytne. Na niebie ciągle błyskały echa pękających daleko rakiet. „Możesz mnie pocałować”, powiedziała po chwili i przyciągnęła mnie do siebie jakby inaczej, jakby nie zawsze tym samym i zawodowym ruchem.

To dlatego, że znowu przeczytałem ten pierwszy list Ewy. Wcale nie ukrywam przed sobą, że narusza on we mnie zawsze równowagę jakichś drobin tak, jak czasem głośniejsze wypowiedziane słowo może naruszyć chwiejną równowagę drobin śniegu. Przysypuje mnie lawina wspomnień i porywa ze sobą. Myśląc teraz o tamtej dziewczynie łączyłem w jakiś sposób jej wspomnienie z Ewą. Była do niej podobna. Ewa na czterech stroniczkach wymawiała nieśmiało „czy nie zechciałbyś?”. Wszystko jedno jak, byle wyrwać się, jechać. Byleby się wyrwać spod szklanki. Byleby mieć złudzenie, że nie mijam się z życiem, że wpływająca godzina lub doba nie była bezużytecznym odpadkiem z którego nigdy nie będzie można zrobić nawet wspomnienia. Bo w końcu wszystkie wspomnienia są zawsze „robione”, wygładzone i dorobione do „teraz”, jedyne go czasu prawdziwego. Przyszłość to tylko śmierć i nic więcej. To ona o tym wiedziała, nie ja. Teraz wiem i ja.

„Jakiś ty biały” — powie nie wiem po raz który Julia podstawiając swoje miedziane ciało, zmatowione popielatym, podskórnym odcieniem domieszki czegoś jaśniejszego i pewnie też już pomieszanego. To są jedyne słowa z jej miłosnego słownika. Reszta odbywa się w milczeniu i tylko z nagłego zaciskania się jej palców na moich ramionach lub biodrach mogę wnioskować że ewentualnie przeżywa coś więcej pod zamkniętymi powiekami. Co? A ja czym jestem wtedy? Wędrowałem po obwodzie koła i niczym więcej. Nie myślę, staram się nie myśleć. Kłamie. Kłamstwo wobec siebie samego i innych ludzi, nie myślenie to życie. Patrę z podziwem i zazdrością. Nie myślą i dlatego żyją, mówią, przejmują się byle czym, rozmawiają, płyną na powierzchni, dążą do szczęścia najczęściej do tego zwykłego: kobiety, żony, płaczących i kapryśnych dzieci, trosk i pieniędzy, będących gaśnicą tych trosk. Ile razy na dzień nie myśli się, zamilcza i kłamie w stosunkach z ludźmi i samym sobą? Musi się to robić, aby utrzymać się na powierzchni, płynąć na tej samej rzece życia i być przekonanym, że to ma jakiś cel. Szuka się własnego obrazu na tle innych, podmurowuje się siebie i własne życie zaprawą z żyć innych, buduje się siebie na fundamentach innych. I w końcu spogląda się na siebie nie własnymi oczami, lecz oczami ich, tych najbliższych, bliższych i dalszych.

Popołudniu w miasteczku. Wilgotny upał pory deszczowej. Zajechałem do ojca de la Grange, już od dawna mnie zapraszał na jakiś znakomity samogon, otrzymany w podarunku od jednej z wielbicielek. Niedawno opuścił Chiny, dziś nawraca pogan tutaj. Zastałem u niego delegację prostytutek proszących go aby interweniował u gubernatora przeciwko projektowi zamknięcia

domów publicznych. *Querido podrecito* — „kochany ojczulku” zwracały się do uśmiechniętego staruszka. Zobaczywszy mnie mrugał od czasu do czasu jednym okiem i obiecywał tłustym i brudnym dziewczynom pomoc. Gdy w końcu wyszły prosił mnie, żebym usiadł, a sam zakreślił się koło kredensu w poszukiwaniu kieliszków i butelki indyjskiego nektaru.

— *Mon père* ich nie nawraca? zapytałem.

— Czy dałby pan któreś z nich pracę w swojej „finca”? — odpowiedział pytaniem.

— Raczej nie.

— Widzi pan. Co mają robić? Co mogę z nimi zrobić ja? Za późno. Mogę tylko w każdej z nich widzieć kandydatkę na św. Magdalenę. Może się zdarzyć. Rachunek prawdopodobieństwa.

Postawił butelkę ze szkockiej whisky wypełnioną obiecywanym samogonem i nalewał go do kieliszków w skupieniu. Rzeczywiście świetny, nigdy takiego nie piłem. W smaku był niepodobny do niczego, o dziwnym aromacie i płynności. Ojciec de la Grange rozkoszował się nim bez skrępowania.

— Smakuje panu? — zapytał.

— Bardzo. To musi być stare.

— Ma co najmniej tyle lat co ja — powiedział mlaskając. — Co słychać u pana? Zawsze to samo? — położył mi kościłą dłoń na ramieniu.

— To samo. Staram się żyć. Zamówiłem dwie nowe maszyny.

— I ciągle myśli pan o niej?

— Ciągle — uśmiechnąłem się.

— I rozbija pan bezustannie nasz atom mistyczny.

— Jaki?

— Boga. Bawi się Pan w modną fizykę. Ten kieliszek z tym wspaniałym „clandestino” nie miałby żadnego sensu bez Boga. Zapewniam pana. Niech się pan jeszcze napije. To też cząstka tworzącego się bezustannie wszechświata. I pan jest jego cząstką.

— Potem też?

— Śmierć to też Bóg. I w niej trzeba Go odnaleźć. Wszystko jest Jego cząstką.

— Panteizm.

— Więc niech pan wierzy w szatana, w byle co, ale niech pan wierzy. A jeśli pan nie może wierzyć, to niech pan chociaż ufa. Choćby w siebie samego. Niech się Pan jeszcze napije — poprosił przysmykając oczy.

Przez sito okna obciążonego nylonową siatką wpadał za-

pach fermentujących na ulicy skorup orzechów kokosowych, łup bananów, pomarańcz, całej masy odpadków różnych owoców tego klimatu. Jedyne zapach tropiku skondensowany pod ciśnieniem nadchodzącej ulewy. Huk podwieczornych petard był przytłumiony i już wilgotny. Piliśmy w milczeniu. Potem ojciec de la Grange wstał, podszedł do kredensu i wyjął drugą butelkę.

— To dla pana. Żal mi, ale niech pan ją sobie weźmie.

— Przywiozę ze sobą, gdy znowu wpadnę do ojca, wypijemy razem — kłamałem, wiedząc od razu, że wypiję ją sam.

Wsiadłem do samochodu, ulewa złapała mnie w połowie drogi. Stałem i słuchałem bębnienia wody po dachu. Okłamać siebie, okłamać do punktu w którym każdy ruch, każda czynność ma cel, jest częścią jakiegoś planu, jakiegoś równania z niewiadomymi do nieskończonej potęgi. Czy jakkolwiek wiara nie jest w końcu kloszem, pod który wkłada się samego siebie w obronie przed samym sobą?

Zapaliłem reflektory i wbiłem się w ścianę wody, żeby nie myśleć, uniknąć pozy, zajmowania stanowiska przy pomocy prostszego rozumowania. Wobec kogo? Wobec Ewy? Wobec Boga? Wszystko jest pozą.

List. Cztery stroniczki taniego papieru. „Kochany Jerzy! Ponieważ od roku już nie mieszkam w domu, list od Ciebie przeczytał mi Twój stryj dopiero teraz, choć przyszedł już dawno.

I wiesz — nie mogłam wytrzymać żeby do Ciebie nie napisać tam na drugi koniec świata, żeby Cię przekonać, że nie jestem już małą dziewczynką, dla której rysowałeś lalki z papieru. Niestety — to były dawne czasy — i choć Ciebie naprawdę nie uważam za dziadka, to sama zbliżam się do wieku staropanieńskiego. Życia, niestety, nie ułożyłam sobie tak, jakbym tego pragnęła. W związku z tym często myślę o Tobie i bardzo, bardzo Ci zazdroszczę. Bo choć wiem, że różnie tam u Ciebie bywało — raz lepiej, raz gorzej — to w każdym razie życie Twoje było cudownie ciekawe. Zwidziłeś kawał świata, widziałeś tak wiele, a najważniejsze to to, że umiałeś patrzeć na wszystko otwartymi oczami. Twoje rzadkie listy czytam po kilka razy — czytam je z ogromną przyjemnością, przeżywałam wszystko razem z Tobą.

Bo widzisz — tu życie jest beznadziejnie szare i gdy obywatel ma trochę „ponad normę” fantazji, to czuje się jak mucha w szklance odwróconej do góry dnem.

Kraków pozostał tym czym był — miastem emerytów, zubożałych hrabin, uczącej się młodzieży — miastem w którym ludzie mało zarabiają i nie mają wielkich aspiracji. Wyjechałam do Szczecina, ale tam nie czułam się dobrze — zresztą to długa historia...

Jestem trenerem gimnastyki, uprawiam wszystkie możliwe sporty i dzięki temu jeżdżę po całej Polsce — nie muszę siedzieć za biurkiem. To mnie trochę ratuje... Nie zarabiam wiele — 900 zł. tzn. nie wiele więcej niż para butów, ale to nie jest ważne. Jedno o czym marzę to zwiedzić trochę świata — wszystko jedno jak — byle jechać. I to właśnie jest zupełnie niemożliwe.

Ten Twój daleki kraj z wysokimi palmami i wulkanami śni mi się po nocach — tak daleki i tak bliski zarazem. Mam wiele koleżanek, które jako reprezentantki Polski wyjeżdżają za granicę na różne zawody sportowe. Czasem pytam o wrażenia z podróży, ale one widzą tylko ceny pończoch i szminek w Paryżu lub Rzymie. No trudno — może kiedyś...

Drogi Jerzy — jeżeli będziesz miał wolną chwilę i ochotę to napisz do mnie. Tak bardzo będę się cieszyć. Tymczasem przesyłam Ci najserdeczniejsze pozdrowienia.

Ewa”.

W rogu na dole był adres. Starałem się przypomnieć sobie ulicę Smoleńską i wyłowić z pamięci czy podany numer domu był przed Muzeum Przemysłowym, do którego jako mały chłopak chodziłem co niedzielę do kina, czy za, już w stronę... Nazwy tamtej ulicy już nie pamiętałem i myśląc o zieleni kasztanów na pobliskich Plantach poczułem nieodczuwaną nigdy odległość. Dopiero ten krótki list od kogoś, o kim przez przeszło 20 lat nigdy nie myślałem, nagle mi ją uświadomił.

Odłożyłem arkusiki tego prawie gazetowego papieru, wziąłem cukierniczkę i próbowałem nasypać z niej cukru na łyżeczkę, choć wiedziałem, że w czasie deszczów żadna z tych cukierniczek nie działa. Próba tego rodzaju należy jednak do specyficznego rytuału i ktoś kto od razu odkręciłby pokrywkę i wykruszył łyżeczką kilka grudek, byłby uważany za *maleducado*. Odkręciłem pokrywkę, wypuściłem na wolność uwieczoną tam muchę i wylałem parę kawałków cukru nie poplamionych jeszcze kawą z łyżeczek dobrze wychowanych poprzedników. Wylatująca z cukierniczki mucha przypomniała mi porównanie z listu. Zacząłem wtedy powtórnie czytać te cztery stroniczki od początku. Jak teraz. Ile razy je czytałem? Umieję je na pamięć.

W kawiarni było cicho i pusto, głośnik na ścianie szemrał przyciszonym jazzem i za wielkim oknem wychodzącym na główną ulicę zaczął padać popołudniowy deszcz, który zamienił się szybko w tropikalną ulewę. Tuż nad dachami przeleciał lądujący samolot pasażerski, ryknął nagle i ucichł tak samo nagle. Umilkły gwizdki policjantów, samochody zwalniały i spod wahadeł wycieraczek na szybach bryzgały grube strugi wody.

Dopiłem resztkę zimnej kawy. Trzymając list w ręce starałem się ją sobie wyobrazić. Jaka była dzisiaj? Nie przysłała fotografii, ale jej zawód trenera gimnastyki ukazywał mi smukłą sylwetkę trzydziestoletniej kobiety. Od roku nie mieszkała w domu, wyjeżdżała do Szczecina, to długa historia... Pewnie już wiele przeszła szukając i nie znajdując. W tym wieku wzrasta często pośpiech, często wydaje się, że człowiek mija się z życiem, że nie zdąży, że każdy dzień jest zmarnowany. Apetyt tak przerasta podawane przez życie potrawy, że jest się wiecznie głodnym. Rozumiem ją myśląc o sobie z tych lat. A może czuła to, czego ja w czasach mojej młodości nie brałem pod uwagę, że życie to po prostu śmierć na raty. Ci młodzi wiedzą dziś o życiu i o śmierci więcej. I chcieli jeść prędko, chcieli najeść się przed terminem ostatniej spłaty. Podobnie jak ja wtedy, w ten dzień. Pomimo całej różnicy sytuacji czułem w jej liście wspólnotę pragnień. Tylko, że ona miała jeszcze więcej czasu podczas gdy moja rezerwa była już nikła. Mimo woli sumowałem lata.

Ulewa przewaliła się przez miasto, ludzie schowani pod okapami i pod daszkami sklepów rozchodzili się, samochody przyspieszyły bieg i przesuwały się szybciej w wielkiej szybkości. Przez otwarte drzwi kawiarni wdierał się znowu ostry głos gwizdzków policjantów, dezorganizujących ruch na skrzyżowaniach ulic. Złożyłem list i wsunąłem do bocznej kieszeni marynarki. Narzuciłem na ramiona płaszcz z plastyku i wyszedłem na ulicę pochłonięty już innymi myślami.

Czekałem na ten dzień długo, prawie osiem lat. Po deszczu odświeżyło się i powietrze było pełne wyraźnych zapachów, które nie zdążyły rozpuścić się w świetle słońca już wysuwającego się spoza czarnych chmur. Niesione wiatrem unosiły się rzadkie krople kończącego się deszczu jakby lżejsze i bardziej lotne od zwykłej wody. Przystanąłem koło gmachu poczty. Osiem lat temu w tym samym miejscu stałem prawie bez grosza w kieszeni chowając ostatnie *centavos* na placki z kukurydzy i trochę czarnej fasoli, które jadałem w brudnej jadłodajni centralnych hal targowych. Na samo wspomnienie czuję jeszcze dzisiaj w nosie ohydny zapach smażonych pancerników, ignanów, tych olbrzymich jaszczurek i innych smakołyków indyjskich. Tego dnia otrzymałem pracę w fabryce butów, pół dolara za dniówkę.

Dzisiaj dopiero widzę do jakiego stopnia grałem sam przed sobą bohatera, do jakiego stopnia wszystko jest bezustanną grą, do jakiego stopnia trzeba ją uprawiać, żeby wszystko miało jakiś sens. Będąc już kiedyś kimś, będąc niegdyś młodym człowiekiem z przyszłością, teraz cieszyłem się i byłem dumny z tego pół dolara dziennie. W jakiejś postaci z jakiejś powieści, postaci fałszywej i niedopowiedzianej do końca, jak wszystkie postacie po-

wieściowe i startowałem z tym pół dolarem dziennie po raz drugi w życiu. Potęga fikcji, potęga bezustannego transponowania rzeczywistości, do której dojść z powrotem, żeby być znowu tym jednym z wielu, tym jednym z miliardów nie myślących i poruszających się tylko dzięki temu.

Stałem na ulicy i rozkoszowałem się przebicciem, wydobywaniem się na powierzchnię z dna półdolarowej dniówki, powoli i bez niczyjej pomocy. Julia oczywiście pomogła mi. To nie ulegało wątpliwości. Ale Julia była instrumentem, była też moim dziełem. Uformowałem ją i nauczyłem wszystkiego. Stanowiła część inwentarza, dorobek. Pomimo tego przysłała mi mój autoportret, była jakby piorunochronem wyrzutów sumienia. Nie potrafiłbym traktować tych ludzi tak, jak ona, choć było to konieczne. Wiedziałem o tym od początku i gdy tylko dostrzegłem w niej zimną bezwzględność z jaką odnosiła się do dziewcząt w mojej pierwszej „fabryce” przerzuciłem cały ciężar na nią. Metoda konkwistatorów. Nie ukrywałem przed sobą, że szedłem naprzód podbojem.

Ale czy ja nie cierpiałem także? Czy nie redukowałem moich potrzeb przez lata do minimum? Pracowałem ciężko, tworzyłem z niczego. Julia pomagała mi, brała lekko na siebie ciężar nienawistnych spojrzeń. Ja pozostawałem poza ich zasięgiem, byłem zawsze dobrym monarchą osłaniającym lud przed samowolą ministrów... Odkryłem działanie tego systemu bardzo szybko i umiejętnie windowałem siebie na piedestał wielkodusznego władcy, krąg poddanych wzrastał stopniowo i powoli. Dziś liczy ponad dwie setki pracujących w moim majątku, w fabryce krochmalu i przetworów z kukurydzy. Julia tkwi nadal na stanowisku. Gdy odkryłem system związałem ją jeszcze bardziej ze sobą. Świadomie i prawie na zimno. Dzisiaj wiąże ją nadal, jest częścią konstrukcji, którą podtrzymuję wszystkimi siłami dla samej konstrukcji życia dla życia, sztuki dla sztuki.

Andrzej BOBKOWSKI

W pierwszą rocznicę śmierci Andrzeja Bobkowskiego drukujemy szkic powieści, nad którą pracował w ostatnich miesiącach swego życia.

Archiwum polityczne

Liberation, Containment i co dalej ?

Gdyby w ramach zachodniej Europy istniał kraj, który byłby tak zafascynowany Wschodem jak Polska zafascynowana jest Zachodem — Rosja sowiecka nie szczędziłaby ani wysiłków ani kosztów, by ową sympatię i fascynację przekuć na kapitał polityczny.

Wszyscy korespondenci pism amerykańskich, amerykańscy politycy z b. wiceprezydentem Nixonem na czele, uczeni i specjaliści — zgodnym chórem mówią o pro-amerykańskich sympatiach polskiego społeczeństwa. Mówią i piszą — lecz politycznie na tym wszystko się kończy. Amerykanie jeszcze ciągle nie rozumieją polityki pośredniej poprzez wpływ i oddziaływanie. Klasycznego przykładu dostarczają w tej materii dzieje ich siostrzanego kontynentu Ameryki łacińskiej.

Europę wschodnią przysłonili Ameryce Niemcy. W mojej książce niemieckiej, która ukazała się dwa lata temu — starałem się wykazać, że Niemcy — na dłuższą metę — nie mogą ograniczyć się do orientacji zachodniej ponieważ ich podstawowe interesy zakotwiczone są na Wschodzie.

Dopóki postulaty pod adresem Wschodu wysuwali tylko rewizjoniści i organizacje ziomkowskie — sprawa miała inny wymiar w sensie politycznym i inny wydźwięk w sensie moralnym. Ale ośmiu autorów znanego memorandum z Tybingi, Karl Jaspers, Golo Mann i wszyscy ich zwolennicy to są również „rewizjoniści”. Wszystko zależy jaki sens nadamy temu terminowi. Jeżeli przez rewizjonizm rozumieć nie postulaty terytorialne pod adresem Polski, lecz żądania zmiany polityki Bonn w stosunku do Europy wschodniej — to wówczas i ośmiu sprawiedliwych z Tybingi należy określić mianem rewizjonistów.

Nie ulega wątpliwości, że wśród światłej opinii niemieckiej zaczyna wolno krystalizować się przekonanie, że kardynał-

ny problem Niemiec — tj. zjednoczenie — jest nie do załatwienia w ramach jednostronnej orientacji zachodniej. Pytanie brzmi czy Niemcy w przyszłości swą nową politykę wschodnią podejmą we własnym imieniu — czy też w ramach nowej szerokiej amerykańskiej polityki wschodniej? Od odpowiedzi na to pytanie zależeć będzie bardzo wiele.

Pewni Niemcy rozumieją — z czego Amerykanie do tej pory na ogół nie zdają sobie sprawy — że zjednoczenie Niemiec nie może być wyizolowane z problematyki wschodnio-europejskiej. Co to oznacza? Oznacza to, że zjednoczenie nie zostanie wynegocjowane między ministrami Ruskim a Gromką — ani nawet pomiędzy prez. Kennedym a prem. Chruszczowem. Realistyczna droga do zjednoczenia wiedzie poprzez uznanie granicy na Odrze i Nysie oraz normalizację stosunków pomiędzy Republiką Federalną a Polską.

W jednym z poprzednich artykułów podkreśliłem, że Niemcy odziedziczyli po nas rolę „przedmurza”. Należy jednak stwierdzić, że coraz większy procent Niemców zaczyna sobie uświadamiać, że funkcja „przedmurza” i związana z tą funkcją jednostronna zachodnia orientacja polityczna redukują nadzieje zjednoczenia — po ludzku sądząc, do zera.

Też tego artykułu jest pogląd, że Amerykanie winni przejąć inicjatywę na odcinku wschodnio-europejskim nim następny rząd w Bonn podejmie tę inicjatywę we własnym imieniu. Wówczas bowiem polityczne owoce odprężenia przypadną w całości Bonn a nie Waszyngtonowi.

W tym miejscu konieczny jest mały margines.

Lubimy wykpiwać absurdalności — jeżeli wolno się tak wyrazić — dialektyki komunistycznej. Ale trzeba spokojnie stwierdzić, że z upływem lat przejęliśmy pewien procent *double think*'u od naszych przeciwników. Wykazujemy również pewną inwencję w konstruowaniu naszych własnych „dialektycznych” specjalności.

Poświęćmy chwilę uwagi terminowi „koegzystencja”. Deklaracja 81 partii komunistycznych z 1961 r. nie pozostawia cienia wątpliwości co komuniści rozumieją przez koegzystencję. Komuniści przez koegzystencję rozumieją nie ustabilizowany, zorganizowany pokój — tylko „pokój” umożliwiający realizowanie celów komunizmu przy równoczesnym uniknięciu atomowej katastrofy światowej. Innymi słowy sens terminu „koegzystencja” w ujęciu komunistycznym zawarty jest w celu, któremu polityka koegzystencyjna ma służyć.

Tylko w jednym punkcie istnieje analogia pomiędzy naszą interpretacją polityki koegzystencji a sowiecką interpretacją tego terminu. W jeszcze większym stopniu niż nasi przeciwnicy pragniemy uniknąć totalnej wojny atomowej. Ale w tym miejscu kończą się wszystkie analogie. Dla komunistów koegzystencja jest środkiem do celu — dla nas jest celem sama w

sobie. Koegzystencję pojmujemy jako pokój, niedoskonały wprawdzie czy kłopotliwy — niemniej cenny i wart pielęgnacji. Koegzystencja w sensie zachodnim nie ma żadnej politycznej treści — i wskutek tego stale oscyluje pomiędzy kryzysem a *appeasement*'em.

W tej całej sprawie chodzi mi o uwypuklenie i podkreślenie zasadniczego punktu. Wielki *deterrent* nadaje się do utrzymania i obrony *status quo*. Jednak politycznie jest jałowy, bo trudno nim wymusić na przeciwniku jakiegokolwiek ustępstwa. *Stale-mane*, który panuje w negocjacjach pomiędzy Wschodem i Zachodem ilustruje fakt, że ani Waszyngton na Moskwie ani Moskwa na Waszyngtonie nie może niczego wymusić siłą. Moskwa może siłą wymusić ustępstwa w Budapeszcie — Waszyngton mógłby użyć siły w stosunku do Kuby — ale oba supermocarstwa w swych wzajemnych stosunkach są w pewnym sensie „bezsilne”.

W takim układzie bez precedensu w dziejach — polityka koegzystencji nie może latami udawać normalnej, konwencjonalnej polityki prowadzonej staroświeckimi metodami dyplomatycznymi. Komuniści podtrzymują tę grę w znacznej mierze ze względów propagandowych — ale dróg dla przyszłego triumfu komunizmu nie torują ambasadorzy, ministrowie i dyplomaci. Główną robotę — a przez robotę rozumiem wpływ i urabianie opinii — robią komuniści, pro-komuniści, *fellow-traveller*'zy, intelektualiści, pisarze, dziennikarze, redaktorzy pism.

Celem polityki koegzystencji w ujęciu zachodnim winno być nie przetrwanie, lecz przemiana. W poprzednim artykule („Kultura” — maj br.) wysunąłem pogląd, że długofalowym historycznym zadaniem Słowian zachodnich winno być przybliżenie Rosji do Zachodu. Rosja jest nie tylko naszym sąsiadem. W pierwszym rzędzie Rosja jest sąsiadem Anferki. Dopuszczenie Rosji sowieckiej w jej ewolucji w najszerszym tego słowa pojęciu winno być długodystansowym celem koegzystencyjnej polityki amerykańskiej. Rosja jest zbyt wielka i zbyt potężna by mogła pozostać egzotyczna i totalnie różna od reszty cywilizowanego świata.

Politykę koegzystencji powinniśmy pojmować podobnie, jak komuniści — to znaczy rozszerzać i pogłębiać sferę naszych wpływów kulturalnych i ideologicznych. Przez „ideologię” nie rozumiem w tym wypadku antykomunizmu, lecz owe podstawowe wartości systemu zachodniego, o których tak chętnie mówimy, a jeszcze chętniej piszemy.

Komunizm znajduje się w tej chwili w stanie ewolucyjnego fermentu i jego ostateczny kształt w znacznej mierze zależeć będzie od naszego wpływu i od naszej polityki.

Tym, którym powyższe propozycje wydadzą się „papierowe”, „inteligentkie” i „nieżyciowe” — odpowiadam następująco.

Jako londyńskiego reprezentanta „Kultury” odwiedza mnie wiele osób z Polski, a wśród nich wielu przedstawicieli młodego pokolenia.

Młodzi, wychowani na propagandzie, „kulcie jednostki” i „drętwej mowie” — patrzą na Zachód z fascynacją, ale i z wielką nieufnością. Dziesiątki razy słyszałem pytanie: „Czy wy naprawdę wierzycie w to, co głosicie i piszecie?”. Staraniem się dojść do źródeł owej nieufności. Źródłem owej nieufności jest nasza zachodnia tendencja do okupywania porozumienia politycznego drogą *appeasement*'u ideologicznego. Stosujemy ten *appeasement* po obu stronach barykady. Godzimy się na Battistów, Franców, Salazarów — jeśli odpowiada to naszemu schematom politycznym. Zgodzilibyśmy się na nowego Stalina, gdyby Związek Sowiecki podpisał z nami układ polityczny, który dawałby nam dostateczną gwarancję bezpieczeństwa.

Ów rozdział pomiędzy głoszonymi hasłami, a realną polityką jest dla młodego pokolenia za „żelazną kurtyną” czymś znajomym i nie budzącym zaufania.

Nie wywieramy wpływu, bo nie bierzemy udziału w dyskusji. Z jednej strony uprawiamy antykomunistyczną propagandę — z drugiej strony prowadzimy naukowe, kosztowne studia nad komunizmem.

Młodzi ludzie z Polski, którzy przeglądali u mnie wydawnictwa typu „East Europe” — z pewną ironią mówili, że w ten sposób można by opisywać cywilizację Inków. Bo Inków można już tylko studiować, ale nie można z nimi dyskutować.

Inteligentów z za „żelaznej kurtyny” uderza zdumiewająca dysproporcja, jaka istnieje na Zachodzie pomiędzy tysiącami instytutów badawczych poświęconych sprawom komunizmu, a praktycznym efektem tych studiów. Po co gromadzi się tę gigantyczną wiedzę jeżeli nie robi się z niej żadnego praktycznego użytku?

Amerykańscy specjaliści od Europy wschodniej znajdują często łatwiej wspólny język z prof. A. Schaffem niż z „Kulturą” — łatwiej z niekomunistycznymi lojalistami niż z komunistycznymi rewizjonistami — łatwiej z obrońcami *status quo* niż z opozycjonistami, którzy wypracowują plany przebudowy.

Jeszcze raz wracam do książki Stawara, bo to jest już dziś przykład klasyczny. Nasi przyjaciele amerykańscy są przeciwnikami wydawania za granicą po rosyjsku pism Stawara i innych rewizjonistów. Dlaczego — co kryje się za ich rozumowaniem?

Rozumowanie pewnych naszych amerykańskich przyjaciół opiera się na fałszywej przesłance, że zachowanie indyferentnej postawy ideologicznej może ułatwić odprężenie polityczne. Innymi słowy wydając Stawara po rosyjsku, biorąc czynny udział w dyskusji ideologicznej, dynamizując wpływ zachodnie w krajach satelickich — „drażnilibyśmy” Rosję, a tym samym oddalali konferencję „na szczycie” i odprężenie w nieskończoność.

To jest błędne podejście. Dopóki w Sowietach nie nastąpią poważniejsze ewolucyjne przemiany — każde odprężenie będzie odprężeniem taktycznym. Nie chodzi o nawracanie Rosji na demokrację parlamentarną, lecz o zrozumienie i przyjęcie poglądu, że przyszły model komunizmu sowieckiego jest sprawą, która dotyczy nas bezpośrednio i jest poniekąd naszą sprawą. Od tego modelu bowiem zależy nie tylko pokój świata, ale przyszła struktura stosunków międzynarodowych — inaczej model naszego globu.

Rosja może pozostać mocarstwem socjalistycznym, ale swą doktryną ideologiczną musi unowocześnić i oddogmatyzować.

Prof. A.J. Ayer, wybitny filozof oxfordzki, wygłosił ostatnio serię odczytów w Moskwie. Według jego opinii filozofowie rosyjscy — zwłaszcza młodszej generacji — zdają sobie sprawę ze swej całkowitej izolacji i odcięcia od świata. Jedno jest pewne. Obecny system filozoficzno-ideologiczny, który usprawiedliwia i afirmuje politykę sowiecką utrzymać można jedynie w izolacji. I odwrotnie, nieodzownym warunkiem poważniejszych przemian w Rosji jest przełamanie tej izolacji.

Komunizm nie da się wytrzebić. Komunizm można natomiast unowocześnić. Przez unowocześnienie rozumiem ewolucję od dogmatyzmu ku pragmatyzmowi i od totalizmu ku pewnym formom socjalistycznej demokracji.

Przeobrażanie się Związku Sowieckiego w nowoczesne społeczeństwo przemysłowe sprzyja niewątpliwie procesowi „mumifikacji” dogmatyzmu i stosowaniu w praktyce kryteriów pragmatycznych. O ile jednak pragmatyzację można uznać w pewnej mierze za nieuchronną konsekwencję procesu „doganiania Ameryki” — o tyle perspektywy demokratyzacji nie przedstawiają się tak różowo.

Wolność (nie bójmy się tego wyświechtanego słówka, które wyświechtane jest tylko dla nas na Zachodzie) — nie jest produktem ani uprzemysłowienia ani dobrobytu ani nawet bogactwa. Wolność rodzi się z naporu — zazwyczaj mniejszości, która chce być wolna.

W moim przekonaniu perspektywy demokratyzacji w Związku Sowieckim zależą od trzech czynników. Po pierwsze — komunizm musi się upragmatyzować do tego stopnia, by „doganianie Ameryki” stało się realną propozycją. Po drugie — Sowiety muszą dojść do porozumienia z Waszyngtonem w podstawowych sprawach kontroli zbrojeń atomowych. Po trzecie — musi być przełamana — choćby częściowo i stopniowo — blokada społeczeństwa sowieckiego odcinająca je od Zachodu. Społeczeństwo sowieckie po niemal półwiekowej kwarrantannie musi być powtórnie „zarażone” kulturą zachodnią.

Krytyczny Czytelnik zauważy w tym miejscu, że Ameryka nie ma praktycznych możliwości oddziaływania na procesy ewolucyjne w Rosji sowieckiej. Gdzie Waszyngton gdzie Moskwa — gdzie Rzym gdzie Krym.

Ameryka nie ma istotnie możliwości działania bezpośredniego, ale ma możliwości oddziaływania pośredniego poprzez kraje Europy wschodniej. W aspekcie długofalowej amerykańskiej polityki wschodniej — Polska, Węgry i Czechosłowacja są ważniejsze niż Niemcy. To co się dzieje w Warszawie — jeżeli chodzi o oddźwięk i konsekwencje w odniesieniu do bloku wschodniego — jest ważniejsze od tego co dzieje się w Bonn. Przez blok wschodni w tym kontekście rozumiem europejskie państwa komunistyczne z wyłączeniem Jugosławii i Albanii.

Polacy — po Rosjanach — są najliczniejszym narodem słowiańskim. Są narodem zachodnim wykazującym kresowy „patriotyzm” kultury zachodniej. Polski „model” komunistyczny jest niewątpliwie najbardziej zachodnią formą komunizmu, jaka istnieje na świecie. W Polsce — poza partią komunistyczną — mamy legalne partie polityczne — o czym na Zachodzie poza specjalistami nikt nie wie, a co w procesie re-demokratyzacji ustroju może mieć wielkie znaczenie.

Można by niezmiernie wzmocnić awangardowość polskiego „modelu” i potężnie zdynamizować napór społeczeństwa na aparat partyjny, gdyby spełniono pewne warunki.

Warunkiem podstawowym jest rozwiązanie problemu niemieckiego. Prof. Zbigniew Brzeziński w doskonałym artykule pt. „Peaceful engagement” (*The New Republic*, March 26. 1962) — wysunął projekt szerokiej amerykańskiej pomocy gospodarczej dla krajów Europy wschodniej. W większości wypadków moje poglądy pokrywają się z wnioskami prof. Brzezińskiego — jednak sądzę, że *first things are first*. Polacy nie mogą ryzykować najmniejszego pogorszenia swych stosunków z Moskwą dopóki Rosja jest *de facto* jedyną gwarantką naszej granicy na Odrze i Nysie. I to musi być wreszcie na Zachodzie zrozumiane. W obecnym stanie rzeczy Rosja ma nieograniczone możliwości nacisku i szantażu w stosunku do Polski. Chruszczow może zawsze powiedzieć Gomułce pod kwiatkiem lub bez kwiatka: „myślałem, że ziemię odzyskane z Wrocławiem i Szczecinem są dla was ważniejsze od pożyczki amerykańskiej”. I na taką uwagę w ramach polskiej polityki nie ma odpowiedzi.

Problem granicy na Odrze i Nysie, który w gruncie rzeczy jest sprawą przesądzoną — paraliżuje politykę amerykańską w stosunku do krajów Europy wschodniej.

Amerykanie winni Niemcom spokojnie powiedzieć, że krokiem wstępnym na drodze do zjednoczenia Niemiec musi być uznanie granicy na Odrze i Nysie oraz całkowita normalizacja stosunków pomiędzy Federalną Republiką, a krajami Europy wschodniej. Czysto negatywna polityka (nie uznawania granicy na Odrze i Nysie, brak stosunków dyplomatycznych itd.) jeżeli nie jest poparta pozytywną decyzją użycia siły nie prowadzi do niczego, a problem zjednoczenia Niemiec wyłącza ze sfery rzeczy osiągalnych.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie przez Amerykę nie musiałyby nosić charakteru oficjalnego. Wystarczyłoby autorytatywne stwierdzenie ze strony Białego Domu, że w przyszłym układzie pokojowym z Niemcami — Stany Zjednoczone domagać się będą uznania granicy na Odrze i Nysie za legalną i ostateczną granicę pomiędzy Polską a Niemcami. Tego typu oświadczenie nie przesądzałoby sprawy uznania rządu NRD.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie otwarłoby przed Ameryką ogromne pole możliwości intensywnego oddziaływania na kraje wschodnio-europejskie, które stanowią „system połączonych naczyń” z Rosją sowiecką.

Amerykanie są tak tradycyjnie a-imperialistyczni, że nie zdają sobie sprawy z atrakcyjności amerykańizmu. Antyamerykanizm pewnych kół w Anglii i na kontynencie przysłania im właściwą perspektywę. Faktem natomiast jest, że antyamerykanizm tak w Anglii jak i na kontynencie jest nie tyle związany z „lewicą” czy „prawicą” ile z metryką urodzenia. Antyamerykanizm cechuje pewne warstwy i koła pokolenia schodzącego ze sceny. Wśród młodego pokolenia prawie, że nie istnieje.

Starsi panowie w Londynie, w Warszawie, w Moskwie — wykpiwają młodych w Londynie, w Warszawie, w Moskwie którzy słuchają namiętnie muzyki jazzowej, tańczą „twista” i naśladują młodzież amerykańską w stroju i w stylu życia.

Ale dlaczego ani Moskwa ani Londyn nie produkują kultury masowej o globalnym zasięgu? Któż byłby bardziej powołany do produkowania masowej kultury w sensie globalnym, jak nie Moskwa, stolica rzekomo „bezklasowego” społeczeństwa, którego jednym z ideologicznych haseł jest internacjonalizm.

Faktem jest, że ani ciągle jeszcze wiktoriański Londyn ani w pewnym sensie wiktoriańska Moskwa nie są stolicami tak demokratycznymi i bezklasowymi jak wielkie miasta amerykańskie. Tajemnicą powodzenia masowej kultury amerykańskiej jest jej bezklasowość. I dlatego Amerykanie pierwsi w dziejach produkują kulturę nie tylko masową, ale i międzynarodową. Masowa kultura międzynarodowa musi być autentycznie bezklasowa.

Producenci amerykańskiej kultury masowej wykorzystują umiejętnie i z sukcesem istotę „amerykanizmu” i czynią to nieporównanie lepiej niż ich kompatrioci za biurkami w departamencie stanu.

Młode pokolenie niemal na całym świecie jest instynktownie pro-amerykańskie i podatne na wpływy, gdyby owe wpływy istniały...

Usystematyzujmy dla jasności nasze dotychczasowe rozważania.

Wychodzimy z przesłanki, że ewolucja sowieckiego „modelu” jest sprawą dotyczącą bezpośrednio Stanów Zjednoczonych i całego wolnego świata.

W konsekwencji Amerykanie winni porzucić czysto negatywny stosunek do komunizmu i starać się wpływać pośrednio na jego rozwój i przemianę.

Naszym ostatecznym dalekofalowym celem nie może być szukanie ułożenia stosunków z Sowietami za cenę nieinterferencji ideologicznej — lecz przeciwnie naszym dalekoterminowym celem musi być unowocześnienie komunizmu przez co należy rozumieć oddogmatyzowanie i odtotalizowanie doktryny.

Polityka idąca po tych liniach możliwa jest tylko w formach zorganizowanych wpływów pośrednich.

Polityka amerykańska mogłaby oddziaływać na Rosję i blok wschodni poprzez Polskę, Węgry i Czechosłowację.

Wstępnym warunkiem podjęcia tego typu polityki musiałyby być (choćby nieformalne) uznanie granicy na Odrze i Nysie za ostateczną granicę polsko-niemiecką.

Gdyby Stany Zjednoczone uznały cytowaną granicę — względnie zapewniły Polaków, że uznają ją podpisując w przyszłości traktat pokojowy z Niemcami — wówczas przed Waszyngtonem otworzyłyby się różnorakie perspektywy polityki oddziaływania.

Ameryka mogłaby zaproponować Polsce na szerszą skalę zakrojoną pomoc gospodarczą w formie pożyczek i kredytów. Pomoc jeżeli miałyby spełnić swoje zadanie musiałaby — w skali polskiej — być bardzo znaczna i wolna nie tylko od warunków, ale nawet od aluzji politycznych. Można by przyjąć za prof. Brzezińskim, że celem pomocy byłoby wyrównanie poziomów pomiędzy Polską, Czechosłowacją i Węgrami, a Europejską Wspólnotą Gospodarczą.

Nie sądzę by komunistyczny rząd polski mógł odrzucić korzystną i pokaźną propozycję amerykańską — gdyby sprawa granicy na Odrze i Nysie była wyjaśniona i gdyby oferta wolna była od jakichkolwiek warunków politycznych.

Odrzucając ofertę amerykańską w takich warunkach partia zmobilizowałaby przeciwko sobie całe społeczeństwo. Ale to jeszcze nie wszystko. Partia w takich warunkach odrzucając ofertę amerykańską działałaby wbrew oczywistym interesom narodowym ulegając naciskowi Moskwy. W moim przekonaniu PZPR nie mogłaby ryzykować tak beznadziejnej kompromitacji. W obecnej sytuacji w Polsce nie byłoby to ani możliwe ani bezpieczne.

Zapewnienie Polaków w sprawie granicy polsko-niemieckiej, szeroka i różnorodna pomoc gospodarczo-finansowa nie powinny wyczerpywać programu. Amerykanie winni nie podwoić, ale upięciokrotnie wszystkie stypendia dla Polaków, Czechów i Węgrów oraz przyznać im *top priority*.

Na emigracji należałoby poprzeć te instytucje polskie, czechosłowackie i węgierskie, które zajmują się nie propagandą, lecz politycznym oddziaływaniem.

Jaki byłby przypuszczalny rezultat tego typu polityki amerykańskiej?

Kraje wschodnioeuropejskie z Polską na czele uwolnione od zmyru rewizjonizmu niemieckiego — stałyby się mniej zależne od Sowietów i w konsekwencji szukałyby form politycznego wyrazu owej niezależności.

Amerykanie na ogół nie zdają sobie sprawy z faktu, że choć Polacy są nadal w sensie kultury „patriotami Zachodu” — polityczny mit Zachodu w Polsce załamał się całkowicie. Przekonanie, że zostaliśmy zdradzeni, sprzedani, odpisani na straty — jest powszechne. Owa „zdrada” Zachodu jest podstawowym materiałem do budowy wszystkich lojalizmów wschodnich zarówno w wydaniu komunistycznym jak i nie-komunistycznym (Stefan Kisielewski, St. Mackiewicz, B. Piasecki).

Polityka amerykańska, o której mówimy spowodowałaby renesans pro-zachodnich nastrojów w krajach Europy wschodniej i ów renesans po pewnym czasie wywarłby możliwy wpływ na ewolucję modelu społeczno-gospodarczego.

Chruszczowa czy Gomułka najbardziej imaginatywna polityka wpływów nie przerobi na zachodnich czy semi-zachodnich ludzi. Ale nie walczymy o tych panów — walczymy o ich następców.

Polityka amerykańska, którą zdefiniowaliśmy powyżej — spowodowałaby przemiany, które umożliwiłyby krajom Europy wschodniej wkroczenie na drogę policentryzmu.

W rezultacie tego typu polityki amerykańskiej partii komunistyczne w Europie wschodniej straciłyby dwa kardynalne atuty. Monopol na ochronę przed rewizjonizmem niemieckim oraz monopol na wyjednywanie pomocy gospodarczej w Moskwie. W takiej sytuacji partii komunistyczne musiałyby szukać poparcia społeczeństwa drogą koncesji. Nie możemy nawet w przybliżeniu ocenić potencjalnej siły naporu społecznego — ponieważ masy społeczne są trzymane w korbach z jednej strony groźbą rewizjonizmu niemieckiego — z drugiej strony gospodarczą zależnością od Sowietów. Gdyby owe dwa czynniki już nie w stu procentach, ale w 80 procentach straciły swą moc — napór społeczeństwa w kierunku niezależności, demokracji, wolności — stałby się główną siłą formującą polski model gospodarczo-społeczny.

Policentryzm i zróżniczkowanie ustrojów komunistycznych w Europie wschodniej stałoby się faktem dokonany. Polski model ustrojowy w takich warunkach byłby awangardą postępu i sądzę, że w Polsce Ludowej przy sprzyjających warunkach wypracowano by najszybciej pewne nowe formy socjalistycznej demokracji. „Socjalistycznej demokracji” — ponieważ socjalizm jako forma gospodarki społecznej z całą pewnością by pozostał.

W NRD wtłoczonej pomiędzy Polskę a niemiecką Repu-

blikę Federalną — nastąpiłyby niewątpliwie bardzo poważne przemiany.

Spolicentryzowanie państw „satelickich”, zróżnicowanie ich ustrojów, z jednej strony zlikwidowałoby monolityczny charakter bloku wschodniego — z drugiej strony odebrałoby komunizmowi charakter doktryny dogmatycznej.

Proces naszkicowany powyżej nie byłby rewolucją, lecz stopniową ewolucją. Rosja miałaby dwie drogi do wyboru. Albo wziąć czynny udział w powolnej modernizacji ustroju i doktryny komunistycznej albo w pewnym momencie rzucić klątwę na Europę wschodnią i powrócić do stalinowskiej izolacji. Budapesztu nie powtórzono by z całą pewnością.

Państwa Europy wschodniej dysponują dziś wielkim politycznym doświadczeniem. W korzystnych warunkach potrafiłyby przeprowadzić modernizację bez prowokacji. Skłonny jestem przypuszczać — sądząc po spóźnionych, ale realnych wpływach potępionego polskiego Października — że Rosja sowiecka stale krytykując i potępiając — bardzo wolno i opornie ale przecież uległaby prądowi modernizacji, który na młode pokolenie wywierałby wpływ magnetyczny.

Chciałbym zakończyć ten artykuł następującą uwagą. Amerykanom nie brak znawców Europy wschodniej, choć specjaliści klasy prof. Z. Brzezińskiego stanowią rzadkość. Niemniej Amerykanom jest jeszcze ciągle bardzo trudno odczytywać intencje Rosji.

Osobiście dla mnie nigdy nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że problem układu rozbrojeniowego — względnie węższego układu dotyczącego kontroli zbrojeń atomowych — w umysłowości sowieckich przywódców związany jest bezpośrednio ze sprawą Niemiec. Innymi słowy dopóki problem Niemiec nie będzie rozwiązany, Sowiety nie podpiszą żadnego układu w tej zasadniczej dziedzinie.

Problem Niemiec z kolei może być pomyślnie rozwiązany tylko w ramach nowej amerykańskiej polityki wschodnio-europejskiej.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

„BERLINOLOGIA”

Na temat Berlina powstała specjalistyczna literatura, która rośnie z każdym miesiącem. Na ogół książki poświęcone „berlinologii” są lekturą przygnębiającą.

Pomiędzy Berlinem a Gdańskiem z roku 1939 nie ma żadnych analogii. Problem Gdańska był prosty. Hitler chciał mieć Gdańsk i dążył wszelkimi sposobami do urzeczywistnienia tego celu.

Czy Chruszczow chce mieć Berlin? Nie brak wybitnych specjalistów przedmiotu, którzy na powyższe pytanie odpowiedzą przecząco. Według jednej z licznych teorii, Chruszczow w rzeczywistości również nie życzy sobie ewakuacji mocarstw zachodnich z Berlina. Bo jak długo sprzymierzeni są w Berlinie, premier sowiecki może na nich wywierać nacisk, a poprzez sprzymierzonych naciskać może również Niemcy zachodnie. Może szantażować, wywoływać kryzysy, doprowadzać świat do krawędzi wojny — a następnie odwołać całe przedstawienie za ustępstwa na innym odcinku.

Literatura przedmiotu nie daje odpowiedzi na elementarne pytania. Na przykład dlaczego Chruszczowowi tak namiętnie zależy na zdobyciu uznania dla rządu NRD? Chruszczow nie walczy o międzynarodowe uznanie granicy na Odrze i Nysie, lecz walczy wyłącznie o uznanie reżymu Ulbrichta. Właściwie cała sowiecka strategia berlińska ma na celu wmanewrowanie mocarstw zachodnich w sytuację, w której musiałyby uznać *de facto* NRD.

Są autorzy, którzy sądzą, że wzamian za uznanie Ulbrichta premier sowiecki byłby gotów zapłacić daleko posuniętą układnością w sprawie Berlina. Ponieważ nie chodzi mu o Berlin, lecz o uznanie reżymu NRD.

Inni pisarze polityczni, do których należy John Mander, autor interesującej książki o Berlinie (*Berlin — Hostage for the West*, Penguin Special) — wyrażają pogląd, że uznanie przez mocarstwa zachodnie NRD spowodowałoby na dalszą metę re-nacjonalizację Niemiec. Innymi słowy torowałyby drogę do upadku demokracji i renesansu nacjonalizmu niemieckiego.

Czy renesans nacjonalizmu niemieckiego leży w interesie Sowietów? Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że re-nacjonalizacja Niemiec nie leży w interesie Sowietów. Ale i na to pytanie nie ma prostej i jednoznacznej odpowiedzi.

John Mander, który spędził dłuższy czas w Berlinie, zna język niemiecki i Niemcy doskonale — jest za uznaniem przez Zachód granicy na Odrze i Nysie, ale jest przeciwnikiem uznania w jakiegokolwiek formie reżymu Ulbrichta. Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy NRD a terytoriami, które niegdyś wchodziły w skład Rzeszy Niemieckiej, a obecnie powróciły do Polski. Na polskich ziemiach odzyskanych Niemców nie ma. W NRD jest ich 16 milionów.

Uznanie reżymu Ulbrichta przez mocarstwa zachodnie byłoby zrozumiane jako złamanie przyjętych zobowiązań. Uznanie Ulbrichta oznaczałoby również całkowite bankructwo polityki kancl. Adenauera. W takich warunkach następcami Adenauera byłiby nie chrześcijańscy demokraci, lecz nacjonalisci.

Chruszczow z całą pewnością zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę. Sowiety mają dobrych obserwatorów w Niemczech i przywódcy sowieccy są dobrze zorientowani w problematyce niemieckiej. Re-nacjonalizacja Niemiec z całą pewnością nie leży w interesie Zachodu. Natomiast czy wzrost nacjonalizmu w Federalnej Republice idzie czy nie idzie po linii interesów sowieckich jest kwestią nieco bardziej złożoną.

Jaką cenę należałoby zapłacić za zgodę Sowieców na zjednoczenie Niemiec? Ta cena od czasu mało znanej oferty Stalina nie została nigdy dokładnie sprecyzowana. Na krótko przed swoją śmiercią, w marcu 1952 r., Stalin w nocy przekazanej rządowi w Bonn proponował Niemcom zjednoczenia wzajemian za neutralność. Po śmierci Stalina oferta powyższa nie została nigdy oficjalnie wznowiona. To nie oznacza oczywiście, że Sowiety w żadnych warunkach nie zgodziłyby się na zjednoczenie Niemiec. Tylko cena dziś byłaby inna i niepomiernie wyższa.

Sądzę, że sowiecką ceną za udzielenie zgody na zjednoczenie byłoby NATO. Niemcy zjednoczone musiałyby opuścić NATO.

Jak słusznie zauważa John Mander w cytowanej książce — opuszczenie NATO jest ceną dla demokratycznych Niemiec nie do przyjęcia. Dla demokratycznych Niemiec jest to warunek nie do przyjęcia — ale dla nacjonalistycznych Niemiec powyższa cena byłaby może do przyjęcia. Chrześcijańscy, pro-zachodni niemieccy demokraci nie dogadają się nigdy z Sowiecami. Natomiast nacjonaliści niemieccy, krytycznie nastawieni do Zachodu i Ameryki — mieliby daleko większą szansę porozumienia się z Moskwą.

Jak widzimy więc łatwo wyobrazić sobie sytuację, w której re-nacjonalizacja Niemiec zachodnich szłaby po linii interesów sowieckich.

W moim przekonaniu Chruszczow zarówno boi się Niemców, jak i pragnie z nimi się porozumieć. Boi się ich, bo wcześniej lub później Niemcy będą miały broń atomową. Skąd ta pewność? — zapyta Czytelnik.

Niemcy są niezmiernie czuli na wszelką dyskryminację. Dyskryminacje i ograniczenia narzucone traktatem wersalskim „wykolysały” z czasem hitleryzm. Ograniczenia, nierówności, dyskryminacje — są naturalną pożywką dla nacjonalizmu.

Jeżeli broń atomowa mają równouprawnieni sojusznicy, jak Anglicy czy Francuzi — dlaczego równie uprawniony sojusznik Niemcy nie ma mieć tych broni? To jest zagadnienie na ogół na Zachodzie niedocenione. Owym motyw narodowego prestiżu odgrywa w Niemczech olbrzymią rolę.

Dopóki Anglia nie zrezygnuje ze swego *independent deterrent* a Francja ze swojej *force de frappe* — dopóty Niemcy nie przestaną domagać się pełnego równouprawnienia w tej jakże istotnej dziedzinie.

Na Zachodzie nie brak optymistów, którzy sądzą, że jeżeli w następnych wyborach Labour Party obejmie ster rządów, Anglia zrezygnuje z *independent deterrent*. Ci sami optymiści wyrażają przekonanie, że Francja również uzna w końcu atomową *force de frappe* za zbyt kosztowną i zrezygnuje z niej dobrowolnie.

Osobiście nie podzielam tego optymizmu. Sądzę, że nie coraz mniej lecz coraz więcej państw będzie posiadało broń atomową i coraz trudniej będzie Niemcom ich odmawiać.

Na Zachodzie zupełnie inaczej patrzemy na ten kompleks zagadnień niż nasi przeciwnicy. Dla nas wojna się skończyła, a Niemcy są państwem nie tylko suwerennym, ale sojuszniczym. Tak wygląda sytuacja oglądana z Londynu lub z Paryża. Ale dla Chruszczowa w Moskwie wojna europejska nie skończyła się, lecz przeciwnie trwa.

A.J.P. Taylor napisał niedawno, że już od 30 lat było wiadomo, że Europa musi być dominowana, albo przez Rosję albo przez Niemcy.

Otóż jeszcze ciągle nie jest w całości dominowana przez Rosję, bo przeszkadzają temu Niemcy.

Osobiście nie wierzę, żeby Anglicy i Francuzi zrezygnowali z „niezależnych” broni atomowych i sądzę, że w końcu i Niemcy do nich dojdą. Wówczas powstanie bardzo trudna sytuacja, bo jak Niemcy raz dojdą do broni atomowych, będzie bardzo ciężko im wytłumaczyć by z nich zrezygnowali.

Dyskutuje się miesiącami na temat Berlina. John Mander — którego cytowałem powyżej — pisze, że tylko 5% ruchu pasażerskiego pomiędzy Berlinem a zewnętrznym światem — odbywa się poza obrębem kontroli Wschodu. Owe 5% to jest transport lotniczy.

W chwili gdy piszę te słowa dyskutowana jest propozycja amerykańska, która przewiduje międzynarodową komisję, złożoną z delegatów trzynastu państw. Tych trzynastu apostołów nadzorowałoby lądowy dostęp do Berlina.

Powyższa propozycja, gdyby została przyjęta, oferowałaby *de facto* uznanie reżymu Ulbrichta. Ponieważ tak delegat rządu Pankow jak i delegat rządu Bonn zasiadali by w cytowanej komisji na równych prawach.

Choć jest rzeczą ryzykowną bawić się w przepowiednie na łamach miesięcznika — ryzykuję pogląd, że rząd w Bonn nie zaakceptuje tej propozycji w jej oryginalnym brzmieniu.

Można by ten projekt uczynić bardziej strawnym dla Adenauera, gdyby z komisji trzynastu wyłączyć zarówno Federalną Republikę jak i NRD. Ale obawiam się, że wówczas propozycja amerykańska w oczach Chruszczowa straciłaby swój cały powab i wdzięk. Bo niewątpliwie w ocenie Moskwy jedynym istotnym punktem w propozycji amerykańskiej jest pewnego rodzaju *de facto* uznanie rządu Ulbrichta. Gdyby komisja trzynastu została formalnie ukonstytuowana — delegat NRD zasiadałby w niej na równych prawach z delegami Austrii, Szwecji, Szwajcarii i — *last but not least* — Niemieckiej Republiki Federalnej. Chruszczow zdobyłby wówczas ważny punkt.

Przyzwyczajaliśmy się do wszystkiego i nic już nas ani nie dziwi, ani nie razi. Ale człowiek, który utracił zdolność dziwienia się na widok rzeczy dziwnych — nie dostrzega ich we właściwej proporcji. Jest przecież rzeczą zdumiewającą, by ruch na stacjach kolejowych i rogatkach wiodących do jednej z głównych stolic Europy — nadzorować miała komisja międzynarodowa złożona z delegatów trzynastu państw. Ale niewątpliwie jeszcze dziwniejszy jest fakt, że są wybitni skąd inąd mężowie stanu, którzy wyobrażają sobie, że tego rodzaju maszyna może w ogóle funkcjonować.

„Berlinologia” jest niewątpliwie najbardziej fantastyczną z politycznych europejskich specjalności. Na dłuższą metę berlinolodzy niczego nie wymyślą, bo w gruncie rzeczy problemu Berlina nie można rozwiązać w Berlinie.

Kwestia berlińska jest rezultatem podziału Niemiec i tylko poprzez likwidację podziału Niemiec może być rozwiązana. Z kolei zjednoczenie Niemiec byłoby do osiągnięcia tylko w ramach szeroko pojętej amerykańskiej polityki wschodniej. Pierwszym krokiem na tej drodze musiałyby być uznanie granicy na Odrze i Nysie i wyrównanie stosunków pomiędzy Federalną Republiką, a krajami Europy wschodniej.

„RODOWÓD” ABRAMA TERCA

Gdy w ramach Biblioteki „Kultury” ukazał się „Sąd Idzie” — Józef Mackiewicz wystąpił na łamach prasy emigracyjnej z tezą, że utwór jest apokryfem, sfabrykowanym przez bliżej nieokreślonego Żyda, mieszkającego w Palestynie. Mackiewicz dodał jeszcze, że gdyby dysponował notatkami, które mu zaginęły, byłby w możności zidentyfikować, a raczej zdemaskować autora książki „Sąd Idzie”.

Od owego czasu minęło kilka lat — „Sąd Idzie” wydano w dwóch dziesiątkach języków, ale p. Józef Mackiewicz do tej pory swoich notatek nie odnalazł...

Ukazanie się w ramach „Biblioteki 'Kultury' ” nowego tomu Terca pt. „Opowieści Fantastyczne” — wznowiło falę pogłosek na temat osoby autora.

W Warszawie, prezes Iwaszkiewicz (oraz inni) lansują pogłoskę, że Terca pisze w dalekim Madrycie Józef Łobodowski.

W Moskwie, pani Romanow z sowieckiego Związku Literatów zadeklarowała publicznie, że dzieła Terca są *falszówką*. P. Romanow dodała również, że władze sowieckie wiedzą kto i w jakim kraju dopuszcza się tych fałszerstw.

Ale z prawdziwą sensacją wystąpił autor „Babiego Jaru” — Jewtuszenko, który sam będąc przedmiotem nagonki ze strony prasy sowieckiej — pragnął, być może, odwrócić uwagę od swojej osoby. Jewtuszenko spaceruje po Moskwie i opowiada szeroko, że w czasie swego pobytu w Ameryce spotkał w Harvard młodego rusycystę i zbiega z Sowietów p. Dahlberga. Ci młodzi panowie spotkawszy się na wolnej ziemi Waszyngtonu popijali gęsto i przypadli sobie nawzajem do serca. Otóż Jewtuszenko twierdzi, że którejś nocy Dahlberg po pijanemu wyznał mu, że Terc — to on!

Co za niepowetowana szkoda, że p. Mackiewicz Józef ciągle nie może odnaleźć swoich notatek. Ale wracajmy do Dahlberga. Ów młody rusycysta rozpisuje listy swoich znajomych — stwierdzając uroczyście, że ponad wszelką wątpliwość Tercem nie jest.

Do czego się to wszystko sprowadza? Cała ta akcja — do której od samego początku Józef Mackiewicz zgłosił nieświadomie akces — jest inspirowaną robotą sowiecką, która ma na celu z jednej strony „udowodnić”, że nie istnieje podziemna literatura sowiecka — z drugiej strony skompromitować „Kulturę”.

Z punktu widzenia oficjalnej doktryny podziemna literatura sowiecka nie może istnieć — bo to przeczy wszystkim kanonom i założeniom, zarówno ortodoksyjnych komunistów jak i ortodoksyjnych antykomunistów.

Ale „zielona gałąź życia” zawsze i wszędzie silniejsza jest od ortodoksji. I dlatego podziemna literatura sowiecka nie jest *falszówką*. Jest faktem.

I jeszcze jeden punkt wielkiej wagi. W lipcu br. przypada 15-lecie założenia „Kultury”. Można się z nami lub nie zgadzać, chwalić lub ganić — ale chyba nikt patrząc na roczniki „Kultury” i tomy naszej Biblioteki nie odmówi nam doświadczenia.

Wydaliśmy wiele wybitnych dzieł autorów używających pseudonimów. Ale nigdy nie wydaliśmy książki autora, o którym nie widzielibyśmy kim on jest i gdzie on jest. My wiemy kim są Arżak, Terc, Iwanow. Powołując się na 15 lat naszej dotychczasowej działalności stwierdzamy, że Terc, Arżak, Iwanow — to nie są żadnej *falszówki* — lecz żywi ludzie, istniejący w Związku Sowieckim. I mam nadzieję, że kiedyś będzie można ujawnić całą *story*, a wymienionych autorów przedstawi europejskiej publiczności. Życzymy pani Romanow by wraz z nami tego momentu doczekała.

„KSIĄŻECZKA” J. BIELATOWICZA

Bielatowicz ma w moich oczach trzy ogromne zalety. Po pierwsze — urodził się w byłej Galicji, po drugie — ukończył starego typu gimnazjum klasyczne, po trzecie — był żołnierzem SBSK, najświetniejszej jednostki wojska polskiego jaka kiedykolwiek istniała. Jak ktoś ma za sobą takie „kredyty” może sobie na wiele pozwolić. Może być nawet członkiem Stronnictwa Narodowego.

Anglicy mówią, że chcąc zrobić beczkę piwa trzeba mieć kilka galonów wody, trochę chmielu i jęczmienia oraz... doświadczenie całego życia. Podobnie można powiedzieć o „Książeczce” Bielatowicza. By napisać takie dziełko trzeba mieć talent literacki, wielką humanistyczną kulturę i doświadczenie całego życia.

„Książeczka” jest wolna od sentymentalizmu, ale przepojona serdecznością — jej „kraj lat dziecińczych” jest słoneczny, ale nie stylizowany. Nie ma w niej goryczy przemijania — jest tylko mądra zaduma. „Książeczka” nie rozkliwia, ale niewątpliwie wzrusza. Mnie wzruszyła.

Bielatowicz jest niezmiernie polski — chciałoby się powiedzieć — aż do przesady. Ale zarówno jego nacjonalizm polski jak i regionalizm tarnowski są przefiltrowane przez pryzmat kultury humanistycznej — poprzez Rzym klasyczny i chrześcijański.

Jest nieopisaną szkodą, że nie ma już w Polsce starożytnych ośmioklasowych gimnazjów z łaciną od pierwszej i z greką od trzeciej klasy, które przez dziesiątki lat z Krakowian, Sądcezan czy Tarnowian — robiły Polaków i Europejczyków. Wychowywały ludzi z „ogólnym wykształceniem”. Produkowały zanikającą warstwę społeczną humanistycznej inteligencji. Polska „zachodniość” tkwiła swymi korzeniami w tej warstwie.

„Książeczka” Bielatowicza jest poniekąd pamiętnikiem nas wszystkich — dziś niedobitków — którzy kończyliśmy starego typu gimnazja klasyczne na ziemiach „świętej Galilei”. To był trudny typ szkoły, wymagający ciężkiej i solidnej pracy. Gimnazja klasyczne kształciły, ale do niczego nie przygotowywały. Nie stanowiły wstępu do żadnej określonej dyscypliny naukowej, ale dawały fundament, który trwał przez całe życie. Profesor Bartel wyraził się kiedyś, że maturzyści gimnazjów klasycznych lepiej dają sobie radę na politechnice niż absolwenci tzw. gimnazjów matematyczno-przyrodniczych.

„Książeczka” Bielatowicza jest pięknym podzwonnym dla klasycznych gimnazjów starego typu i dla tego czego uczyły i co reprezentowały.

ZMIANY W „DZIENNIKU POLSKIM”

Aleksander Bregman przestał być naczelnym redaktorem „Dziennika Polskiego” ani nie na skutek choroby, ani nie z własnej inicjatywy. Zmiana na stanowisku naczelnego redaktora nastąpiła w całości z inicjatywy Fundacji „Dziennika Polskiego”.

Na emigracji ustawicznie narzeka się na brak ludzi. Uzdolnionych ludzi w nadmiarze nie mamy. Z wszystkich możliwych, a w naszych warunkach nielicznych, kandydatów na stanowisko naczelnego redaktora „Dziennika Polskiego” Bregman był niewątpliwie kandydatem najodpowiedniejszym.

Dr Bregman jest bardzo solidnie wykształconym dziennikarzem. Nie jest dziennikarzem „czasu wojny”, lecz przeciwnie, posiada wysokie zawodowe kwalifikacje oraz wieloletnie doświadczenie. „Dziennikowi Polskiemu” w trudnych okresach oddał wielkie usługi. Jego piarstwo polityczne cechują umiar i rozwaga.

Dlaczego go usunięto?

Bregman padł ofiarą postępującego procesu ureakcyjniania się „góry” emigracyjnej. Wszystkie białe emigracje z upływem lat stają się coraz bielsze, coraz bardziej reakcyjne, coraz bardziej mafijne, coraz bardziej wyizolowane.

Bregman jest członkiem NID-u. Jak wiadomo NID, Polskie Stron. Ludowe OJN, Stron. Demokratyczne i Stron. Pracy — zbojkotowały tzw. „wybory” do Rady Jedności Narodowej.

Stanowisko „Kultury” w tej sprawie znane jest naszym Czytelnikom. Nasi wodzowie domagają się wolnych, bezpośrednich wyborów, ale tylko w Polsce — natomiast na emigracji organizują „wybory”, które nie są ani bezpośrednie ani demokratyczne. Ale cóż się dziwić, skoro padły głosy, że nawet gen. Kukiel nie powinien wejść do Rady Jedności Narodowej, ponieważ pochwalił swego czasu pracę historyka krajowego. „Ordynacja” i pośredniość wyborów mają zapobiec takim „katastrofom”.

Sądzę, że Danuta Irena Bieńkowska wyraziła znakomicie pogląd większości emigracji pisząc w liście do Redaktora „Kultury”:

„Rozpacz budzi i litość ślepy upór w bronienu nierealnych pozycji i fanatyzm w przeprowadzaniu akcji, które rzekomo mają nas bronić przed komunizmem, a naprawdę biją w nasze najbardziej żywe interesy narodowe. Czego mają się nauczyć dzieci — że są obywatelami państwa, które trzeba zniszczyć, aby je można było stworzyć?”.

LONDYŃCZYK

Sąsiedzi**Studium stosunków
polsko-sowieckich**

Stosunki sowiecko-polskie są w dużej mierze kluczem do zagadnienia dzisiejszej polskiej rzeczywistości. Co więcej, można chyba zaryzykować twierdzenie, że niezależnie od tego jak rozwinie się sytuacja w przyszłości, fakt sąsiedztwa czy bliskości geograficznej Polski i Rosji pozostanie czynnikiem niezmiennym, z którym trzeba będzie się liczyć. Mimo to zainteresowanie całokształtem problematyki polsko-rosyjskiej jest proporcjonalnie biorąc nieduże, tak na emigracji jak i w kraju. Po tej stronie przeważa tendencja rozpamiętywania krzywd i rozdrapywania ran, aby „nie zarosły podłością” — po tamtej sztucznie robiony entuzjazm lub staranne obchodzenie tabu. Oczywiście jest to w pełni zrozumiałe. Dzisiejsze pokolenie przeszło zbyt wiele, aby mogło łatwo oderwać się od obciążeń związanych z zagadnieniem rosyjskim, czy ściślej biorąc sowieckim, i spróbować spojrzeć beznamiętnie i z pewnej perspektywy na całokształt tych stosunków. A jednak krytyczna i rzeczowa analiza problematyki polsko-sowieckiej wydaje się niezmiernie ważna i potrzebna.

Jeden z zachodnich dyplomatów, znający dobrze zarówno historię Polski jak i dzisiejszą rzeczywistość, powiedział mi kiedyś, że przecież od dwustu lat, z małą przerwą dwudziestolecia, Polska, lub przynajmniej poważna jej część, była stale w stosunku większej lub mniejszej zależności od Rosji. Uwaga tego typu wywołała i wywołuje prawie automatyczny odruch sprzeciwu, a jednak nie jest ona przecież bezpodstawna. Czy świadczy to o tym jak dalece sposób myślenia kategoriami dwudziestolecia wywarł swe piętno na naszym podejściu do całego zagadnienia rosyjskiego?

Pewien „escapism” cechował i cechuje wciąż jeszcze szereg pisarzy, polityków i działaczy emigracyjnych. Nastawienie negatywne i niechęć do spraw rosyjskich — pomijam tu oczywiście ludzi typu Zbyszewskich i Cata-Mackiewicza — jest zjawiskiem dość nagminnym. Rezultaty tego nastawienia bywają często opła-

kane. Gdy w czerwcu 1941 nastąpił wybuch wojny niemiecko-sowieckiej Rząd Polski w Londynie nie miał ani wypracowanej koncepcji ani jasnego planu działania na wypadek włączenia się Rosji do obozu anty-hitlerowskiego. Charakterystyczne dla tego stanu rzeczy były na przykład rozmowy Benesza z Sikorskim w Aston Abbots 26 i 27 stycznia 1941. Na sprawę rosyjską zamykano oczy i pobożne życzenia a nie konsekwentna i realna polityka cechowała pierwsze kroki polskie po roku 1941. Czy na emigracji wiele się zmieniło w tym względzie?

Jaki jest dziś nasz stosunek do zagadnienia sowieckiego poza protestem i negacją? Jaki jest nasz program na wypadek radykalnych zmian w bloku sowieckim? Czy mamy podchodzić do stosunków polsko-rosyjskich traktując je jedynie jako wypadkową stosunków Zachodu i Wschodu? Czy chcemy być „tarczą” chroniącą Zachód od Rosji, czy „mostem” łączącym oba te światy — jak to kiedyś określał Benesz?

Celem niniejszego artykułu nie jest sugerowanie nowej postawy czy nowych politycznych przemyśleń problemu rosyjskiego. Uwagi powyższe, umyślnie sformułowane w dość skrajny sposób, mają jedynie służyć jako postawienie samego zagadnienia. Patrząc na nie z punktu widzenia naukowego wysuwamy konkretny wniosek — konieczność poważnych, źródłowych i nie apriorycznych studiów tematyki polsko-sowieckiej w latach 1917-1945.

Jakkolwiek okres dwudziestolecia, przedłużony przez lata wojny jest tylko krótkim wycinkiem długiego procesu dziejowego, to jednak okres ten stanowi pewną zamkniętą całość, na który można spojrzeć z historycznej perspektywy. W Polsce pokrywa się on z powstaniem, istnieniem i upadkiem odrodzonej i niepodległej Rzeczypospolitej. W Rosji odpowiada nowej formie państwowości rosyjskiej — Związkowi Sowieckiemu. Problem polsko-rosyjski przybiera więc w tym czasie swoiste i jak gdyby podwójne oblicze: tradycyjno-narodowe i ideologiczne. Istota stosunków między obu krajami może się więc wyłonić jedynie wtedy jeśli właściwie ocenimy i zrozumiemy obydwaj aspekty tego zagadnienia.

Historiografia zachodnia, wraz z publicystyką i literaturą pamiętnikarską, ocenia na ogół krytycznie stosunek nowoodrodzonej Polski do ZSSR. Plany Piłsudskiego przedstawiane są często jako odrodzenie tradycyjnej polskiej ekspansji na wschód. Wojna z 1920 roku ukazuje się raz jako awanturnicza i imperialistyczna wyprawa, to znów jako wypadkowa planów interwencyjnych Zachodu. Polsce i Polakom zarzuca się brak zrozumienia faktu, że Rzeczypospolita przestała być potęgą w sensie europejskim. Najlepiej określił to może francuski historyk, który pisał *Cela a été un malheur pour la Pologne de renaitre à la fois trop faible pour être une puissance, et assez forte pour aspirer à être plus qu'un Etat moyen* (1).

(1) E. Eisenmann, „La Question de Teschen”, *La Vie des Peuples*, I (1920), str. 837.

Anglicy nie zauważali na ogół tego dylematu i podkreślali jedynie polską megalomanię, jak na przykład *New Statesman*, który zalecał Polakom wyrzeczenie się ambitnych planów, gdyż dopiero wówczas Polska będzie mogła *continue within its own ethnic borders a harmless peaceful existence* (2). Wobec położenia geograficznego Polski i dysproporcji sił w stosunku do sąsiadów, jedyną właściwą drogą dla dyplomacji polskiej upatrywano w podporządkowaniu i oparciu się o Niemcy lub o Rosję. Nawet w ocenach paktu Ribbentrop-Mołotow znajduje się często gorzkie uwagi pod adresem polskiej polityki zagranicznej, która wzbraniając się wszelkimi siłami przed sojuszem z Rosją, umożliwia, jeśli nie spowodowała, porozumienie między Hitleryzmem i Komunizmem.

Przechodząc do studiów nad drugą wojną światową spotykamy się znów często z ostrą krytyką polityki rządu w Londynie wobec ZSSR. Występuje tu teza, że rząd polski nie widział lub nie chciał widzieć tego, że jedynie ustępstwa na rzecz mocarstwa, które z natury rzeczy musiało osiągnąć hegemonię w Europie środkowo-wschodniej, mogły polepszyć sytuację i uratować to co było jeszcze do uratowania.

Zarówno w ocenach polityki międzywojennej jak i okresu drugiej wojny światowej, większość krytyków zachodnich przywiązuje dużą wagę do zagadnienia terytorialnego. Zdaniem ich grzechem pierworodnym Rzeczypospolitej było ustalenie granicy na wschód od Bugu. Fakt, że granica ryska została uznana dopiero w trzy lata po podpisaniu preliminarzów jest chyba wystarczającym dowodem wahań i niechęci mocarstw zachodnich do terytorialnych rozwiązań roku 1920. Ambasador Noel nie był absolutnie wyjątkiem, gdy stwierdzał w swej książce, że *la possession de ces régions (na wschód od Bugu) par la Pologne était un anachronisme* (3). Koła brytyjskie wyrażały ten sam pogląd w jeszcze ostrzejszej formie.

Przeświadczenie zachodu, szczególnie Anglii, że zagadnienie terytorialne leżało u podłoża antagonizmu polsko-sowieckiego było głęboko zakorzenione. Cała polityka wojenna Churchilla wobec zagadnienia polsko-sowieckiego wynikała z przekonania, iż z chwilą zrzeczenia się przez Polskę Małopolski Wschodniej i północnych województw znikną zasadnicze powody niechęci Kremla do rządu w Londynie. Politycy angielscy upatrywali stale w nieustępliwej postawie polskiej główną przeszkodę unormowania stosunków między obu krajami. Tym też chyba należy tłumaczyć wybuchy gniewu Churchilla pod adresem kierowniczych kół polskich, które nie zdawały sobie sprawy z prostej i jasnej konieczności przeprowadzenia amputacji ziem wschodnich i próbując ratować Lwów czy Wilno dobrowolnie eliminowały się z rozgrywki politycznej na rzecz Komitetu czy rządu lubelskiego.

(2) *The New Statesman*, 31. VII. 1920.

(3) L. Noel, *L'Agression allemande contre la Pologne*. Paryż, 1946, str. 82.

Tak też widzi i ujmuje całe zagadnienie polsko-rosyjskie w okresie drugiej wojny światowej Romain Yakemtchouk w swej książce *La Ligne Curzon et la II^e guerre mondiale*, wydanej w Paryżu w 1957 r.

Polityka polska wobec ZSSR przedstawia się, rzecz jasna, inaczej w opracowaniach historyków krajowych, posługujących się metodą marksistowską czy pseudo-marksistowską. W książce która ukazała się w zeszłym roku i która niewątpliwie zasługuje na szersze omówienie (4), autor Z. Załuski pisze ni mniej ni więcej o sytuacji międzywojennej:

„U źródeł naszego katastrofalnego położenia... leżą przyczyny klasowe: Polska jako państwo burżuazyjno-obszarnicze przez cały czas swego istnienia zwrócona była frontem na Wschód. Ofensywa na Wschód pochłaniała wszystkie jej siły wówczas, gdy w latach 1919, 1920, 1921 można było zupełnie inaczej ukształtować granicę zachodnią kraju. Strach o swe panowanie nad podbitymi ziemiami przykuwał siły i uwagę burżuazyjnej Polski do granicy wschodniej... (5).

A na stronie poprzedniej, w uwagach o stosunkach polsko-sowieckich czytamy co następuje:

(Polska) „nie mogła zapewnić sobie ani rzetelnego poparcia ze strony nie skorego do poświęceń Zachodu, ani opartej na pełnym wzajemnym zaufaniu współpracy ze Związkiem Radzieckim. Wprost przeciwnie zresztą, jak wiemy, prowadziła zawsze obłądną politykę antyradziecką i nawet w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa nie zrezygnowała z samobójczej, nieufnej i wrogiej postawy wobec ZSSR. Musiała też w końcu pozostać samotna, niepotrzebna ni staremu, ni nowemu światu” (6).

Autor podkreśla z emfazą, że polityka ta „nie wynikała przecież wyłącznie z osobistych antyrosyjskich urazów polskich premierów i ministrów spraw zagranicznych”. Takie ujęcie nie odpowiada zresztą przecież materializmowi historycznemu i pachniałoby idealistycznym poglądem na naukę historii. Załuski ujmuje sprawę klasowo gdy pisze o tej polityce:

„Była ona wyrazem nienawiści i strachu klasy, którą reprezentowali, wyrazem klasowo zdeterminowanej 'racji stanu' państwa eksploatatorskiego pragnącego utrzymać swą władzę nad rodzimymi masami pracującymi i nad podbitymi 'koloniami wewnętrznymi': Zachodnią Ukrainą i Zachodnią Białorusią” (7).

Te przydługie cytaty obrazują lepiej niż jakiegokolwiek omówienie obowiązujący punkt widzenia na całokształt zagadnienia polsko-sowieckiego w okresie dwudziestolecia. Istnieją oczywiście odchylenia w interpretacji, ale zasadniczym punktem wyjścia jest element klasowy. Przyjmując ścisły determinizm

(4) *Przepustka do historii: Uwagi i polemiki*. Warszawa, 1961.

(5) *Ibid.*, s. 32.

(6) *Ibid.*, s. 31.

(7) *Ibid.*, str. 31-32.

można by chyba powiedzieć, że „burżuazyjno-obszarnicza” Polska nie mogła siłą rzeczy zajmować innego stanowiska jak wrogie wobec Związku Sowieckiego. Rozwijając logicznie myśl autora, można też zapewne stwierdzić, że tylko komunistyczna Polska, ograniczona geograficznie do Bugu i związana ścisłym sojuszem z ZSSR mogła być ułożyć dobre stosunki z Rosją Sowiecką.

Podejście historiografii krajowej do polityki rządu polskiego w Londynie jest na ogół znane. Spotykamy w nim pełne oburzenia zarzuty pod adresem Sikorskiego i Mikołajczyka, Sosnkowskiego i Kota; oskarżenia o wycofanie wojsk polskich z Rosji — czyli tzw. „zdradę Andersa” itp.

Jak z powyższych uwag wynika panuje zadziwiająca zgoda w krytycznej ocenie polityki polskiej wobec Rosji — wpływająca często z różnych przesłanek — pomiędzy historiografią komunistyczną a dużą częścią historiografii zachodniej. I to zarówno w odniesieniu do okresu dwudziestolecia jak i do lat drugiej wojny światowej. Ze strony polskiej na emigracji wychodzą oczywiście repliki, z których wiele jednakże nacechowanych jest dużą dozą uczuciowego podejścia. Robią one często wrażenie bądź to przewodów obrony, bądź to oskarżeń pod adresem zachodnich czy komunistycznych pisarzy. Pozytcje ściśle naukowe stanowią tu nieliczne wyjątki. Literatura polemiczna tego typu jest pożyteczna i spełnia swoje zadanie. Nie wyczerpuje ona jednak zasadniczego postulatu, postawionego w tym artykule — konieczności przeprowadzenia systematycznego, beznamiętnego i naukowego studium stosunków rosyjsko-polskich w latach 1917-1945.

W opracowaniu tego tematu, wydaje się, że byłoby celowym potraktowanie osobne trzech głównych okresów: pierwszego, formatywnego, który obejmował lata 1917-1921; okresu drugiego międzywojennego, ze szczególnym uwzględnieniem kilku faz i momentów, kiedy to stosunki polsko-sowieckie nabierają specjalnie żywych kolorów; a wreszcie okresu trzeciego, obejmującego drugą wojnę światową. Przyjmując *a priori* maksymalnie obiektywne podejście, odrzucając o ile możliwe ton polemiczny, należałoby dążyć do wszechstronnej analizy i syntezy. Przedstawienie tzw. „suchych faktów” nie jest tutaj drogą wyjścia, gdyż jak wiadomo każdemu historykowi, fakty również muszą z natury rzeczy podlegać selekcji a „statystyka historyczna” jest równie zwodniczą jak każda inna. Analizując każdy z tych okresów, trzeba by wypuklić występujący stale podwójny aspekt problemu: tradycyjny antagonizm rosyjsko-polski oraz nowe sprzeczności płynące z przesłanek ideologiczno-ustrojowych.

Dla przykładu wymienimy kilka zagadnień i postawmy kilka pytań. W okresie pierwszym: czy polski program terytorialny tak Piłsudskiego jak i Dmowskiego był do pogodzenia z terytorialnym programem bolszewików? Jakie znaczenie przywiązywały obie strony do spraw granic? Czy bolszewicki program teryto-

rialny był i w jakiej mierze podporządkowany ogólnym celom rewolucyjnym? Czy droga przez pobitą Polskę prowadziła do światowej rewolucji i Polska siłą rzeczy musiała albo ulec albo wejść w konflikt z Rosją, czy też odgrywała tu rolę obawa interwencji Zachodu, dla której Polska stanowiła naturalną bazę wyjściową? Czy kampania kijowska Piłsudskiego oznaczała dla polskich kół politycznych próbę stworzenia nowego systemu bezpieczeństwa w Europie środkowo-wschodniej, czy też był w niej element krucjaty ideologicznej? Z pewnością Narodowa Demokracja, PPS i koła zbliżone do Piłsudskiego nie zapatrywały się na wojnę w 1920 r. w identyczny sposób. Czy można całkowicie wykluczyć grę elementu klasowego ze strony polskiej? Mimo woli przychodzi tu na myśl rozmowa Cezarego Baryki z panną Karoliną z *Przedwiośnia*:

- „Czemżeście nie poszli, dalej, dalej... do Moskwy! Do Moskwy!
- powtórzyła, wszystko mieszcząc w tym słowie”.
- „Ja się polityką nie zajmuję...”
- „Ducha w was nie było!”
- „Ducha w nas nie było, żeby intronitować z powrotem pudła Gagę do pałacu na Ukrainie, gdzie już pewnie jest teraz wiejska szkoła!”.

Prawda o wyprawie kijowskiej i wojnie z 1920 r. jest może bardziej złożona, niż chcą ją widzieć patriotyczni historycy, którzy ją przeżywali, z jednej, a pseudo-marksistowscy historycy z drugiej strony.

Dochodząc do tego punktu, czytelnik stwierdzi niewątpliwie, że ani tematyka, ani pytania tego typu nie są stawiane po raz pierwszy. Oczywiście, że nie! Ale nikt chyba nie odmówi historykowi prawa przepracowywania zagadnień, nawet jeśli już były i są wielokrotnie poruszane, o ile istnieje szansa, że będzie mógł spojrzeć na nie z innej niż dotąd perspektywy i wnieść nowe naświetlenia. Nie zapominajmy, że najlepsza bodaj książka o wojnie 1920 roku napisana była blisko 30 lat temu przez Tadeusza Kutrzebę (8); o Pokoju Ryskim poza wspomnieniami Dąbskiego (9) nie mamy prawdziwie wyczerpującej monografii. To co było pisane z perspektywy dwudziestolecia nie daje już dziś często zadawalających nas odpowiedzi. Istnieją niewątpliwie prace późniejsze, że wspomnę tu tylko książkę prof. Tytusa Komarnickiego, ale pomimo ich licznych zalet nie poruszają one często najbardziej drażliwych, a równocześnie najbardziej istotnych zagadnień. Być może, że wpływa na to fakt, że w pracach wydawanych po angielsku przez polskich historyków zagranicą niechętnie mówi się o bardziej bolesnych sprawach wewnętrznych.

Weźmy na przykład Traktat Ryski. Większość polskich opracowań podkreśla i słusznie, że był to może najbardziej kom-

(8) *Wyprawa kijowska 1920 roku*. Warszawa, 1937.

(9) *Pokój Ryski*. Warszawa, 1931.

promisowy traktat pokojowy tego okresu. Wiemy, że Joffe był gotów do ustępstw na Białorusi i dziwił się, że strona polska nie wysunęła terytorialnych żądań w tym regionie. Wiemy również, o czym pisze się rzadziej, że przeciwstawiła się im Narodowa Demokracja. Ale nie w tym rzecz. Traktat był zatem kompromisowy; obie delegacje pracowały harmonijnie i stwierdziły, iż pokój Ryski nie pozostawił za sobą żadnych nierozwiązanych problemów. Ustępstwa były obustronne. Ale czy każde rozwiązanie kompromisowe jest *ex definitio* słuszne? Pokój Ryski widziany z perspektywy lat 1960 wydaje się traktatem, który w żadnym wypadku nie mógł zapewnić trwałego pokoju, bo nie rozwiązywał istoty zagadnienia polsko-sowieckiego, ani w myśl postulatów polskich ani sowieckich. Osiągnięta równowaga była mechaniczna i tymczasowa. Czy ocena taka jest słuszna? Tylko naprawdę głębokie studium pozwoli uzasadnić ją czy też obalić.

Poza kwestią perspektywy wchodzi też w grę ewolucja metody historycznej i to tak po tej jak i po tamtej stronie „żelaznej kurtyny”. Gdyby przez metodę marksistowską rozumieć docenienie wagi czynnika społeczno-gospodarczego w historii — a to było chyba największym przyczynkiem Marksa — większość poważnej literatury historycznej Zachodu należałoby dziś określić mianem marksistowskiej. Podkreślenie doniosłości elementów społeczno-gospodarczych, może być nieraz rewolucyjne na tle dość zachowawczej — pomimo swej całej erudycji — przedwojennej historiografii polskiej. Na Zachodzie jest to już tylko przysłowiowe wywalanie otwartych drzwi i uczeni amerykańscy mówią o „nowym” podejściu do historii, poprzez socjologię, psychologię, statystykę, czy to „teorię komunikacji” prof. K. Deut-scha.

Nie zapominajmy także, że pisząc o stosunkach polsko-sowieckich jakże często traktujemy „polskie” czy „sowieckie” stanowisko jak gdyby było ono reprezentatywne dla wszystkich grup i kierunków. Wiemy dobrze, że w Polsce ścierały się poglądy i kierunki, ale czyż wewnątrz partii bolszewickiej nie było także różnic? To co uderza często w analizach linii politycznych polskiej i sowieckiej, to tendencja do uproszczeń i formulek. Jeśliby doprowadzić *ad absurdum* wspomniane tezy Załuskiego, to powstaje pytanie czy w ogóle warto studiować historię stosunków polsko-sowieckich okresu dwudziestolecia? Stosunki te były przecież zdeterminowane klasowo i nie mogły być inne niż były. Przymiotnik „obłądła” w zastosowaniu do polityki polskiej wobec Rosji nie ma w ogóle racji bytu, jeśli przyjmujemy tego typu determinizm. Z kolei jest pewnym paradoksem, że nastawienie emigracyjne odznacza się też pewnym swoistym determinizmem, który sprowadza się często do formułki, że żadna inna polityka wobec ZSSR nie mogła dać odmiennych rezultatów, gdyż Rosja Sowiecka była z założenia nastawiona wrogo do odrodzonej Rzeczypospolitej. Przyjmując takie nastawienie

kończy się właściwie możność *badania* historii stosunków polsko-rosyjskich a pozostaje tylko możliwość mniej lub więcej szczegółowego uzasadniania apriorycznych tez i założeń.

A jednak kiedy zagłębiamy się w okres stosunków międzynarodowych w latach 1921-39 wydaje się, że nie mamy łatwych odpowiedzi na wszystkie pytania. Czy misje Cziczeryna do Warszawy w 1925 roku należy traktować tylko jako manewr taktyczny, czy też kryło się poza nią coś więcej? Czy twierdzenie, że polsko-niemiecka deklaracja o nieagresji w 1934 roku nie powinna była niepokoić ZSSR, gdyż Beck zrobił wszystko, zawierając paralelny układ z Rosją i odwiedzając Moskwę, aby zapewnić ją o pokojowych intencjach Warszawy, jest całkowicie zadawalające? Wiemy, że Beck rządu sowieckiego nie przekonał a więc nie osiągnął zamierzonego celu. Czy polityka polska w okresie rozmów na temat Planu Wschodniego i w trakcie kryzysu monachijskiego była słuszna i należyście rozumiana w Moskwie? Czy zewnętrzna poprawność w stosunkach między obu krajami można rzeczywiście traktować jako dowód, że w latach trzydziestych zdołano osiągnąć pewien *modus vivendi*? Czy dyplomacja polska mogła i powinna była przewidzieć możliwość porozumienia niemiecko-sowieckiego w 1939 roku? Pytań takich jest oczywiście o wiele, wiele więcej.

W okresie drugiej wojny światowej pomiędzy rządem polskim w Londynie a Moskwą czy Kujbyszewem rozgrywa się wielka partia, z której strona polska wychodzi zwyciężona. Oczywiście gra ta nie odbywa się w próżni i trzeba traktować ją w kontekście ogólnej sytuacji międzynarodowej. Ale czy główny nacisk musi być położony na tym kontekście? Teza o „sprzedaniu” nas przez Zachód jest nieraz tak wygodna, że poprzestajemy na niej, ale jeśli Polska była w tym okresie tylko przedmiotem, a nie podmiotem, to czyż rząd polski w Londynie nie powinien był wyciągnąć z tego konsekwencji? Jeśli stwierdzimy, że losy Polski były rozstrzygane w Waszyngtonie, Londynie i Moskwie to można nawet uznać, że jest rzeczą obojętną czy rząd polski w Londynie miał jakąkolwiek politykę zagraniczną, skoro nie mógł wpływać na bieg wydarzeń. Przyjmując tak uproszczoną tezę, czyż warto w ogóle studiować ten okres? Chyba tylko po to, aby raz jeszcze wykazać perfidię wielkich mocarstw w stosunku do mniejszych narodów i wyciągnąć z tego maksimum martyrologicznego zadowolenia. *Gloria victis!* Teza ta jednak nie jest nigdy właściwie rozwinięta konsekwentnie gdyż musiałaby doprowadzić do absurdu. Jak i w poprzednich wypadkach nie chodzi tutaj o ustalanie win, ale o spokojną analizę pewnej fazy w stosunkach polsko-sowieckich. Być może, że jest na to za wcześnie i że uczuciowy stosunek do całej tragedii, której punktem kulminacyjnym było Powstanie Warszawskie, będzie zawsze dominował nad naszym sposobem myślenia, ale nie zmniejsza to potrzeby takiej analizy.

Wspomnieliśmy powyżej o twierdzeniu, które występuje silnie

w pracach polityków i uczonych zachodnich, a czasem i polskich — jak na przykład w głośnym niegdyś artykule Kulskiego w *Foreign Affairs* — że sprawa Wilna i Lwowa stanowiła klucz do całego zagadnienia polsko-rosyjskiego. Bez uregulowania tego problemu nie można było marzyć o ułożeniu zadawalających stosunków polsko-sowieckich. Zarówno Kulski jak i Ciechanowski w swym pamiętniku (10) wspominają pierwszą rozmowę Stalina z Sikorskim i odmowę tego ostatniego poruszenia w ogóle sprawy granic. Ale czy rzeczywiście sprawa granicy była istotna i w jakim sensie dla obydwóch stron? Czy Związek Sowiecki naciskał głównie dlatego, że wiedział, iż rząd w Londynie nie będzie gotów do ustępstw? Innymi słowy, czy zagadnienie tzw. Linii Curzona było tylko bronią w rozgrywce taktycznej, a celem podporządkowanie sobie Polski i wprowadzenie do niej ustroju komunistycznego? Czy w tych warunkach rząd polski ułatwiał czy utrudniał grę dyplomacji sowieckiej?

Używa się często porównania pomiędzy polityką polską a czechosłowacką w Londynie, aby wykazać, że odmienna od polskiej polityka Benesa — ugodowa i pro-rosyjska — nie uchroniła Czechosłowacji przed losem satelity. Wynika z tego, że Polska tegoż losu również nie mogła uniknąć, niezależnie od linii politycznej i ewentualnych ustępstw. Czy porównanie to jest absolutnie słuszne? Rozumowanie przez analogię jest niejednokrotnie konieczne dla wysnucia pewnych wniosków, ale czy można porównywać obie polityki zagraniczne nie porównując równocześnie sytuacji, które istniały w obu krajach, Polsce i Czechosłowacji w danym momencie? Odmienny rozwój polityki w latach poprzedzających Październik 1956 doprowadził do poważnych różnic w położeniu obu krajów. Czyż analogiczne polityki w latach 1941-43 musiałyby dać analogiczne rezultaty?

Po naszkicowaniu tych kilku zagadnień zastanówmy się z kolei nad realnymi możliwościami badawczymi. Jak przedstawia się materiał do studiów polsko-sowieckich w interesującym nas okresie? Oczywiście istnieją poważne trudności dotyczące źródeł. Archiwa polskie są zdekompletowane, rozsiane po świecie i nie wszystkie z nich mogłyby być wykorzystane. Wobec niemożności dostępu do archiwów sowieckich bardzo istotna część materiałów znalazłaby się poza zasięgiem badacza. Luka źródłowa wynikająca z niemożliwości uwzględnienia tych materiałów osłabiłaby z natury rzeczy wartość całego opracowania. Z góry więc należałoby przyjąć, że studium stosunków polsko-sowieckich, podjęte w istniejących warunkach wymagałoby w przyszłości korektur i uzupełnień. Zdanie sobie z tego sprawy musiałoby wpłynąć na ostrożność w wyciąganiu wniosków i formułowaniu konkluzji. Niemniej opracowanie oparte na dokumentacji źródłowej polskiej — dostępnej tak w kraju jak i zagranicą — i skorygowanej przez archiwa niemieckie oraz archiwa amerykańskiego Departamentu Stanu, mogłoby mieć trwałą wartość.

(10) Jan Ciechanowski, *Defeat in victory*. New York, 1947.

Jakkolwiek źródła opublikowane nie są liczne, stanowią one jednak poważną bazę dla studiów. Przykładowo wspomnieć tutaj można takie publikacje jak zbiór dokumentów, dotyczących stosunków polsko-sowieckich z 1917-18 roku, wydany przez Instytut Historii P.A.N. (11), dokumenty dotyczące stosunków pomiędzy rządem R.P. a ZSSR podczas drugiej wojny światowej, wydane przez Instytut Sikorskiego (12); czy wreszcie wybór dokumentów za lata 1918-43, opublikowany przez rząd w Londynie (13).

Wśród opracowań monograficznych należałoby wymienić między innymi takie pozycje jak praca Umiastowskiego (14), książka Shotwella (15) odnoszące się do całokształtu stosunków polsko-sowieckich; artykuły Dziewanowskiego (16) i prace Sieradzkiego (17), dotyczące wojny 1920 roku; wspomniane już uprzednio studium Komarnickiego (18) oraz monografię Dziewanowskiego o polskiej partii komunistycznej (19). Nie próbując przeprowadzać tutaj analizy tych prac, czy kwalifikować ich z punktu widzenia wartości i przydatności dla dalszych studiów, można ogólnie powiedzieć, że historyk stosunków polsko-sowieckich będzie musiał je uwzględnić w swej pracy.

Na zakończenie powróćmy raz jeszcze do kwestii celowości nowego studium zagadnienia polsko-sowieckiego. Nie ulega wątpliwości, że tematyka ta jest ważna i istotna. Historia najnowsza jest szczególnie narażona na powstawanie mitów i krzewienie półprawdy. Emocjonalne nastawienie badacza, związanego ze swą epoką nastęrcza poważne trudności w obiektywnej pracy. W tematyce polsko-sowieckiej lat 1917-45, a więc tematyce wciąż jeszcze bardzo żywej i bolesnej ciężko jest nieraz uniknąć operowania kolorami białym i czarnym, a jak to słusznie powiedział kiedyś Renan: *la verité est dans les nuances*.

Dochodzi wreszcie wzgląd bardzo istotny i zasadniczy. W historiografii krajowej tematyka sowiecka stanowi i długo jeszcze stanowić będzie pewnego rodzaju tabu. Czytelnik musi z konieczności otrzymywać obowiązujące formułki, gdyż wymaga tego,

(11) *Materiały archiwalne do historii stosunków polsko-radzieckich* pod red. N. Gąsiorowskiej, tom I. Warszawa, 1957.

(12) *Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945*. Vol. I 1939-1943, London 1961.

(13) *Polish-Soviet Relations 1918-1943*. Official documents, issued by the Polish Embassy in Washington by authority of the Government of Poland. Waszyngton, 1943.

(14) R. Umiastowski, *Russia and the Polish Republic: 1918-1941*. Londyn, 1945.

(15) J.T. Shotwell and M.M. Laserson, *Poland and Russia 1919-1945*. N. York 1945.

(16) „Pilsudski's Federal Policy 1919-21”, *Journal of Central European Affairs*, tom X, 1950.

(17) Józef Sieradzki, *Białowieża i Miłkaszewicze*, Warszawa 1959.

(18) T. Komarnicki, *Rebirth of the Polish Republic*, Londyn, 1959.

(19) K.M. Dziewanowski, *Communist Party of Poland*, Cambridge, 1959.

parafrazując Załuskiego „klasowo zdeterminowana racja stanu”. Opracowań typu polemicznego, przekonywujących czytelnika o zaborczości rosyjskiej i długofalowej polityce komunistycznej mamy już chyba wystarczającą ilość. Studium, o którym mowa tutaj nie ma mieć na celu przekonywania nikogo. Chodzi jedynie o skrupulatne dotarcie tak blisko do całej prawdy jak to jest tylko możliwe i przedstawienie jej w tak obiektywny i bezuczuciowy sposób, jak to się tylko da. Zadanie takie nie jest łatwe i trudno przewidzieć czy będzie na nie stać Polaka, który bezpośrednio odczuwa na sobie bilans stosunków polsko-sowieckich, czy to na emigracji czy to w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej.

Piotr WANDYCZ

Przegląd niemiecki

SKANDALE

Pewien publicysta niemiecki złośliwie pisał niedawno, że polityka Republiki Związkowej wyczerpuje się właściwie w coraz to nowych skandalach, których tegoroczną serię rozpoczął magnat prasowy, Gerd Bucerius, wieloletni poseł do Bundestagu, hałaśliwie występując z rządzącej partii CDU, składając mandat poselski i ogłaszając w swym piśmie „Die Zeit” obszernie motywy swej decyzji.

Ale zanim to wystąpienie zdążyło nabrać szerszego rozgłosu — własne pisma Buceriusa zostały zmuszone do zarzucenia sprawy swego szefa, by zająć się nowymi, bardziej pociągającymi czytelnika skandalami, sypiącymi się jak z rogu obfitości, a nie zawsze świadczącymi pochlebnie o politycznej wytrawności polityków niemieckiej demokracji, jak na przykład:

— Sprawa sądowa, której głównymi postaciami byli: minister Franz-Joseph Strauss, wydawcy magazynu „Der Spiegel”, operetkowy potentat z głuchawej prowincji nad Dunajem — Kapfinger, i niedwuznacznie hochsztaplerska firma budowlana „Fibag”. Rezultatem sprawy sądowej była specjalna komisja parlamentarna, badająca postępowanie ministra. Z opresji tych F.J. Strauss wyszedł wprawdzie zwycięsko, ale nieco poturbowany i z zamglonymi widokami bujnie dotychczas zapowiadającej się kariery politycznej.

— Sprawa niemieckiego ambasadora w Moskwie Krolla, szybko zlikwidowana przez udzielenie ambasadorowi dłuższego urlopu i przez oświadczenie, że jesienią rb. Kroll przechodzi w stan spoczynku. Mimo takiego

zakończenia niewtajemniczeni do dziś nie wiedzą czy Kroll był jej autorem czy ofiarą. Zbiegło to się z czterdziestoleciami Rapalla i z pewnością nie przyczyniło się do rozproszenia krążących wciąż na Zachodzie obaw o niemiecko-moskiewskie knowania.

— „Memorandum ośmiu” nie można wprawdzie zaliczać do sensacyjnych afer, gdyż zawarte w nim myśli będą stałym tematem publicystycznej dyskusji, dopóki nie znajdą trwałych rozwiązań politycznych, to znaczy jeszcze lata całe zapewne. Tym niemniej echa memorandum nadal zajmują dużo miejsca w prasie, dając bardzo pouczające możliwości obserwowania przemian, zachodzących w społeczeństwie niemieckim.

— Różnym przyczynom, a w dużej mierze ustąpieniu Buceriusa z CDU i z Bundestagu, należy przypisać wznowienie dawno — zdawałoby się — zapomnianej historii, misji Bertholda Beitza w Warszawie. Jest to nas bezpośrednio bardzo obchodząca sprawa, więc o niej szerzej.



Berthold Beitz, pomorzanie (z pruskiego Pomorza), w pierwszych miesiącach wojny, jako dwudziestosiedmioletni młodzieniec, został wysłany do Borysławia w roli pełnomocnika koncernu naftowego „Shell”. Na tym stanowisku wykazał wiele odwagi cywilnej w obronie swych polskich i żydowskich podwładnych przed praktykami gestapowców, a z czasem wsławił się osobistym wyciągnięciem kilku Żydów z transportów przeznaczonych na zagładę. Wojnę zakończył jako feldfelbel na wschodnim froncie; zdołał przedrzeć się na Zachód i uniknąć sowieckiej niewoli. Po wojnie zabył jako niezwykle uzdolniony organizator wielkich przedsiębiorstw, a od roku 1953 jest generalnym pełnomocnikiem Alfrieda Kruppa von Bohlen, największego chyba w świecie prywatnego przedsiębiorcy, szacowanego przez rzeczoznawców na co najmniej pięć miliardów marek i dysponującego w Niemczech koncernem złożonym z 97 wielkich firm przemysłowych.

Koncern Kruppa od pamiętnych Targów Poznańskich w 1956 roku ze wzrastającym rozmachem stale bierze udział w tych targach, a Beitz jest tam zawsze dobrze widzianym gościem. Jego firmowy samolot, przezornie omijając nadmorskim szlakiem Niemcy Wschodnie, zawsze ma wolne lądowisko w Poznaniu, lub w Warszawie.

W grudniu i styczniu 1960/61 samolot Beitza kilkakrotnie kursował między Zachodem a Warszawą, jednak tym razem Beitz tylko ubocznie reprezentował Kruppa, stając się mediatorem między kanclerzem Adenauerem, a Gomułką i Cyrankiewiczem, i będąc przyjmowany w Warszawie z honorami. Z ówczesnych niemieckich oficjalnych niedomówień jasne było tylko tyle, że Beitz latał do Warszawy na osobiste zlecenie Kanclerza, i że misja została storpedowana przez jakieś zakulisowe rozgrywki wpływowych polityków i wysokich dygnitarzy zachodnio-niemieckich.

Pod koniec 1960 roku obiegła w Bonn pogłoska, że zarówno Beitz, jak i jego mocodawca Alfried Krupp (po dramatycznych przeżyciach w czasie Procesu Norymberskiego), zmierzają do tak gigantycznych inwestycji przemysłowych w Polsce, na Ukrainie i w zachodnich połaciach Rosji, oraz do utworzenia tak potężnego zażębienia wzajemnej zależności prze-

mysłowej między Zachodem i Wschodem Europy, żeby ta wzajemna zależność wykluczała możliwość zbrojnego konfliktu. Ale pogłoska pozostała niesprawdzalną plotką, a warszawskie podróże Beitza zapoczątkowały jedynie nadreński karnawał polityczny 1961 roku; misja Bertholda Beitza otrzymała figlarny tytuł „niemieckiej BB” i wraz z karnawalem poszła w pozorną niepamięć. Dopiero w kwietniu rb. odgrzebał ją „Die Zeit”, tygodnik Buceriusa, publikując wywiad z Beitzem.

Komentarz redakcyjny nazwał misję Beitza klasycznym przykładem jak z niemieckiej strony nie należało postępować. Prowadzący wywiad Reinhart Holl z nietajonym uznaniem dla poglądów rozmówcy przytacza takie jego wypowiedzi: „Porozumienie między Niemcami a Polską ma niezwykłą wagę. Być może jest ono decydujące dla równowagi w Europie, a tym samym dla pokoju”. I nieco dalej: „Stanowisko Bonn w stosunku do Polski jest pasmem zmarnowanych możliwości”.

Z dalszego tekstu wywiadu dowiadujemy się, że w czerwcu 1958 roku, zaproszony przez Mikojana, Beitz udał się do Moskwy. Alfried Krupp otrzymał z tego powodu ostry list od Adenauera: — wyjazd tak ważnego przemysłowca do Moskwy stanowi *politicum*, przeto Kanclerz życzy sobie być na przyszłość uprzednio informowanym. Krupp grzecznie i chłodno miał odpowiedzieć, że ani o tym myśli.

W rok później, z okazji dwudziestolecia rozpoczęcia wojny, Adenauer wygłosił pod adresem Polski dość pojednawczą mowę (1). Jeszcze w rok później, w czasie Targów Poznańskich 1960 — Cyrankiewicz zaproponował Beitzowi „oficjalnie” odwiedzić Warszawę. Propozycja była wkrótce potwierdzona urzędowym pismem zapraszającym.

Z tym pismem Beitz zjawił się u Kanclerza, a otrzymawszy pełne poparcie szefa rządu — wylądował na Okęciu. Przyjmowano go teraz nie jako wielkiego przemysłowca, lecz według protokołu dyplomatycznego stosownego dla premierów.

Podczas galowego przyjęcia w pałacu natolińskim Cyrankiewicz, gęsto przeplatając polskie przemówienie niemieckimi okresami, witał Beitza „z otwartymi ramionami” jako wypróbowanego w najcięższych chwilach Polski przyjaciela, i stwierdzał, że Polska nie chce być antyniemiecka, że przeciwnie — pragnie przyjaźni z Niemcami, że pora już zamknąć przeszłość, że w Polsce rozumiani są nawet naziści, którzy zdołali zrewidować swe dawne przekonania, że Polska swe propozycje znormalizowania stosunków z Niemcami już składała, nie może ich jednak wciąż powtarzać.

„To były tony, jakich jeszcze nigdy nie słyszeliśmy w Warszawie. Dłoń do zawarcia pokoju była podana szerokim gestem, należało ją tylko ująć” — mówił Beitz w wywiadzie.

W dalszym toku rozmów rząd warszawski proponował konkretny program stopniowej normalizacji stosunków, wysuwając na początek zawarcie wieloletniego traktatu handlowego i ugody kulturalnej. Proponowano większość importu z Niemiec zamawiać w firmach zachodniego Berlina, zobowiązując się wzajemnie do wielkich dostaw artykułów żywnościowych do tegoż Berlina. W ramach ugody proponowano urządzenie w Warszawie Niemieckiego Instytutu Kulturalnego, mogącego równoważyć wpływy jedno-

(1) Tekst tej mowy podaliśmy w numerze 144 *Kultury*.

stronnej propagandy Wschodnich Niemiec. Nie żądano ostatecznego uznania granicy na Odrze i Nysie: Warszawa miałaby oświadczyć, że uważa ją za definitywnie ustaloną, Niemcy Zachodnie natomiast oświadczyłyby, że ostateczna regulacja musi być pozostawiona przyszłemu traktatowi pokojowemu.

Z takimi wiadomościami Beitz z Warszawy poleciał wprost do Bonn. Kanclerz był podobno bardzo rad, że amator-dyplomata przywiózł tak konkretne i korzystne projekty. Jednak w ciągu następnych tygodni w Bonn pogmatwano z powrotem wszystko, co w Warszawie usiłowano rozplątać.

Najpierw wicekanclerz Erhard wypowiedział w Berlinie kilka zbędnie ostrych zdań. Później sam Adenauer 10 stycznia 1961 roku — według słów R. Holla, osobiście wkroczył do składu porcelany i — mówiąc o swym dążeniu do poprawy stosunków z Polską, oświadczył: „Ale najpierw musimy sami wiedzieć czego chcemy, a następnie czego chcą Polacy”. Dalej podsekretarz stanu von Eckardt, szef urzędu prasowego, dodał że Kanclerz wyraził tylko ogólne uwagi, że poza tym niczego się w stosunku do Polski nie zamierza. Wreszcie wiceminister spraw zagranicznych, profesor Karl Carstens, zadał decydujący cios misji Beitz, oświadczając wobec Komisji Spraw Zagranicznych Bundestagu, że rząd nie myśli o dokonaniu konkretnych kroków w celu nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską.

Mimo tych wypowiedzi i mimo zgrzytliwych komentarzy prasy warszawskiej, Adenauer zażądał od Beitz jeszcze jednego lotu do Warszawy. Tym razem, w chwili lądowania samolotu Beitz na Okęciu (22.1.61.), Gomulka wygłaszał ostrą mowę i oświadczał, że Warszawa życzy sobie nawiązania kontaktu z Bonn tylko w ramach pełnych stosunków dyplomatycznych.

Gdy w następnych godzinach Beitz latał u Cyrankiewicza poszarpane plany — w Bonn Felix von Eckardt dementował: Pan Beitz działa w Warszawie nie z polecenia Kanclerza. Podobno von Eckardt nie był powiadomiony o treści rozmowy z dnia poprzedniego, prowadzonej przez Kanclerza z Beitzem, w obecności podsekretarza stanu Globke.

W dobę później w Bonn, w obecności mocno podnieconego Beitz, Adenauer dyktował Carstensowi następujące oświadczenie: „Pan Berthold Beitz z aprobatą Kanclerza i Ministerstwa Spraw Zagranicznych przedsięwziął dwie podróże do Warszawy. Każdorazowo po powrocie zdawał sprawozdanie Kanclerzowi. Przewiduje się, że dalsze rozmowy będą prowadzone przez oficjalne urzędy”.

Po otrzymaniu takiego oświadczenia, Beitz wycofał się z afery, a Rolf Lahr (obecnie podsekretarz stanu), jako ambasador specjalny, otrzymał polecenie ułożenia z warszawskim ambasadorem w Kopenhadze wstępnych planów dalszych negocjacji.

„Co dalej nastąpiło” — komentuje R. Holl — „o tym kursują w Ministerstwie Spraw Zagranicznych różne wersje. Nikt jednak nie potrafił mi wyjaśnić, jak nasypano piasku do tej maszyny”.

Pytanie Holla skąd wziął się piasek — opozycyjny poseł do Bundestagu, Hellmut Kalbitzer, wyjaśnia następująco: „Doświadczenie pozwala mi przypuszczać, że nasypali go tak zwani „Zachodniacy” (*Abendländer*), to znaczy wyznawcy zachodnio-europejskiego ekskluzywizmu, dla których Europa nie stanowi naturalnej wspólnoty ogółu Europejczyków”. Wpływo-

wych przedstawiciele tego kierunku Kalbitzer dopatruje się w osobach byłego ministra von Brentano, obecnie prezesa frakcji CDU/CSU, oraz byłego wiceministra Hallsteina, obecnie przewodniczącego w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej. Prawdopodobnie jednak nie tylko *Abendländer* dosypywali piasku. Dla samego zagadnienia normalizacji stosunków obojętne jest kto, co, i jak sfuszował: sprawę pograżono na dłuższy, nie dający się choćby w przybliżeniu przewidzieć, okres czasu.

Obie strony poniosły straty. Skorzystał tylko ten trzeci.

ZNAMIENNY KONTRAST

Od piętnastu lat wychodzi w Sztutgarcie miesięcznik „Merkur”. Pismo literackie na najwyższym poziomie myśli europejskiej, niezależne w najlepszym tego słowa znaczeniu. Do „Merkura” pisuje niemieckojęzyczna elita kulturalna wszelkich zabarwień ideologicznych i politycznych. Dotychczas ukazało się 170 zeszytów. Wydawcy zamierzają zamknąć to pismo. Przyczyna — zbyt mała ilość nabywców, stały deficyt wynoszący coś około trzydziestu tysięcy marek rocznie.

Od jedenastu lat ukazuje się w Monachium także pismo: „Deutsche Soldaten Zeitung und National-Zeitung”. Dla scharakteryzowania tego tygodnika wystarczy przytoczyć kilka nagłówków i cytata. Na przykład numer 15 z 20 kwietnia rb.: „Kennedy pcha nas do Rapallo — cierpliwość narodu niemieckiego jest na wyczerpaniu”. Tak zatytułowany artykuł wstępny naczelnego redaktora (dr Gerhard Frey) kończy się oświadczeniem: „To co zamierza Kennedy i jego trust mózgow traktujemy jako koniec niemiecko-amerykańskiej przyjaźni — nawet jeżeli nasz rząd będzie to musiał dementować”. Następny tytuł: „Odra-Nysa — nigdy granicą”. Na stronie 7 notatka pod nagłówkiem „Kardynał walczy o bezprawie” zaczyna się od słów: „Znany szowinista, Kardynał Wyszyński, po powrocie z Rzymu rozprzestrzenia kłamstwa...” itd. Na stronie 12 tytuł *Die polnische Regierung ist nicht bei Verstand* — rząd polski postradał zmysły.

W tym samym numerze redakcja ogłasza, że jest zmuszona rozszerzyć swe biura, wobec czego poszukuje doświadzonego architekta, który podjąłby się sporządzenia planów budowy odpowiedniego gmachu w centrum Monachium, na placu należącym do wydawnictwa.

ZWIĄZEK POLAKÓW W NIEMCZECH

W marcu rb. odbyło się w Bochum statutowe (raz na trzy lata) Walne Zebranie Związku Polaków w Niemczech. Prezes Stefan Szczepaniak w swym przemówieniu, nawiązując do czterdziestolecia istnienia Związku, uroczyście stwierdzał:

„Jesteśmy przede wszystkim Polakami i katolikami, a przy tym obywatelami niemieckimi, zobowiązanymi do lojalności wobec państwa niemieckiego. Te trzy kryteria zawsze musimy sobie stawiać w naszej pracy organizacyjnej, w naszym życiu społecznym. Zadaniem naszym jest pozostać wiernym naszej świętej Matce, Kościołowi Katolickiemu, naszej polskiej

kulturze, tradycjom i dzwięcznej mowie ojczystej, — a z drugiej strony zadaniem naszym jest obrona naszych interesów narodowych i to zarówno indywidualnych interesów każdego z naszych członków, jak i nas wszystkich zespolonych w Związku”.

W sprawozdaniu z Walnego Zebrania czytamy:

„Długoletnie zabiegi nasze o naprawienie krzywd wyrządzonych naszym organizacjom, starania o odszkodowanie za bezprawnie skonfiskowany majątek nasz po wybuchu wojny, nieustanne memoriały — składane w tej sprawie do władz, skargi wnoszone do sądów, petycje przedstawiane osobiście kompetentnym władzom, rezolucje uchwalane z naszej inicjatywy na kongresach Unii Federalnej Europejskich Grup Narodowościowych, — wszystkie te zabiegi były głosem wołającego na puszczy. Sprawy te, mimo usilnych zabiegów naszych nie zostały dotychczas załatwione. Mimo zagwarantowanej nam konstytucyjnie równości obywatelskiej, jesteśmy nadal ofiarami dyskryminacji narodowej. Ofiarom terroru w latach wojny i reżymu hitlerowskiego przyznają ustawy niemieckie prawo do odszkodowania. Nam — Polakom, ofiarom prześladowania z powodów narodowych, odmawia się tych praw i wszystkie zabiegi o odpowiednią nowelizację odnośnych ustaw nie zostały dotychczas uwzględnione. Podobny los spotkał wszystkie petycje nasze o poparcie naszych interesów kulturalnych. Mimo licznych interwencji u władz krajowych, młodzież polska nie może dotychczas korzystać z nauki języka polskiego, lub z kursów językowych i nie doczekała się dotąd jakiegokolwiek — choćby najskromniejszego — poparcia władz w pielęgnowaniu naszej rodzimej kultury.

W kwietniu rb. „Die Zeit” cytował następującą wypowiedź Kancelarza Adenauera: „W polityce zagranicznej nie jest najważniejsze, aby co osiem lub czternaście dni występować z nowymi pomysłami”.

Czy jednak w trzynastym roku, a nie dni, rządów nie byłoby dostatecznie wskazane wystąpić z nowym pomysłem usuwającym dotychczasową dyskryminację drobnej grupy lojalnych obywateli?

Na razie nic nie zapowiada zmiany. Przeciwnie: — urzędnik próbujący dokonać pozytywnych zmian w obecnym stanie rzeczy sam może narazić się jeśli nie na dyskryminację, to co najmniej na dokuczliwą nagonkę.

S. W. KOZŁOWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Kraj

Przegrana Gomułki

Niedawno odbyło się w Warszawie małe zebranie szeregu ludzi zbliżonych do sfer partyjnych, poświęcone omówieniu sytuacji w kraju. Skrócowa reasumpcja dyskusji została przesłana do „Kultury”. Podajemy ją bez zmian jako niezmiernie ciekawy dokument.

Trudno jest jeszcze w obecnej chwili ocenić w pełni konsekwencje XXII Zjazdu KPZR. Być może, że przejawia się one w stosunkowo bliskiej przyszłości, a może przyjdzie na nie czekać przez lata całe. W każdym razie skutki te będą głębokie dla wszystkich krajów Europy Wschodniej.

XX Zjazd miał efekt błyskawicy, która rozdarła chmury spiętrzone nad światem komunistycznym, ale światło tej błyskawicy było widoczne przede wszystkim w krajach niekomunistycznych, a z krajów komunistycznych — w Polsce i na Węgrzech. O rewelacjach uczynionych na tym zjeździe wiedziała w Rosji jedynie ograniczona liczba aktywistów. W krajach satelickich jeszcze mniej.

Inaczej XXII Zjazd. Zorganizowany był on w ten sposób, by każdy sekretarz najmniejszej komórki partyjnej na obszarze całego Związku Radzieckiego wiedział co ma myśleć i kto jest górą. Walka z „dogmatykami” była cięższa niż początkowo Chruszczow myślał. Widać trzeba było wstrząsnąć całą warstwą biurokratyczną aparatu partyjnego i rządowego, formowaną w ciągu trzydziestu lat rządów Stalina. Z ostrości oskarżeń na XXII Zjeździe widać też jak dalece konserwatywne skrzydło partii było i jest silne.

Ale ta rozgrywka musi doprowadzić do głębokich zmian na całym obszarze świata komunistycznego. Raz puszczone w ruch nie dadzą się zapewne łatwo zatrzymać.

Problem ten — czy w miarę dorastania nowego pokolenia dojdzie do nowej „Wiosny Ludów” tym razem na Wschodzie — jest sprawą ważną, ale rozmyślania na ten temat nie wyczerpują specyfiki polskiej.

XXII Zjazd a Polska

Odrębne życie społeczeństwa i wtajemniczonej góry politycznej jest jedną z cech obecnej sytuacji w Polsce być może — kamieniem węgielnym pozornej stabilizacji.

Cechy tej stabilizacji: rozbitcie kół partyjnych na wzajemnie zwalczające się grupki, trzymające się wzajemnie w szachu. Obojętność szerszego społeczeństwa, zajętego bieżącymi problemami życia codziennego, z trudem próbującego utrzymać stopę życiową, przy wciąż rosnącej, chociaż oficjalnie „nie uznawanej” drożyznie.

Sprawa Hollanda, który przypłacił śmiercią ujawnienie szczegółów „dintojry” nad Berią i celności strzałów marszałka Moskalkenki, była epizodem, który posłużył do rozgrywek w kołach wysoce wtajemniczonych, ale skutkiem jej nie były nawet zasadnicze przesunięcia w układzie sił partyjnych. Gomułka z wściekłości na wiadomość o śmierci Hollanda połamiał podobno parę krzesel w Sejmie. Wydalono Wetza, za puszczanie tej wiadomości do prasy światowej. Pewnego rodzaju zorganizowaną demonstracją był pogrzeb Hollanda, ale nastroje wzburzenia istniały tylko w wąskim gronie. Społeczeństwo nie wiedziało w ogóle, że coś zaszło.

Zapowiedź Gomułki po powrocie z Moskwy, że nie potrzeba przeprowadzać destalinizacji, gdyż odbyła się ona już dawno w Polsce, w kołach partyjnych zrozumiana została jako rodzaj „zapory” dla ewentualnych żądań rewizjonistów, gdyby chcieli podnieść głowę. Ale oni już od dawna wzięli wodę w usta i ust tych nie otwierają. Wprawdzie gdzieś wyrażono zainteresowanie, co będzie robił Gomułka, kiedy, w pewnym sensie, Chruszczow prześcignął go w liberalizmie — było to jednak zainteresowanie platoniczne, gdyż szybko okazało się, że Gomułka zdecydował się sterować pod prąd. Silniejsze, niżby to wynikało z objawów zewnętrznych, było zainteresowanie wywołane policentrycznymi tendencjami partii włoskiej, ale poruszyły one wąskie koło intelektualistów partyjnych, nie sięgając szerzej do niższych szczebli partyjnych.

Był kiedyś Październik...

Społeczeństwo zaś było przede wszystkim zainteresowane czy po XXII Zjeździe dojdzie znowu do pewnej liberalizacji. Zaintrygowały słowa Gomułki, iż „kurtyna historii podniosła

się znowu i że jeszcze podniesie się kilkakrotnie”. Myślano, że Gomułka skorzysta z okazji, by w pewnym sensie poprobać wrócić do społeczeństwa, nawiązać starannie niszczone i rwane nici.

Jeszcze kilka miesięcy temu spotkać można było takich, którzy tłumaczyli sobie, że zapewne nie może. Że „racja stanu” stoi na przeszkodzie. A teraz nadarzała się okazja.

Zaczęto przypominać sobie październik. Jak to przed pięć laty Gomułka mówił, że „ubogą myślą jest, że tylko marksiści mogą budować socjalizm”. Wtedy przecież otwierał szeroko drzwi do współpracy dla całego społeczeństwa. Wtedy miał mniej cech I sekretarza partii, ale za to stał się wodzem narodu. Teraz, kiedy na XXII Zjeździe Chruszczow apelował do całego społeczeństwa, kiedy podnosił rolę bezpartyjnych, w kraju gdzie partia od 45 lat odgrywa rolę kierującą, kiedy nawet Kadar przeorganizował swój aparat rządowy w kierunku wciągnięcia szerszych rzesz niezaangażowanych politycznie specjalistów, nawet takich, którzy załatwiają ciągatkami do „kontrewolucji” z 1956 r., można było myśleć, że Gomułka też wykorzysta sytuację.

Miał on okazję do odzyskania społeczeństwa, które zapomniałoby mu wiele. Za jednym zamachem mógł wzmocnić swoją pozycję w partii. Pozycja Gomułki zależy bowiem od tego jaki jest do niego stosunek społeczeństwa. Bo przecież w 1956 r. nie po to partia dała mu władzę, że uważano go za dobrego organizatora, czy dalekosiężnego polityka, czy wreszcie teoretyka partyjnego, który potrafi odświeżyć nurt ideologiczny. Wiedziało, że jest jedynym, do którego społeczeństwo miało wówczas zaufanie.

Rząd, który przy każdej okazji lubi urządzać rocznice i święta, nie wspominał najmniejszym obchodem, czy artykułem piątej rocznicy października. Ale jednak, po powrocie Gomułki z Moskwy, przez czas pewien nie zamykano aparatów radiowych, gdy na fale eteru wchodził jego nudny głos. Z roku na rok mowy jego były coraz bardziej szare coraz bardziej drętwe, coraz bardziej brzmiały żargonem aparatczyka partyjnego. Ale teraz czekano...

Stracona okazja

Politycznym epilogiem XXII Zjazdu w Polsce stały się obchody z racji XX-lecia PPR. Miały one podwójną wymowę. Wewnątrz partyjną. I szerszą — ustawienia partii w oczach społeczeństwa.

Wewnątrz partyjnie chodziło o ostateczne wyniesienie na piedestał Gomułki i jego grupy. Misternie przeprowadzona operacja miała usunąć w cień wspomnienia KPP, jej powiązań z Moskwą i Kominternem. Przekreślić w pewnej mierze rolę aparatczyków, siedzących latami pod skrzydłami Stalina.

Przy obchodach XX-lecia nie wspomniano nic o roli Lampego, przy przygotowaniach nad odbudową aparatu partyjnego w Polsce, po jego zniszczeniu przez Stalina. O przygotowaniach w drugiej połowie 1941 roku, kiedy już w czasie wojny z Niemcami Moskwa zdecydowała się jednak na odbudowę partii w Polsce, czego nie robiła wcześniej, by nie zrażać sobie niemieckiego sojusznika. O roli „grupy inicjatywnej”, przygotowującej w Moskwie utworzenie PPR (do której to grupy należał m.in. Jerzy Morawski dzisiaj usunięty z Biura Politycznego, jako rewizjonista). Wymieniono wprawdzie niektórych członków tej grupy, wspomniano nieżyjącego Nowotkę, ale to wszystko tak jakby PPR narodziła się sama przez się na ziemi polskiej.

Nie omieszkano dodać, że PPR nie otrzymywała „żadnych” pieniędzy z Moskwy (wiadomo, Nowotko i inni wysyłani byli do Polski tylko z proškami od bólu głowy w kieszeni). Chodziło o podkreślenie polskości, „rodzimości” PPR. Może te brechty byłyby przyjęte dobrze przez społeczeństwo, gdyby nie fatalny błąd, a raczej seria błędów, zawartych w przemówieniu Gomułki.

Jeden błąd — poruszenie sprawy Katynia w duchu kłamstw rosyjskich, w które nikt, dosłownie nikt, w Polsce nie wierzy ani w partii ani tym bardziej poza partią. Przeciwnie spodziewano się, że kłamstwo to zostanie wyczyszczone z hipoteki stosunków polsko-rosyjskich po XXII Zjeździe. Była do tego okazja.

Drugi błąd — usprawiedliwienie układu rosyjsko-niemieckiego z sierpnia 1941 roku. Był to zupełnie niepotrzebny akt lokajstwa w ustach I sekretarza partii, która nazywa się „polską” partią robotniczą.

XXII Zjazd dostarczył znów jedynej, może niepowtarzalnej, okazji do wyczyszczenia i tej hipoteki. Na zjeździe tym atakowano Mołotowa. Można było przypomnieć, że on był autorem paktu z Hitlerem. Że wysyłał depezę gratulacyjną do Hitlera z racji wejścia wojsk niemieckich do Warszawy w dniu... 8 września 1939 r., a więc na dwadzieścia dni przed kapitulacją itd.

O Gomułce dawno krąży po Warszawie dowcip, że podobny jest do koguta, bo „pieje o Wschodzie”. Tu zapiał fałszywie. Straszliwie fałszywie w uszach polskich. I położył tym samym ustawienie PPR jako tej „polskiej”, „niezależnej od Moskwy partii”. Bo po tylu kłamstwach kto uwierzy, że naprawdę PPR nie dostawała pieniędzy z Moskwy.

Błędy nagromadzone w wystąpieniu Gomułki zaskoczyły też bonzów partyjnych, którzy uważali, że głównym atutem Gomułki jest „wyczucie” odruchów społeczeństwa. Dzieje się w Polsce rzecz dziwna: rośnie popularność Chruszczowa, jako tego, który liberalizuje sytuację w Zw. Radzieckim, a spada

popularność Gomułki, którego jedynym programem jest zamordyzm we wszystkich dziedzinach.

Sytuacja w partii

Obchód XX-lecia PPR miał być ukoronowaniem długiego etapu przekształcania i „brania w rękę partii”. W tej dziedzinie Gomułka osiągnął szereg zwycięstw, co do których niezmiernie trudno jest powiedzieć, które są prawdziwe, a które pozorne. Do prawdziwych należy na pewno rozprawienie się ze stalinowcami na VIII Plenum, w październiku 1956. Dalsze elementy tej rozprawy zawarte były w czasie dyskusji na IX i X Plenum w 1957 r. Później jednak nastąpiła zmiana frontu. Rozgromienie „Po Prostu”. W dyskusji na ten temat na XI-tym Plenum, Gomułka uderzył w pierwsze tony powrotu do „zamordyzmu”. Podkreślił rolę partii, jako organu „dyktatury proletariatu” i konieczność polityki „przemocy”, którą partia musi realizować wobec społeczeństwa dla osiągnięcia swych celów. Usłużny Putrament na tym samym Plenum rozdzierał szaty, że wypadki po zamknięciu „Po Prostu” były „ruchawką”, więc trzeba robić porządek.

Był to moment początkowy rozstawania się z rewizjonistami. W tym duchu poszły przygotowania do III Zjazdu, na którym wybrany został nowy KC. Jest on rezultatem kompromisu między koteriami, ale już z wyraźnym ustawieniem ludzi odpowiadających Gomułce.

Później, w roku 1959, kiedy wyszły na jaw niedociągnięcia w planowaniu i doszło do trudności na rynku mięsa, przy 14 miliardach przekrozonego funduszu płac, Gomułka dał folę swym uczuciom i tendencjom ku „zamordyzmowi” przywracając Szyra, nie kryjącego swego podziwu dla „wielkiego skoku chińskiego”, „krwawego Julka” Tokarskiego, który po październiku tłumaczył się wobec robotników, że to nie jego wina, że robił głupstwa, bo przecież nie ma przygotowania do pełnionych funkcji, i znanego tępaka Gedego. Dalszym etapem było w 1960 r., po ucieczce Monata, powołanie do KC Witaszewskiego.

Posunięcia te realizował Gomułka niejednokrotnie wbrew ci chemu sabotażowi ze strony samego aparatu KC. Realizował skokami, podlegając w innych wypadkach wpływom tegoż aparatu.

Sytuację wewnątrz partii komplikują dodatkowo dwie okoliczności. Niechęć Gomułki do inteligencji, co robi z niego w drugiej połowie XX-go wieku postać wyjątkową w skali międzynarodowej. A także przewijająca się cienką nicią w rozgrywkach międzyklikowych sprawa antysemityzmu.

W sumie trudno powiedzieć dzisiaj czym jest partia. Przeprowadzono szeroką rekrutację, w czym celował specjalnie ru-

chliwy Zambrowski. W rezultacie przybyło wiele elementów obojętnych — ludzi dla których przynależność do partii jest równoznaczna z lepszą pensją.

Młode elementy są szczególnie cyniczne. Nie wierzą dosłownie w nic. Praca ideologiczna ma charakter formalny, w wielu wypadkach nie istnieje.

Jest to zresztą skutkiem generalnego chaosu, jaki istnieje w partiach komunistycznych na całym świecie.

Formalnie rola prowadząca, „kierownicza”, partii w Polsce wzrosła. Faktycznie upadła przez zbyt słabe podstawy intelektualne, biurokratyczne karierowiczostwo i kradzieże.

Przed kilku laty istniała w społeczeństwie polskim nienawiść połączona z pewną dozą strachu. Teraz jest przede wszystkim pogarda. Jeśli partia zbliżyła się do jakichś grup społeczeństwa, to przede wszystkim do różnych macherów gospodarczych.

Konsekwencją niechęci Gomułki do inteligencji jest rosnący zamordyzm w tej dziedzinie. Już nawet niewinne dyskusje w „Krzywym Kole” wydają się niebezpieczeństwem. W Polsce jest ciągle jeszcze swobodniej niż w innych krajach komunistycznych, ale istnieje świadomość, że gdzie indziej swobody rosną, a w Polsce maleją.

Wypadające z rąk atuty

Głównymi atutami Gomułki były, jak wiadomo: uregulowanie sprawy stosunków z kościołem, nastawienie polityki rolnej na cele produkcyjne z odłożeniem na czas dalszy sprawy kolektywizacji wsi, zniesienie szeregu nonsensów i przerostów w gospodarce, które narosły w czasie planu sześcioletniego i przedtem.

W dziedzinie Kościoła zastrzeżenie. Doprowadzono do sytuacji krytycznej. Wkraczanie milicji do kościołów, utrudnienia przy nauce katechizmu. Konfiskowanie obrazków świętych. Nawet tyle znoszący postowie z grupy „Znak” nie mogli głosować za ustawą o zgromadzeniach. Gomułka wydaje się zapominać o tym, że nawet ugodowa polityka Kardynała musi mieć kres, kiedy zagrożone są minimalne atrybucje Kościoła. Bliscy Gomułki twierdzą, że pozostał on wierny swym poglądom z lat 1947-48, kiedy ostro występował przeciwko Kościołowi, a że taktyka po październiku 1956 r. była wyjątkiem. Ale ta taktyka była jedną z podstaw popularności Gomułki. Na niej korzystał, bo w miarę normalizacji nastroje religijne raczej opadały. W kołach rządowych mówi się teraz o tym, że kardynał Wyszyński szuka palmy męczeńskiej. Jest to być może zapowiedź dalszych akcji antyreligijnych. Wywołują one skutek odwrotny od zamierzonego.

Na wsi jest jeszcze stosunkowo spokojnie. Polska mogła

się pochwalić dobrymi rezultatami wobec zupełnej klapy polityki rolnej we wszystkich innych krajach komunistycznych. Ale od czasu zjazdu ZMW i wystąpienia Zambrowskiego wzrastają nastroje niepewności na wsi. Rolnicy przykładają się bardzo do wysiłku produkcyjnego, ale z jedną nogą na zewnątrz. Żadnych inwestycji. Najmniejszy nacisk w kierunku kolektywizacji może zmienić sytuację radykalnie. W aparacie KC jest mnóstwo narzekania na ospałość kółek rolniczych i na ich nikłe rezultaty. Tymczasem wieś nie dostaje dosyć nawozów i ma przestarzały sprzęt maszynowy. Traktory przeznaczone do tego, by zachęcać do kolektywizacji, rdzewieją. Rząd nie daje narzędzi takich, jakich wieś potrzebuje. Gomułka nie umie tu wybrnąć ze sprzeczności: produkcja, czy „socjalistyczna przebudowa”. Młodzi cynicy z centralnego aktywu partyjnego twierdzą, że Polska wejdzie na drogę eksperymentów na wsi i niszczenia przez to produkcji, akurat wtedy kiedy inne kraje socjalistyczne zaczną drogę odwrotu.

Z sytuacją gospodarczą nowe kłopoty. Narzekania na brak dyscypliny płac. Faktem jest, że gdyby nie dobre zbiory i wzmoczona produkcja artykułów hodowlanych powtórzyłaby się sytuacja z 1959 r. W fabrykach niezadowolenie z obniżek płac, będących konsekwencją zmian w normach. Wydajność pracy jest mała. Postęp techniczny bardzo słaby. Ostatnie X Plenum, wykazało wielkie braki organizacyjne w całej gospodarce, w funkcjonowaniu Komisji Planowania przede wszystkim.

Plenum te wykazało jednak równocześnie wielki spadek autorytetu Gomułki. Dokonanego przez niego podsumowania, zrobionego w jednym ze znanych i powtarzających się coraz częściej ataków wściekłości nie puszczono do prasy. Z dyskusji wynikało, że w pewnym sensie pozostał on odosobniony. Za nowymi zapowiedziami zamordyzmu wypowiedział się tylko wiernie Kliszko, już nawet nie Szyr.

Droga spadku autorytetu Gomułki od października 1956 r. jest długa, ale skuteczna. Utrata popularności w społeczeństwie. Utrzymywanie się w partii tylko dzięki skomplikowanemu układowi międzyklikowemu.

„Zamordyzm” jako jedyny punkt programu w Polsce nigdy nie wystarczał.

Przy ucisku kulturalnym wszystko staje się niebezpieczeństwem. Nawet występowanie o swobody demokratyczne dla odległych ludów kolonialnych. Bo świadomość odwrotnej sytuacji w Polsce gra wówczas w całej pełni. Istnieje stabilizacja stosunków, bo społeczeństwo nie szuka guza. Jest stabilizacja wewnątrz partii, bo reprezentanci poszczególnych frakcji boją się „wywoływania wilka z lasu”.

Ale to wszystko jest tylko pozorne. Byle wydarzenie może puścić w ruch drzemające siły.

Gomułka staje się powoli niepotrzebny. Nikomu.

Mój testament

Spędziłem w zachodniej Europie (Niemcy, Francja) około dwóch i pół miesięcy. Teraz, powracając do Polski, trzeba by przekazać kolegom i przyjaciółom z Emigracji (z którymi tyle się tu nadyskutowałem i nakłóciłem), parę syntetycznych uwag i spostrzeżeń, stanowiących coś w rodzaju testamentu, to znaczy zbioru zaleceń pozostawionych przez tego co odchodzi dla tych, co zostają. A oto owe zalecenia czy uwagi, napisane szkicowo, bo któż będąc niedługo czas w Paryżu przykładałby się nadmiernie do pracy? Od pracy jest dla nas Polska.

Co uderza przybysza z kraju w Zachodniej Europie? Oczywiście i przede wszystkim nieosiągalny dla nas w tej chwili poziom życia materialnego. Niestłuchana energia produkcyjna, modernizacja i znakomita organizacja przemysłu, rozkwit rolnictwa, wysokie pensje i olbrzymia podaż wszelkiego rodzaju towarów konsumpcyjnych, wszystko to składa się na obraz jakiegoś „ziemskiego Edenu”, gdzie wprawdzie panuje nierówność dochodu i zarobków, ale przy ogólnym „bumie” koniunkturalnym nawet najmniej zarabiający ma się nie najgorzej, choć francuskim zwyczajem lubi narzekać i pomstować na wszystko. „Wirtschaftswunder”, który do niedawna przypisywano Niemcom Zachodnim, objął obecnie i Francję i Północne Włochy i inne kraje Zachodu. Wstydlive plamy, jak stosunki rolne w południowych Włoszech czy bieda i zacofanie Hiszpanii lub Portugalii nie mogą zaćmić ogólnego obrazu „produkcyjnego raj”, panującego dziś w Zachodniej Europie i w sprzymierzonych z nią Stanach Zjednoczonych. Raj ten oczywiście ma swój odpowiednik w pracy: w ciężkiej, intensywnej, nie znającej „pardonu”, umiejętniej i zręcznej, pełnej przejęcia pracy. Myślę, że żaden robotnik, kelner czy sprzedawca w Polsce nie ma pojęcia jak intensywnie, umiejętnie i ciężko pracuje się na Zachodzie — to jest jedna z „odwrotnych stron medalu”, często przez naszych turystów nie dostrzegana.

Tak więc, szczęśliwy na swój sposób Zachód żyje w dosyć materialnym i w transie coraz intensywniejszej działalności produkcyjnej, spokojny, zadowolony z siebie, nie wierzący w stare, marksistowskie bajeczki o kryzysach, nadprodukcjach i mijaniu koniunktury. A jednocześnie 700 milionów Chińczyków boryka się z głodem, brakiem kapitałów inwestycyjnych i zacofaniem technicznym, jednocześnie głodują Indie, nędzują miliony mieszkańców Południowej Ameryki. Według statystyk Organizacji Narodów Zjednoczonych przeszło dwie trzecie ludzkości

(około półtora miliarda mieszkańców globu) permanentnie nie dojada.

Czy wobec oczywistej dziś historycznej tendencji świata do integracji, do stworzenia ogólnoludzkiej gospodarki „naczyń połączonych”, ten stan rzeczy jest normalny i ma szanse trwania w nieskończoność? Nie jest moją rzeczą rozstrzygnięcie na tym miejscu podobnie „kosmicznych” zagadnień, zahaczających w dodatku o moralność, politykę, wojnę i przeróżne inne sprawy, od których kręci się w głowie. Stawiam tu sobie inne zadanie: odpowiedzieć w paru słowach na pytanie, jak w perspektywie zachodnioeuropejskiego dobrobytu i wschodnioazjatyckiej nędzy wygląda dziś gospodarstwo mój kraj — Polska. Chcę to opowiedzieć jak najprościej i jak najobiektywniej, w myśl zaleceń kolegi Wacława Zbyszewskiego, który zarzuca publicystom polskim, że wciąż postulują, pouczają i rozdają świadectwa moralne zamiast po prostu stwierdzać fakty i uczyć się z nich. A więc do rzeczy — „sine ira et studio”.

Wydaje mi się, że w dziedzinie podstawowej eksperyment komunistyczny w Polsce powojennej osiągnął sukces: udało mu się pchnąć Polskę na drogę industrializacji, produkcji przemysłowej, unowocześnienia struktury społecznej, urbanizacji, udało mu się zrealizować inwestycje produkcyjne, które wykazały się już trwałością i żywotnością. Produkcja stali, węgla, półfabrykatów i przetworów chemicznych, okrętów, maszyn, inwestycje energetyczne, uruchomienie gałęzi produkcji nigdy dotąd w Polsce nie znanych, stworzenie z niczego kadry fachowców — to są rzeczy którymi możemy się chwalić i za które chwali nas (niejednokrotnie z entuzjazmem — patrz opinia radia B.B.C. o naszym przemyśle stoczniowym) każdy cudzoziemski ekspert.

Jak na „komunistyczną” Polskę może to i sporo, ale w porównaniu z energią produkcyjną Zachodu to są drobiazgi — powie sceptyk. Inny znowu sceptyk stwierdzi, że bez komunizmu wszystko to dokonałoby się również, bo taki jest przecież naturalny kierunek rozwoju ludzkiej cywilizacji materialnej. Otóż osobiście absolutnie się z tym nie zgadzam. Uważam, że w kraju tak społecznie i gospodarczo zacofanym jak Polska pozbawionym kapitałów i kadr ludzkich, kraju, który w dodatku padł ofiarą tak specjalnych zniszczeń wojennych i tak dotkliwego upływu krwi, kraju położonym w tym a nie innym miejscu Europy, industrializacja nie mogłaby się dokonać bez akumulacji wewnętrznego kapitału inwestycyjnego w rękach państwa. Tę akumulację zrealizowali i wykorzystali komuniści: jest to ich zasługa historyczna, której nawet wytykając wszelkie błędy czy nieprawości nie sposób im zaprzeczyć.

Oczywiście, że komunizm musieliśmy przyjąć „z dobrodziejstwem inwentarza” to znaczy ze wszystkimi tradycyjnymi założeniami i uprzedzeniami doktrynalnymi, które częstokroć nie zdają we współczesnym życiu praktycznego egzaminu. Tak na przykład teoria „równości” społecznej sprawia, że nie sposób

ustawić u nas systemu sensownych a skutecznych i wyraźnych bodźców materialnych, ani usamodzielnic kierowników produkcji: wynika z tego szereg poważnych schorzeń społecznych, jak lekceważenie pracy i mienia państwowego, jak fala drobnych i wielkich nadużyć, mała wydajność pracy, trudności z modernizacją przemysłu itd. Dalej: państwo nie miało nic lepszego do roboty, jak wziąć sobie na głowę olbrzymi, nieruchawy a kosztowny aparat handlu uspołecznionego; rolę jego w krajach zachodnich spełnia świetnie a samoczynnie działająca sieć przedsiębiorstw prywatnych, która we Francji np. rozprowadza również towary produkowane przez państwo. Łączy się z tym inna bolączka: problem działalności usługowej i jej rozbudowywania. Jak wiadomo w ekonomice marksistowskiej działalności usługowej nie wlicza się do sumy dochodu narodowego, na który składa się jedynie wartość wyprodukowanego towaru. Rezultatem tej teoretycznej przesłanki jest fakt, że przybywające wciąż w Polsce ręce do pracy (milion nowych rąk do zatrudnienia w Pięciolatce) lokuje się w produkcji, którą wobec tego trzeba wciąż rozbudowywać, dokonując częstokroć jedynie pod kątem zatrudnienia nowych inwestycji, mogących budzić poważne zastrzeżenia co do swej celowości i opłacalności. Miliony ludzi zatrudnionych w usługach na Zachodzie (handel, gastronomia, rzemiosło) budzą zazdrość — oczywiście łączy się to również z milionową, przynoszącą dewizy turystyką, której u nas nie ma.

Są i inne bolączki, natury bardziej obiektywnej. Stała obawa przed inflacją (która w krajach kolektywistycznych polega na zachwianiu równowagi między masą towarową a siłą nabywczą ludności) nie pozwala podnieść niezwykle nierzadkich pensji w sposób zadawalający, wobec czego w każdej rodzinie pracować musi po parę osób, co znów pociąga za sobą przestroży zatrudnienia (błędne koło).

Specjalną sytuację posiada w Polsce gospodarka rolna. Znajdując się przeważnie w rękach prywatnych (chyba ok. 80% ogólnej powierzchni), powiązana jest wieloma niemi zależnościami z sektorami państwowymi i z tej podwójnej sytuacji czerpie przeróżne profity. Chłop czyli „producent rolny” ma się dziś w Polsce lepiej, niż miał się kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat 200. Z jednej strony jego sposoby zarobkowania są urozmaicone i obfitujące w indywidualne możliwości, z drugiej otworem stoi przed nim cały asortyment państwowej produkcji i państwowych świadczeń. Ciężar „pracy na dorobku”, pracy inwestycyjnej, a więc opłacalnej dopiero w skali wielu lat niosą na sobie miasta. Ten paradoksalny nieco w socjalizmie stan rzeczy (bardzo demagogicznie interpretowany częstokroć na emigracji) ma swoje wady — lepszy jest jednak na pewno od zgubnych skutków pospiesznej, przymusowej kolektywizacji.

Tak więc, malując tu obraz w zasadzie pozytywny, nie poskąpiłem cieni, które zresztą można by jeszcze mnożyć. Nie-

które z tych cieni wynikają z obiektywnego układu naszej sytuacji geopolitycznej i gospodarczej, inne są rezultatem takich czy innych założeń doktrynalnych marksizmu.

W tym miejscu widzę, jak oko redaktora „Kultury”, człowieka, którego głównym hobby jest tzw. „rewizjonizm”, namiętnie zabłysło. — Skoro założenia doktrynalne są złe, trzeba je zmienić! — woła. Otóż tutaj to ja jestem sceptykiem. Nie wierzę w obecne znaczenie zmiany dogmatów marksizmu z tej prostej przyczyny, że nie dzięki tym dogmatom lecz częstokroć pomimo nich komunizm osiągnął swą światową potęgę a Rosja rangę drugiego mocarstwa globu. Nie mówię tu rzecz prosta o ogromnej uczuciowej i propagandowej sugestyjności marksizmu, lecz o jego konkretnej nauce socjalno-historiozoficznej. Marks sądził, że nauka ta wybawi z niewoli proletariat krajów zachodnio kapitalistycznych, tymczasem posłużyła ona do konstrukcji „kapitalizmu państwowego” w nie uprzedstawionych krajach Wschodu. Marks sądził, że klasą przyszłości jest biedujący proletariat fabryczny, tymczasem w miarę automatyzacji proletariat ten maleje ilościowo, rolę przodującą zaś odgrywać zaczyna mieszczańską z upodobaniem warstwa wykwalifikowanej inteligencji technicznej. Marks nie lubił Rosji, tymczasem ona to właśnie stała się szermierzem jego idei. I tak dalej.

Osobiście wcale się tymi „nielogicznościami” historii nie martwię. Wyprawy Krzyżowe zaniósł europejski handel na Wschód, choć ascetycznym pobożnym krzyżowcom częstokroć ani się o tym śniło. Wiele ideologii i teorii, które zatrzęsły światem i pozostawiły na jego obliczu konkretne, trwałe ślady, wydają nam się dziś niedorzeczne. „Człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi” — celem jest człowiek, nie teoria. Zresztą, jak wiadomo, że zmianą dogmatów czeka się zawsze na decyzję Rzymu — zmieniać dogmaty w Warszawie byłoby herezją „ultramontanizmu” (1).

Osobiście sądzę, że mało kto w Polsce, poza grupą „wierzących” przywódców i filozofów partyjnych, przejmuje się na serio teorią marksizmu, od dawna nie konfrontowaną z życiem i niekorygowaną, częstokroć bezradną wobec problemów współczesnego świata. Wszyscy natomiast biorą na serio jej praktyczne, pragmatyczne skutki — dla Polski i świata. Prawdziwą szansę ewolucji systemu rządzenia w krajach Wschodu czyli oficjalnie w krajach marksistowskich widzę nie tyle w zmianach teorii, ile właśnie w jej osłabieniu, w pragmatyzacji spojrzenia na sprawy materialne — pragmatyzacji, którą pociągnąć musi przemysłowotechniczna i organizacyjna rywalizacja z pragmatystycznym dziś jak nigdy Zachodem. Symbolem postawy pragmatystycznej na Wschodzie jest dla mnie premier Chruszczow. Ten człowiek na szczęście nie jest filozofem i nie napisał

(1) Czyżby? A może raczej modernizm? Operując pojęciami bardziej zrozumiałymi w „sytuacji geopolitycznej Polski” ultramontanizm to „antypartia”, a modernizm to rewizjonizm. (Redakcja).

ani jednej książki. Po prostu ma oczy i chce z nich robić właściwy użytek. Empiryk — jakież to pocieszające!

Na zakończenie niniejszego testamentu parę jeszcze uwag o sugestiach politycznych, wsączanych nam w Polsce z Zachodu (m.in. i przez Emigrację) — łączą się one z problemami ideologicznymi, m.in. z tak zalecanym przez redaktora „Kultury” „rewizjonizmem”. Rzecz w tym, że każdy, kto z zewnątrz i bezinteresownie chce nam zafundować zachodnią wolność i swobodne konflikty polityczne typu zachodniego, zrozumieć musi jedno: w naszym systemie czy ustroju sprawy polityczne są zarazem sprawami gospodarczymi. Francuz pracuje pilnie jak mrówka, bez względu na to, czy jest gaullistą, czy komunistą, Niemiec bez względu na to czy jest za C.D.Ū. czy za S.P.D. — pilna praca jest bowiem na Zachodzie rzeczą naturalną, jak oddychanie, rzeczą poza wszelką dyskusją polityczną. U nas natomiast nawoływanie z zewnątrz do kwestionowania „systemu” wyzbyte jest wszelkiego realnego skutku poza jednym: skoro system, ustalający zakres i treść pracy każdego obywatela (a to planistyczne ustalanie stanowi właśnie istotę ustroju komunistycznego) jest zły, w takim razie wszelka praca nie ma sensu. No i niektórym Polakom w to graj!

Mała wartość produkcji, czyli wysokie jej koszty wywołane niską wydajnością pracy, to jedna z walnych przyczyn naszej „niewydolności” gospodarczej. Widziałem jak się pracuje na Zachodzie, widziałem jak się pracuje w dzisiejszej Rosji — do lamusa odłożono tam mit o „słowiańskim lenistwie”. Byłem też w Czechosłowacji i w Rumunii. Po wszystkich tych podróżach nabrałem obawy, że największą tendencją do bimbania i lekceważenia pracy ma niestety moja kochana Ojczyzna. Ludzie u nas lubią to zresztą tłumaczyć subtelnie a nieraz boleśnie względami właśnie „politycznymi”: wiadomo — winien rząd, system i brak wolności. A ja pytam: jaka to polityka, jaki rząd czy system, jaka opozycja nakazują wyrzec się narodowej ambicji i źle pracować? Eksperyment komunistyczny ma szansę powodzenia gospodarczego tylko przy pełnym solidaryzmie społecznym — to jest system solidarystyczny (znów zresztą paradoks, bo gdzież dialektyczny „konflikt przeciwieństw”?). Czy przypadkiem, łamiąc ten solidaryzm w oczekiwaniu na importowane zbawcze recepty różnych „rewizjonizmów”, nie narazimy się znów jako niedołądzy i lenie na pośmiewisko świata współczesnego, który ani na Zachodzie ani na Wschodzie Europy (Europa dla mnie rozciąga się do Uralu, nie do Łaby), nie ma dziś pobłażania dla maruderów i markierantów zarówno „politycznych” jak i „niepolitycznych”?

— A więc nie wierzy pan w żadne „zmiany systemu”, zaleca pan modlić się i pracować — powie ktoś. — Przeciwnie — odpowiadam — wierzę w zmiany i w ewolucję, podyktowaną choćby, jak mówiłem, koniecznościami pragmatycznymi. Nic na świecie nie jest niezmiennie, przychodzą nowe, lepiej rozu-

miejące współczesność pokolenia, duże nadzieje wiąże również z pokoleniową „zmianą warty” w P.Z.P.R. Ale to już są sprawy bardzo wewnętrzznokrajowe, o których nie będę przecież pisał w „Kulturze” — piśmie emigracyjnym.

Wiem, że zaboli kogoś może lub podrażni takie rozgraniczenie na sprawy „wasze” i „nasze”, na krajowe i emigracyjne. Kiedyś śp. Andrzej Bobkowski, mój ulubiony pisarz emigracyjny, sztydził z tezy, że Polak mieszkający za granicą traci prawo do posiadania ojczyzny. Otóż postawiłbym sprawę inaczej: nikt nie traci prawa do posiadania ojczyzny, wielu natomiast traci zdolność do jej rozumienia. Bowiem ojczyzna nie jest przenośnym abstraktem lecz umiejscowionym konkretem co zwłaszcza dziś, w epoce podziału Europy na dwa tak zasadniczo odmienne materialnie, organizacyjnie i moralnie światy, staje się rzeczą niezwykle ważną i znaczącą. Kto nie zna wcale Polski dzisiejszej, nazwijmy ją „komunistyczną”, ten nie zna ojczyzny, lecz tylko jej wizję, wizję z przeszłości. Czy to aby nie za mało, zwłaszcza jeśli chce się na życie w ojczyźnie oddziaływać?

Weźmy przykład Emigracji rosyjskiej. Zrobiła ona w świecie wiele dla Rosji — historycznej; spopularyzowała kulturę, tradycję, sztukę carskiej Rosji na całej niemal kuli ziemskiej. Ale o Rosji dzisiejszej, Rosji liczącej się politycznie emigracja ta nie wiele ma światu do powiedzenia — tu więcej się liczy pierwszy lepszy zagraniczny ekspert czy nawet co bystrzejszy turysta. Smutne ale prawdziwe.

I dlatego kończę ten mój dzisiejszy testament syrenim wezwaniem. Koledzy i Przyjaciele z Emigracji, zwłaszcza ci, którzy chcecie nas uczyć o dzisiejszej Polsce! Nie zostawiajcie nas samych, przyjeżdżajcie z wizytami, patrzcie, słuchajcie informujcie nas, informujcie siebie, gadajcie — to się przyda i Wam i nam i Polsce. Polsce, współczesnej, która niestety jest tylko jedna — ta co na mapie. Za to tradycja, kultura, sztuka, praca polska — ta oczywiście może być wszędzie. Ale Polska to chyba nie tylko „serce”, jak to ładnie mówią w „Weselu”. Prócz serca posiadamy jeszcze dosyć sporo innych zgoła konkretnych części ciała, a te mają przecież swoje fizjologiczne prawa. No nie?

Tym jak z ulotek propagandowych „Orbisu” zaczerpniętym sloganem kończę mój „kulturowy” testament. Żegnajcie bracia, ja ujeżdżaju!

Stefan KISIELEWSKI

Paryż, 4.5.62 r.

Humor krajowy

W dowcipie politycznym 17 lat PRL ma osobliwą szeptaną historię, która niewątpliwie doczeka się kiedyś naukowej systematyzacji. Będzie chyba można przy tej okazji napisać parę dysertacji np. na temat: „Szybkość rozprzestrzeniania się dowcipu nieoficjalnego” lub „Dowcip a środowisko”, czy np. „Etapy polityczne i humorystyczne”. Uczony niemiecki zrobił karierę na dwutomowym dziele o inskrypcjach klozetowych. Dowcip nie wybiera miejsca — o czym można przekonać się zajrzawszy do ubikacji w P.K.P. Niestety, względ na czytelników pozwala nam zacytować tylko najniewinniejsze, skazując na szeptanie w dalszym ciągu bardziej stosownych dla owego miejsca erupcji rubasznego humoru.

Na Śląsku, za czasów kadencji prez. Trumana, można było w zacisznej świątyni dumania odczytać wierszyk:

*Panie Truman spuść ta bania
Bo tu nie do wytrzymania.*

Po moskiewskiej śmierci Bieruta folklor ludowy w tym samym miejscu, lecz mniej desperacko odnotował:

*Pojechał w futerku,
Powrócił w kufierku*

Zmiana władz naczelnych PZPR już w czasie zawiedzionych nadziei — została pokwitowana, jak każe marksizm „na bazie ekonomicznej”:

*Za Bieruta
Nowa Huta
Za Gomułki
Puste półki.*

Humor nie wybiera miejsca, środowisk, nie gardzi najbardziej makabryczną sytuacją. Po zastrzeleniu spikera „fali 49”, aktora i prowokatora Martyki — gdy zwłoki jego wystawiono w foyer Teatru Narodowego w Warszawie — z miejsca pojawiło się stwierdzenie: „W bieżącym sezonie Teatr Narodowy w Warszawie najlepiej wystawił zwłoki Martyki”. Kawaly opowiada się wszędzie: w tramwaju, teatrze, uniwersytecie, kawiarni, a nawet w K.C. Choć nie zawsze mają tam poczucie humoru. Wie o tym Dejmek. Sparodiowanie żony premiera, Niny Andrycz, w „Święcie Winkelrieda” przez jedną

z aktorek, uniemożliwiło zaprezentowanie znakomitego przedstawienia w paryskim Teatrze Narodów.

Zanim humor nasz trafi na fiszki specjalistów i układaczy antologii — dajemy tu mały wybór z różnych okresów, przekonani, że większość dowcipów jest czytelnikom — przynajmniej krajowym — znana, ale co warto jest usłyszenia raz, nadaje się zawsze do powtórzenia, a na pewno do zapisania.

TREFNISIE

- 1) Człowiek epoki socjalizmu: homo ledwie sapiens.
- 2) Czy można drogą pokojową przekształcić państwo kapitalistyczne w socjalistyczne? — Można, ale po co?
- 3) Czy można zbudować socjalizm w jednym państwie? Można — ale mieszkać trzeba w drugim.
- 4) Cyrankiewicz jest jedynym członkiem rządu i K.C., który może jeździć do Moskwy bez obawy, że mu włos spadnie z głowy (1).
- 5) W Warszawie na Żeraniu w „F.S.O.” istnieje dział produkcji silników odrzutowych. Co wyprodukują to... odrzucają.
- 6) Podobno ostatnio Gomułka uwierzył w inteligencję... Kliszki.
- 7) Od czasu tragicznego skoku Hollanda z VI piętra, dziennikarzom warszawskim przydziela się wyłącznie mieszkania na parterze.
- 8) Na jednym ze zjazdów literatów w Warszawie przewodniczący delegacji pisarzy radzieckich, Konstantin Simonow, zapytał poufale Antoniego Słonimskiego: „Gdzie tu się można wysiusiać?” — „Wy, wszędzie” — brzmiała uprzejma odpowiedź.
- 9) W związku z propagandą margaryny propozycja hasła:

*Tylko mleczna margaryna
zrobi z ciebie Gagarina.*

- 10) Fraszka anonimowa:

*Socjalizm w naszym kraju
ma zasługi liczne,
to on domy prywatne
zamienił w publiczne.*

- (1) Cyrankiewicz jest zupełnie łysy.

11) *Szkolenie w szkole oficerskiej*

Sierżant w czasie wykładu: ...temperatura wrzenia wynosi 90°. Jeden ze słuchaczy: melduję posłusznie, że woda wrze przy 100°. Sierżant: zaraz sprawdzimy. Macie rację — 90°, to zaledwie kąć prosty.

12) Ogłoszenie prasowe: komfortowe mieszkanie z widokiem na Pałac Kultury zamienię na byle jakie.

O warszawskim Pałacu

- 13) Pałac Kultury: małeńki ale gustowny.
14) Pałac Kultury: straszny sen pijanego cukiernika.
15) Pałac Kultury: kara Boża za zburzenie soboru.

16) *Definicja szampana*

Szampań jest to ubiony napój klasy robotniczej, który pije ona ustami swoich najlepszych przedstawicieli.

17) *Najwyższa kara partyjna: ekshumacja.*

18) Profesor Iwanow w Moskwie otrzymał bardzo trudne zadanie: Międzynarodowy Kongres Egiptologów przysłał mu mumię tajemniczego władcy starożytnego Egiptu z prośbą o ustalenie imienia i epoki. Po krótkim czasie do siedziby Kongresu wraca mumia, dość pokiereszowana, z kartką na piersiach: Ramzes XV. Zdumieni uczeni zapytują natychmiast telefonicznie radzieckiego kolegę jak do tego doszedł. „Sam się przyznał” — rzeczowo i szczerze odpowiedział profesor.

19) *Synek i tatuś.*

Tatusiu, czy to prawda, że Dzierżyński bardzo lubił dzieci? — Prawda synku — tylko rodziców nienawdził.

20) Nauczycielka pyta w szkole: „Kowalski — za co mamy kochać Związek Radziecki?” — Odpowiedź: „No, właśnie?”.

21) Kumoterstwo jest to ostatni ludzki odruch na drodze do socjalizmu.

22) Strip-tease radziecki: Towarzyski — wszyscy rozbiegają się i pilnują swoich ubrań. Estradowy — przodownica wjeżdża na scenę na traktorze i rozbiera traktor.

23) Koledzy żegnają przyjaciela, który wyjeżdża na roczne stypendium do ZSRR. Umówili się, że szyfrem pozwalającym właściwie, tj. wspan, odczytać „optymistyczne wiadomości”

będzie czerwony atrament. Po miesiącu nadchodzi z Moskwy entuzjastyczny list: „Czuję się cudownie, chodzę rozmarzony i zachwycony po ulicach, chciałbym tu pozostać na zawsze, wszystkiego w bród, nie ma tylko czerwonego atramentu”.

24) W Warszawie ktoś dopisał na plakacie „Miesiąc przyjaźni polsko-radzieckiej”: Zgoda, ale ani dnia dłużej.

25) W gabinecie ministra Kultury i Sztuki można bez obaw otwierać okna. Nie orzeł, nie wyleci.

26) Ponoć Titow po powrocie na ziemię musiał się gęsto tłumaczyć, dlaczego przelatując nad USA komunikował drogą radiową, że czuje się dobrze.

27) *Opowieść moskiewska*

Piękna pani wchodzi do „Juwelitorgu” — kupuje najpiękniejszą kolbę i brylanty. Z „Uniwersmagu” zabiera najdroższe popielice, z wędliniarni autentyczną polską szynkę. Wszystko znika we wnętrzu eleganckiego „Moskwicza”. Samochód pięknej pani zatrzymuje się przed podmiejską willą. W ślad za nim samochód agentów NKWD, którzy dyskretnie towarzyszyli zakupom. Szczęśliwa nabywczyni nawet ich nie zauważyła. Podchodzi do telefonu i mówi: hallo — to ty Kicia? Jeden z agentów wydiera jej słuchawkę i pyta: „Grażdanin Kicia?” — „Dla jednych Kicia, dla drugich Nikita” — odpowiada spokojny głos z tamtej strony drutu.

28) Kennedy, Chruszczow i de Gaulle rozmawiają o zegarkach, potem oglądają własne — wszystkie są podarunkami. Na kopercie zegarka napisano Kennedy'emu: Najprzystojniejszemu prezydentowi USA — Amerykanki; Charles de Gaulle miał wyryte podziękowanie za uwolnienie Paryża, a Chruszczow odczytał na swoim zegarku: Drogiej córce Anastazji — car Mikołaj.

29) Popularne wśród literatów określenie Janiny Broniewskiej i jej przyjaciółek ideologicznych: wdowy po Berii.

30) Jakiej narodowości byli pierwsi rodzice?
— Skoro chodzili biedni, nadzy i wrzeszczeli, że są w raju — to na pewno byli Rosjanami.

31) Z popularnych bajeczek kalamburowych najprzyzwoitsza: Bajka o wątróbce: won trupka z mauzoleum.

32) Nowa nazwa kolchozu — chłopowiążka.

33) Domyślni spodziewają się, że w naszej plastycie w najbliższym czasie zapanują następujące kierunki: formalizm, ubizm i neorepresjonizm.

34) Nina Andrycz po śmierci stuka do nieba. Niestety, groźny św. Piotr dowiedziawszy się, że jest aktorką nie chce jej wpuścić. Głośny spór spowodował interwencję Pana Boga. — Wpuść ją Piotrze. — Ależ Panie Boże, to aktorka... — Ej, jaka tam aktorka — łagodnie perswaduje Pan Bóg.

35) *Ziemia widziana z nieba*

Pan Bóg pyta św. Piotra: — Co robią Amerykanie? — Boją się i zbroją się. — A co Rosjanie? — Boją się i zbroją się. — A Polacy? — Ani się nie zbroją, ani się nie boją. — A psia kość, znowu na mnie liczą — mówi Pan Bóg.

36) W P.G.R. odbywa się odczyt o Marksie. Chłopi słuchają instruktora oświatowego. Po odczycie dyskusja. Pierwsze pytanie: — A czy jest życie na tym Marksie?

37) Ulubiona potrawa Lumumby: misjonarz po żydowsku.

38) Z powodu warszawskiej premiery sztuki „Pożądanie w cieniu więzów”, w której znów główną rolę zagrała Nina Andrycz, że było to raczej „Powiązanie w cieniu rządów”.

39) *Dowcip rubaszny*

W dniu święta kobiet 8 marca, dyrektor wielkich zakładów państwowych otrzymuje telefoniczne gratulacje. „Ale przecież ja nie jestem kobietą!” — reaguje zdumiony dygnitarz. „Ale jest pan kurwą” — odpowiada głos w telefonie.

40) Żyd warszawski wyjeżdża wraz z rodziną do Izraela. Z ogromną ostrożnością pakuje do walizy portret Aleksandra Zawadzkiego. Zdumiona żona pyta po co to robi, wątpiąc o stanie umysłowym męża. „Eh — głupia jesteś Ryfka — wiesz przecież, że jestem sentymentalny, że będę tęsknił, że nostalgia może mnie zabić. Kiedy już nie będę sobie mógł dać rady, wyjmę ten portrecik, spojrzę i powiem sobie: — tfu! chwala Bogu, że wyjechałem”.

41) Ze statku polskiego w angielskim porcie wydobywają ukrytego wśród skrzyń zbiega. Obskakuje go tłum reporterów: — Jakże ceny w Polsce? — Nie można narzekać. — Jaka stopa życiowa? — Nie można narzekać. — Jak zaopatrzenie sklepów? Nie można narzekać. — To po co właściwie pan tu przyjechał? — Bo tu można narzekać.

42) *Warszawa w roku 2000-ym.*

Na progę Mao Tse-tunga i Stalina spotykają się przyjaciele. Oczywiście w jednakowych granatowych strojach roboczych. Wzdychają: „Eh, ponoć za tego ruska to nie było tak źle”.

43) Jeden z ekspertów ekonomicznych w odpowiedzi na ankietę K.C. „Jak zaradzić trudnościom ekonomicznym bieżącego okresu?” — odpowiedział: „Wypowiedzieć wojnę USA i natychmiast poddać się”.

44) W szkole. Nauczycielka pyta: „Jasiu — powiedz co nam dał Związek Radziecki?”. Sąsiad podpowiada głośnym szeptem: „g...” Nauczycielka, strofując: „Nie podpowiadajcie, Jaś sam do tego dojdzie”.

45) Nagrody: Nobla dla Borysa Pasternaka i Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej dla Leona Pasternaka — zbiegły się w czasie, czego efektem była następująca frazaska:

*Leon dostał z MON-u
Borys dostał Nobla
Jak mówi przysłowie
Wedle stawu grobla.*

46) Kelnerka w Gospodzie Jedności Robotniczej na żądanie z lekka podchmielonego klienta podaje spis potraw. Niestety wszystkie pozycje są już skreślone. Pozostaje jedynie ostatnia: „Moskaliki — 5 zł.” — Psiakrew, wszystko zjedli i jeszcze się podpisali — mruczy klient.

47) Z kabiny pilota „Lotu” wychodzi kapitan. Przedstawia się: kapitan Wiśniewski — lecimy na wysokości 1000 m. Widoczność słaba. Warunki lotu niezbyt pomyślne. Miło mi państwu dodać, że samolot którym lecicie był przeznaczony na złom, ale w ramach czynu pierwszomajowego został wyremontowany przez brygadę Z.M.S. Życzę państwu miłej podróży.

48) W ogniu dyskusji o cudach, w szkole oficerskiej, prelegent Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli rzuca ostatni argument: ciągle mówi się u nas o „Cudzie nad Wisłą”, żadnego cudu nie było towarzysze — samiśmy bolszewików sprali.

49) Co to jest ZSRR? — Państwo buforowe między Polską a Chinami.

Tadeusz Piotr Potworowski

Dzień po oddaniu mego artykułu w Redakcji „Kultury” nadeszła wiadomość o śmierci Tadeusza Piotra Potworowskiego. Słyszeliśmy o jego chorobie, łudziliśmy się długo, że nie jest aż tak groźna. W naszej rodzinie kapistów to pierwsza śmierć po Waliszewskim — opuścił nas artysta, który w swej pasji twórczej, pasji życia, zdawał mi się zawsze najmłodszy; umarł jednocześnie prawie z zamknięciem jego wystawy paryskiej, która była krokiem ku światowej karierze malarskiej.

Nie zmieniam nic z już napisanego artykułu — rachunku naszej wspólnej przeszłości, naszych niedopowiedzianych polemik — jest ona wyrazem przyjaźni i podziwu dla jego malarstwa.

Wystawa Potworowskiego na Place Vendôme daje mi możliwość na nowo przemyśleć i na nowo ocenić artystę, o którym nie potrafiłbym pisać nie osobiście. Łączy mnie z nim parę lat wspólnej drogi, nie jedna beczka razem zjedzonej soli. Ten zadzierżysty ułan i potem oficer 1-go pułku ułanów krechowieckich z 1919-1920, wstąpił do Akademii Krakowskiej chyba rok po mnie, w 1922 roku. Razem braliśmy udział w tworzeniu grupy kapistów, pamiętam, że jego pismem był spisany nasz statut, do którego nigdy potem nie zajrzeliśmy. Razem przeżyliśmy pierwsze lata Paryża. Jego zadziwiająca chłonność i wśród nas chyba tylko u niego tak zaakcentowany kult *nowości*, „ostatniego krzyku”, czy jak teraz się mówi „nowej fali”, nieraz mnie drażniły. Podejrzewałem go o organiczną wtórność, o snobizm artystyczny, widziałem w nim talent powierzchowny, wyłącznie dekoracyjny. Byłem niesprawiedliwy, to mój osąd był powierzchowny, nie doceniałem jego pasji malarskiej, jego — chciałbym prawie powiedzieć — „religii” malarskiej i jego talentu.

Po 1930 Potworowski osiadł w Poznańskim. Jego malarstwo sprzed 1939, które zachowałem w pamięci z naszych zbiorowych wystaw w Polsce, było bardzo typowe dla tego postimpresjonizmu, którym kapiści zarazili wówczas Polskę. Dopiero o wiele później dojrzałem i przeżyłem „jedność” malarstwa Potworowskiego. Stary Pankiewicz mawiał, że nie warto malować, jeżeli się nie ma przynajmniej 50 lat czasu na naukę. Może się mylę, ale zdaje mi się, że dopiero w okresie powojennym Potworowski dał całą swoją miarę.

Wojna rzuciła nas w przeciwne światy: mnie do Rosji, potem do Włoch, jego poprzez Litwę Kowieńską do Szwecji. Ze Szwecji dotarł do Szkocji i nigdzie nie przestawał malować. Chyba jego jednego z naszej grupy ta wojna nie wytrąciła z raz wytkniętej drogi, drogi malarza, wyłącznie malarza. (Gdy spytano Cézanne'a co robił podczas wojny w 70-ym roku, odpowiedział „malowałem pejzaż w Estaque”).

Bonnard umarł w 1947. Kochaliśmy go wszyscy. Napisałem wówczas, w pierwszym numerze „Kultury”, już z Paryża, artykuł-wspomnienie. Artykuł ten, który zresztą wszedł do mojego „Oka”, był hołdem dla starego mistrza; pisany zaraz po wojnie był też trochę wyznaniem, czułem świat Bonnarda tak blisko całej mojej epoki przedwojennej, gdzie żyłem zanurzony w malarstwie i prawie że tylko w malarstwie, że cały artykuł nazwałem „Raj utracony”, bo sam wówczas nie bardzo wiedziałem jak w świat malarski powrócić i czy powrócić potrafię.

Nieoczekiwanie dla mnie Potworowski poczuł się tym artykułem do żywego dotknięty. W ciętym opowiadaniu fantastycznym Potworowski wystawił jakiegoś neo-Towiańskiego: „wysoki i chudy” wołał, że malarzom nie wolno w imię ubiegłych cierpień patrzeć na naturę i cieszyć się nią, bo to „raj utracony”, do którego nie wolno wracać.

Zadziwiła mnie gwałtowność tej reakcji. Dziś dopiero jest mi ona jasna. Ten malarz, którego światem było malarstwo radości życia, wyczuł mój artykuł, który był najprościej wyznaniem własnych przeżyć, jako manifest antymalarski.

Dopiero kilka lat później trafiłem w Londynie, chyba że w *Redfern Gallery*, o ile pamiętam, na obrazy Tadeusza Potworowskiego, któregośmy wszyscy, nie wiem dlaczego, nazywali Pierre'em. Byłem olśniony. Skok, jaki ten artysta zrobił od malarstwa przedwojennego, był decydujący. Obrazy Potworowskiego miały delikatną, jakby z niczym co dawniej widziałem nieporównaną, bo bardzo osobistą, wrażliwość barwną. Jeszcze dziś mam w oczach dwa pejzaże, odczuwam ich osobliwą muzykę: ogród we mgle z zieleni i delikatnych fioletołów (kiedy dziś trafiam do Anglii i patrzę na wieś angielską, przy-

chodzi mi na myśl tamto płótno) i pejzaż morski o ciężkich ultramarzynach w smugach czerni; oba pejzaże były już bliskie abstrakcji. Opowiadano mi, że Potworowski bardzo żywo przeżywał wówczas angielskich abstrakcjonistów; wiązało się to z dawnymi wpływami Bonnard, Bonnard zaś poprzez mgły angielskie z Turnerem; Potworowski nadawał tym spotkaniom własny czar.

Dochodziły do mnie wieści, że jest profesorem awangardowej Akademii w Bath, w Anglii, że jest ceniony, nabywany przez galerie i kolekcjonerów angielskich, że jest członkiem znanej malarskiej „London Group”. Dowiedziałem się później o jego powrocie do Polski, o tamtejszych sukcesach malarza i dekoratora teatralnego, mianowaniu go profesorem w Poznaniu i Gdańsku i o tym, że został laureatem na Biennale weneckiej.

Rok temu, na wystawie polskich malarzy w *Musée de l'Art Moderne*, duży obraz Potworowskiego — biały akt kobiety na pasiastej kołdrze — był wśród tych obrazów z Polski chyba najefektowniejszy, najbardziej „nowoczesny”. Spotkał się po latach, miałem tu wówczas własną wystawę, tylko co wyszło moje „Oko”. Po obejrzeniu mojej wystawy i przeczytaniu książki, w dyskusji a potem listownie zarzucił mi po przyjacielsku, że tkwię zbyt w zmnurzanej przeszłości, w jakiejś wierności duchom „młodości heroicznie-krakowsko-paryskiej” kapistów, opartej na „okropnym nieporozumieniu”, niezrozumieniu wartości zjawisk malarskich współczesnych. Tym niezrozumieniem dla Potworowskiego była ewolucja „odprzedmiotowania się” w sztuce.

Herbert Read pisze o malarstwie abstrakcyjnym, że ogarnęło świat błyskawicznie, jak „pożar lasu”. Potworowski dał się temu pożarowi ogarnąć z entuzjazmem, żył w tym żywiole. Dodawał przy tym, że interesuje go dziś dotarcie do sławy światowej, jedynej, która znaczy. Nie było w tym żadnej fałszywej nuty — Potworowski naprawdę tylko we wszechświatowych przeciągach czuł się w domu — był żywym przykładem rosnącej dziś międzynarodówki artystycznej.

Dużo myślałem o naszej ówczesnej wymianie zdań, i dziś dopiero, odczytując dawny list, po obcowaniu z jego pięknymi obrazami w *Galerie Lacloche*, chciałem na ten list mu odpowiedzieć. Muszę przyznać, że coraz trudniej wierzyć mi w takie czy inne „nowoczesne” dogmaty malarskie. Dogmat ewolucji „odprzedmiotowania” zdaje mi się równie względny jak walka o sztukę wyłącznie przedmiotową. Jakże szybko jeden dogmat zastępuje drugi, właśnie przeciwny. I właśnie dzisiaj, obserwując ostatnie dwadzieścia lat, ile przykładów — od Bissière'a po Ekierta, od de Staëla po Dufour'a i tylu innych — tych nagłych przeskoków od figuratywnego malarstwa do czysto abstrakcyjnego lub na odwrót.

Jeżeli twierdzenia „dogmatyczne”, „absolutne” Potwo-

rowskiego zdawały mi się nieraz naiwne, jego malarstwo świadczyło o wizji świata i głębokiej malarskości, bynajmniej nie naiwnej, autentycznej i wbrew wprost picassowskiej mimikrze, bardzo osobistej. Zresztą, patrząc na obrazy Potworowskiego widzimy, że jego własne wypowiedzi poetyckie na płótnach wcale nie są tak ostatecznie „odprzedmiotowane”, bo i przedmiot i temat bywa tam rzadko całkowicie wykreślony. Są one jedynie doprowadzone do skrajnej, aluzyjnej transpozycji.

Wystawa w *Galerie Lacloche*, galerii dziś o wielkim nazwisku i wielkiej międzynarodowej klienteli, to noga w strzemienniu dla tej sławy światowej, której Potworowski zawsze pragnął. Wszystkie cechy Potworowskiego tu grają: wystawa jest świetna i nie wiem czy nie najsilniejsza w swoim wyrazie z nowoczesnych wystaw, które tej zimy udało mi się zobaczyć; rzadkie poczucie płamy barwnej, wykorzystania wypadku zestawienia przeróżnych materii barwnych, od naklejanych i zdarzonych papierków do wklejanych kawałków workowego płótna, bogactwo inwencji barwnej, zgrzytów, które dają widzowi nowe przeżycia i nowe smaki estetyczne. Już raz wspomniałem mimikrę picassowską. Bazler pisał zjadliwie o jednej z wystaw Picassa, wystawie jego rysunków, że to malarstwo „na przestrzeni wieków”. Złośliwość Bazlera: aluzja do tego, że nie ma epoki i nie ma stylu, z którego by Picasso nie czerpał, nie zmienia faktu, że Picasso jest nie tylko wielkim malarzem, ale że jego „Ingresy”, „Velasquezy”, jego „Matisy”; jego rzeźby „murzyńskie” są zawsze Picassami. Na wystawie Potworowskiego widzimy również jak umie wykorzystywać, jak daje się zapłodnić poprzez ileż prądów i ilu malarzy ostatnio angielskich, francuskich i włoskich. Bo tu jest i Bacon i Burri i Bonnard i iluż innych, wszystko jednak, jak u Picassa, jest przetrawione i ma osobisty akcent Potworowskiego. Może najbardziej jednak Braque zdaje mi się tu *genealogicznie* związany z całokształtem twórczości Potworowskiego. Parę jego płócien w formie bardzo podłużnego jajka, to Braque z tamtej epoki, ale nasycony bez porównania mniej ascetyczną, soczystszą gamą barwną. Pejzaż wiejski, to Burri przeżyty przez Polaka chyba w Polsce (płótno z worka wklejone w środku obrazu jak dodatkowy kwadrat, zalane ciężkim brązem i szarą zielenią, geometryczna forma komina z długim, padającym od tego komina cieniem, błysk malutkiej plamki białej na ciężkim szarozielonym niebie — ta plamka świeci; jakimi świadomie prostymi środkami wydobyta jest ewokacja najbardziej malarska i jednocześnie przedmiotowa ubogiego wiejskiego pejzażu!). Wielkie, długie płótno zalane bielą i zielenią z naklejonymi i czarną kreską przekreślonymi deskami z surowego drzewa — to „Wisła”. Dlaczego, pomimo już całkowitego tutaj „odprzedmiotowania” (używam umyślnie tego słowa — choć brzmi ono źle bardzo, ale dobrze określa) dał mi ten obraz ewokację Wisły, jak żaden inny? Małe płócienco nazwane „Wodospadem nad

Niedzica", zygzaki niebieskie na białych smugach i plamach, to również jakże żywa ewokacja. Piękne są jeszcze dwa duże obrazy o geometrycznych formach wyłącznie zielonych. Nazwał je „Liśćmi". Patrząc na nie, przeżywamy świat liści w pełnym lecie.

Jeżeli nawet te tytuły zostały wymyślane *post factum* (i to możliwe), zostały wymyślane świetnie, czego bym nie powiedział o paru innych nazwach, jak „Zagłada Getta" czy „Obóz koncentracyjny". Obrazy tak nazwane zdały mi się nie mieć nic, ale to nic, wspólnego z tytułem, może właśnie dlatego, że całe słownictwo malarskie, że cała paleta Potworowskiego, nie nadaje się do takich ewokacji, jest paletą radości oczu i miłości życia. Jest parę malutkich płócien, już bez żadnego związku z jakimkolwiek tematem czy przedmiotem, o tak dźwięcznej grze, że patrzymy na nie jak na nowoczesną biżuterię. Gdybym był jubilerem — jest ich tak wielu w okolicach *Galerie Lacroche*, na Place Vendôme — zamówiłbym u Potworowskiego projekty na diademy i riwiery.

Gwoździem wystawy jest ogromne płótno, już całkiem przedmiotowe i bardzo bonnardowskie — to „portret" wielkiej zmiętej koldry o pomarańczowych, liliowych i różowych pasach.

Cztery akty kobiece stanowią w tej orgii kolorów obrazy może najbardziej zastanawiające. Kobiety wyglądają jak białe myszy, zaledwie zaróżowione czy zazielenione z szarymi odcieniami, znów na kolorowych pasiakach. Formy na tych obrazach są nie tylko uproszczone, ale prawie że zagubione na tle coraz to innych, pozornie wypadkowych i jakże w rzeczywistości wyszukanych plam, kleksów i pasów. Patrząc na te obrazy przypominamy sobie Bacona, ale cóż za przepaść dzieli świat właśnie tamtego malarza angielskiego i świat Potworowskiego, przy pozornych powierzchownych podobieństwach.

Kapiści a Potworowski

To zestawienie stało się dla mnie rewelacyjne, bo tu zdaje mi się uchwycić na czym polega głęboka dotychczasowa, prędeż wyczuwana niż sformułowana, rozbieżność między nami. Bacon jest tragiczny, obsesyjny, ponury, jego kolor jest zgrzytliwy, zdaje się nieraz na umyślnie antymalarski — jeżeli malarskim nazwiemy pewien język koloru, który na świecie całym stworzył i narzucił postimpresjonizm — spadkobierca Wenecjan, Delacroix i impresjonizmu. Potworowski nie ma w sobie śladu tej wizji ponurej, bo u niego to czysty hedonizm, to radość barwy, nigdy grymas. Może właśnie Potworowski doprowadził do najdalszych konsekwencji założenie kapistów sprzed lat czterdziestu, od których się dziś, jak od zmurszałej przeszłości, odzegnuje. Ta wyłączna malarskość (*peinture-peinture*), które była naszym dogmatem, ależ ona gra u Potworowskiego w pełni. Ta

czysta malarskość, która była naszą reakcją w Polsce, i w swoim czasie jakże konieczną reakcją na każdą sztukę *engagée*, odgrodzona od wszelkich obsesji, marzeń, grozy czy nędzy świata otaczającego, od wszelkich idei metafizycznych, patriotycznych czy rewolucyjnych, od Matejki aż po Linkego — to był kapizm. Biedny Żeromski w „Snobizmie i postępie" o tym właśnie marzył, że sztuka Polski Niepodległej będzie nareszcie uwolniona od ciężarów idei, które jego dzieło i karmiły i miażdżyły, że będzie to sztuka nareszcie radosna i wolna!

To wartościowanie *jedynie* malarskie, to była może jedyna istotna więź naszej grupy; nawet Waliszewski prawie że wstąpił się swej pasji do bogatej, różnorodnej tematyki, swej już nie tylko malarskiej, ale poetyckiej i literackiej fantastyki. Jeżeli pod tym kątem patrzeć na kapistów, to Jan Cybis i Hanna Rudzka-Cybisowa są malarzami, którzy nadali ton temu, co się dziś nazywa kapizmem.

Abstrakcjonizm Potworowskiego, to „odprzedmiotowanie", ależ istniało ono zawsze na przykład u Cybisa; było mu zupełnie obojętne czy maluje kapustę czy głowę kobiety, zdawał mi się on wśród nas malarzem najbliższym abstrakcyjnej wrażliwości na kolor, tego abstrakcjonizmu najzupełniej dalekiego od Strzebińskich i Mondrianów, który jak u Potworowskiego wiązał się z czujną obserwacją tkanki barwnej otaczającego świata i który przez to jest o wiele bliższy późnego Moneta i dzisiejszego taszczmu. U Potworowskiego został on posunięty dalej może poprzez Leger'a, u którego przez pewien czas pracował, poprzez angielskich abstrakcjonistów, z którymi współżył, i ten abstrakcjonizm stał się u Potworowskiego bardziej pryncypialny i cerebralny. Co się zaś tyczy samego Cybisa, to linie ku abstrakcji taszczowskiej poprowadził dalej do ostatecznych wniosków, jego uczeń Dominik.

Takie „czyste malarstwo" nie mogło się nie odbić na stosunku malarza do świata. To ono stwarzało pewne wyobcowanie, jakby nie przyjmowanie niczego, co zaziębiało się nie o radość malarstwa, ale o grozę czy o ból istnienia, stwarzało pewną głuchotę na wszystko co nie było sztuką. Sztuka dla sztuki?

Wiele lat temu, gdy toczyliśmy srogie boje z bractwem Św. Łukasza, grupą uczniów Pruszkowskiego, zamierzałem napisać artykuł „Gdybym był Łukaszem". Skończyło się na brulionach czy nawet imaginacyjnych projektach. Zamierzałem w nim zaatakować nas samych; cel miałem podwójny: chciałem pchnąć naszych przeciwników ku głębszemu przemyśleniu ich pozycji, kapistom przeciwnych; chciałem insynuować im, że mogliby stworzyć sobie twórczą genealogię i lepiej ją przemyśleć, dążyć do malarstwa, gdzie plama nie dominowałaby do tego stopnia co u nas, kapistów, gdzie walor i linia w sensie klasycznym, istniałyby ale istniałyby bardziej malarsko. Marzyłem o walce zapładniającej, wartościach przeciwstawnych, która by naszą sztukę pogłębiła tak jak kiedyś we Francji walka Delacroix z Ingre-

sem. Ale celem drugim, dla mnie najważniejszym, było uświadomienie sobie *naszych* słabych stron. Ubóstwa, czy jednostronności, naszego stosunku do świata, tej malarskiej wyłączności. Było to naturalnie związane z narastaniem we mnie własnej wizji, dalekiej od „raju” po-bonnardowskiego, zazębiającego się o ekspresjonizm. Wszystko to było jednak widocznie nie dość we mnie samym uświadomione i dlatego może nie napisałem tego wówczas. Tymczasem w Polsce kapistów mnożyło się coraz więcej i z natury rzeczy rodziły się nowe sztance i nowy epigonizm.

Dziś, patrząc z dalekiego dystansu czasu, próbuję nasze ówczesne stanowisko wierniej obrysować. Nasze ówczesne malarstwo krystalizowało się przecie nie tylko *poprzez* kult sztuki francuskiej, ale także przeciwko malarstwu oficjalnemu, tematycznemu, które w Polsce czczono, i w którym i Bractwo Św. Łukasza szukało swego wyrazu. Myśmy przeciwstawiali wielką tradycję, której szczytowym wcieleniem dla nas był Cézanne i to była pozytywna rola kapistów w Polsce. Braki nasze płynęły jednak i rozwijały się równoległe z tym, co było naszą wartością. W walce ze złym malarstwem zwalaliśmy na jedną kupę malarzy, którzy wprost malowali źle, byli epigonami epigonów i żadnej nowej wizji świata nie wnosili, z malarzami, nad którymi należało się zastanowić głębiej. Tak jak w Paryżu nie zauważyliśmy prawie surrealistów ani siły ich „trucizn” rewolucyjnych (źle malowali), tak w Polsce nie zastanowiliśmy się głębiej nad Jackiem Malczewskim (źle malował), który był przecie prekursorem tego surrealizmu na terenie polskim. Nie widzieliśmy Witkacego (źle malował), który jako krytyk, autor studiów o czystej formie, jako genialna inteligencja i wizjoner katastroficznego świata, jedyny przy tym malarz ekspresjonistyczny u nas, zasługiwał przynajmniej na poważny dialog, ale nas na ten dialog nie było stać. Nasze walki z Łukaszami były pozytywne, ale to była walka o *elementarz* malarski — nic więcej. Nie było miejsca wśród kapistów na obiektywną ocenę tych ruchów, które poza naszą linią coś znaczyły i ważyły na świecie. Myślę tu także o ekspresjonizmie niemieckim, do którego mieliśmy stosunek niesłusznie pogardliwy, z wyjątkiem jednego Grosza, którym się zachwycaliśmy. Wartościowanie nasze nie zazębiało się o jakikolwiek głębszy nurt problematyki pozamalarskiej. Dominującą „filozofią” kapizmu był jakiś błogi, pozytywistyczny hedonizm, który może najbardziej przybliżał się do światopoglądu bohemy francuskiej z końca XIX-go wieku, z okresu Goncourt'ów, Zoli i impresjonizmu. I cóż mogło łączyć nas z takim Witkacym, żyjącym w obsesji katastrofy, który we wrześniu 1939 roku poderżnął sobie gardło brzytwą? Nasz raj malarski odgradzał nas do ostatniej chwili od grozy istnienia. I znowu muszę zaznaczyć: nie chodzi mi o malowanie obozów czy ludzi torturowanych, chodzi mi o pismo malarskie, o paletę malarską, która by służyć umiała nie tylko radości, czystej delectacji ma-

larskiej W malarstwie Goyi, nie tylko w tematyce, ale w samym *piśmie malarskim*, odbija się tragedia Hiszpanii i cios jego własnej głuchoty. Sutin potrafił połączyć wielkie malarstwo z tragicznym widzeniem świata i to widzenie *wyrazić* malarsko.

Wiele lat temu Gertruda Stein, przyjaciółka nie tylko Matisse'a i Picassa, ale paru pokoleń późniejszych malarzy, która się także naszą grupą interesowała, spytała mnie, nie o to co nas łączy ale co nas pomiędzy sobą różni. „Jeżeli w pewnej chwili nie rozleciecie się, nic z was nie będzie” — powiedziała. Wspominam dziś te słowa. Rozlecieliśmy się wszyscy, wcale nie tylko geograficznie. Co ma dziś wspólne obraz Jaremy z obrazem Cybisa, obraz mój i Potworowskiego, Rudzkiej-Cybisowej i Nachta-Samborskiego? Inne światy, inny klimat, a przecie wszyscy, tak czy inaczej, doszliśmy do malarstwa poprzez te pierwsze lata wspólnych doświadczeń. I tu, zdaje mi się, że Potworowski pozostał wśród nas najbardziej kapistą, to znaczy czystym malarzem i malarzem radości. I nawet Bacon transponowany przez Potworowskiego, to Bacon posypany cukrem. Cukrem najprzedniejszym, kapistowskim. I nikt lepiej nie wyraził sensu malarskiego tak przecie bliskiego naszym młodzieńczym założeniom, jak on sam, we wspomnianym artykule z 1948 roku, pisząc o malarzu, który jest chyba najdalej od dzisiejszego malarstwa Potworowskiego, o Ingresie: „Jednostronność umysłu Ingresa jest widoczna, ale to właśnie pomogło mu do tej olbrzymiej koncentracji wszystkich sił nad zagadnieniem najbardziej istotnym, a właściwie jedynym, jakie malarz musi rozwiązać. Tym zagadnieniem jest znalezienie formy dla tego fragmentu rzeczywistości, który zdołał zobaczyć swymi szeroko otwartymi oczami”.

Potworowski z upartą konsekwencją szukał wyrazu tej rzeczywistości, którą zdołał zobaczyć „swymi szeroko otwartymi oczami”, odrzucając bezwzględnie wszystko czego nie widział, bo widzieć może nie mógł. Tą rzeczywistością była radość, tym „fragmentem rzeczywistości” była zmysłowa miłość życia i tę wypowiedział Potworowski z żywiołowym rozmachem i z prawdziwą malarską maestrią.

Józef CZAPSKI

Komunikat

ANTOLOGIA POETYCKA

Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie zwraca się do wszystkich poetów na emigracji z prośbą:

1. O nadesłanie krótkiej noty biograficznej, z wyszczególnieniem tytułów tomików, dat i miejsc ich wydania, nazw pism, w których autor zamieszczał lub zamieszcza swoje utwory, na adres: Oficyna Poetów i Malarzy, 146 Bridge Arch, Sulton Walk, London, S.E.1. England.

2. Nadesłanie na adres Wacława Iwaniuka, 207 Raglan Avenue, Toronto 10, Ontario, Canada, kopii noty biograficznej wraz z 5-10 wierszami. Biorąc pod uwagę warunki wydawnicze, zamierzona Antologia nie obejmie poetów zgromadzonych w wydawnictwach: „Najwybitniejsi poeci emigracji” i „Ryby na piasku”. Natomiast pragnąc opracować szczegółowy zarys historyczno-bibliograficzny poezji emigracyjnej, prosimy, by wszyscy poeci odpowiedzieli na punkt pierwszy Komunikatu.

Oficyna Poetów i Malarzy

WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- WSZYSTKIE LEKARSTWA
- MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- OKULARY
- POŃCZOCHY na ŻYLAKI
- WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

WYSŁE SPRAWNIE I BEZ ZWŁOKI

Największy Dom Wysyłkowy

TAZAB & Co. Ltd.

Taxab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

36, Third Avenue,
NEW YORK, 3
ALgenquin 4-4161

Najnowsza historia Polski

Zagłada getta warszawskiego (dok.)

7. SPRAWOZDANIE „A” KOMITETU CENTRALNEGO „BUNDU”

Do Przedstawicielstwa Bundu w Londynie

Szanowni, drodzy Towarzysze!

Mam okazję przesłania Wam listu o bardzo ograniczonych niestety rozmiarach. Korzystam z niej śląc sprawozdanie (w nawiązaniu do ostatniego memoriału z 31 sierpnia ub. r.) za czas od 1 września 1942 do obecnej chwili. Z braku miejsca ograniczę się tylko do odcinka żydowskiego.

Na tle ogólnej akcji eksterminacyjnej, wyrażającej się w masowych „łapaniach” do robót w Rzeszy, obozów i więzień, w stałych masowych aresztowaniach, rozstrzeliwaniach, wysiedleniach całych wsi, miasteczek i połaci kraju, odbyła się spotęgowana likwidacja pozostałej przy życiu części społeczeństwa żydowskiego. Jeżeli do 31.8. ub. r. okupant wytracił około półtora miliona Żydów, to w obecnym okresie wytracił drugie tyle, pozostawiając przy życiu zaledwie około 250.000, które z dnia na dzień topnieją. Omawiany okres znamionują dwa etapy likwidacyjne: pierwszy stanowi kontynuację poprzedniego okresu likwidacyjnego, polegającego na wytraceniu przeważającej większości Żydów, a to kobiet, dzieci, starych, chorych, już to na miejscu, już w obozach śmierci, a pozostawianiu w ghełtach tzw. produkcyjnych elementów koszarowych, w tak zwanych shopach, to jest, wielkich przedsiębiorstwach niemieckich, szczer-

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

nie od siebie odgraniczonych. Inna drobna część wysłana była do różnych ciężkich robót na wschód, do obozów karnych i pracy. Warunki pracy i życia w shopach i na placówkach poza ghettem i obozem — okrutne. Głód i chłód, nahajka i kula, wyrafinowane tortury i deptanie człowieka, oto chleb codzienny tych niewolników hitlerowskich. W rezultacie pozostał szereg ghatt, wybitnie pod względem ilościowym skurczonych, o charakterze shopowym, w których jednakże ukrywali się w schronach tzw. nielegalni, to jest ci, którym udało się uciec przed tzw. przesiedleniem, a którzy nie zdołali dostać się do shopów. W warszawskim ghecie np., w poprzednim okresie, pozostało w shopach około 35.000, a ukrywających się kilkanaście tysięcy, w krakowskim ghecie pozostało 10 tys., w lwowskim około 20 tys., w częstochowskim kilkanaście tysięcy. W wielu miastach i miasteczkach, gdzie akcji jeszcze w ogóle nie było, przeprowadzono ją od razu całkowicie, nieraz z pewnymi odchyleniami od niemieckich schematów. Poza tym w omawianym okresie napływały wciąż nowe masowe transporty z zachodniej i południowej Europy do obozów śmierci, obozów karnych i pracy.

Z nastąpieniem niepowodzeń militarnych Niemców intensywnieje gwałtowność, okrucieństwo i tempo likwidacji.

Drugi etap omawianego okresu obejmował likwidację już skurczonych ghatt, a polegającą na tzw. przesiedleniu i przenoszeniu shopów do obozów. Teraz chodziło o całkowite już odżydzanie miast. Ghetta znikają całkowicie, a pozostają obozy, obejmujące resztki Żydów, jak obóz w Poniatowie, Trawnikach (około 25.000 Żydów z warszawskiego ghetta), obóz w Płaszowie, Bieżanowie pod Krakowem, obóz janowski (Lwów), obozy w Skarżysku, Ostrowcu, Starachowicach, Piotrkowie, Częstochowie i innych miastach przeważnie we wschodniej Małopolsce lub na Kielecczyźnie.

Rysem charakterystycznym obecnego etapu likwidacyjnego — to fakty czynnego oporu zbrojnego. Podczas gdy w poprzednim okresie były one tylko sporadycznymi wypadkami (dochozily z niektórych miast i miasteczek głosy o częściowym oporze) — to obecnie nastąpiła zasadnicza zmiana. Przoduje pod tym względem ghetto warszawskie. Pierwsze starcie miało miejsce 19-23 stycznia 1943 r. w warszawskim ghecie. Walki jakie stoczyły się tam między uzbrojoną żandarmerią niemiecką, SS-manami z jednej, a po raz pierwszy występującą Żydowską Organizacją Bojową — z drugiej strony, rokowały nadzieję wielkiego rozmachu w przyszłości i były kompromitującą Niemców niespodzianką — preludium walk późniejszych.

Niestety brak miejsca uniemożliwia przedstawienie we właściwych rozmiarach i barwach, w sposób odpowiadający powadze wypadków, przebiegu tych wydarzeń. To się kiedyś stanie i stać musi. Tu kilka dorywczych uwag. To co się działo w kwietniu i w maju br. w Warszawie, ta żydowsko-niemiecka

wojna, owa — jak ją ochrzczono — walka ghettogradu, Judengradu z Rzeszą, — rzeczywiście przerasta wszelkie analogie z dziejów własnego i innych narodów. Różne były etapy tej wojny, formy i metody, narzucone szczególnymi warunkami i na ich tle tworzone akty zaczepne i obronne, partyzanckie. Niezapomniane, wstrząsające obrazy spowitego ogromną luną pożarów i kłębiącymi się chmurami dymu ghetta, ów terkot karabinów maszynowych, huk dział, detonacje ciężkich armat, wybuchających min, łoskot walących się domów i owi w tych warunkach żyjący ludzie nasi. Wydaje się, że żaden mistrz pióra, pendzla czy tonów nie potrafi uzmysłowić tej wielkiej rzeczy, jaka w naszych oczach się działa, ani tego, cośmy w owe groźne, tragiczne a przecież podniosłe, wielkie dni — wszyscy przeżywali.

Walki główne trwały od 19 kwietnia (około 1 miesiąca), ale potem przez pewien czas były czynne pewne ogniska oporu, jeszcze z końcem maja nawet. Akcją obronną kierowała i jej trzonem była Żydowska Organizacja Bojowa, organ zbrojny Komisji Koordynacyjnej Bundu i Żyd. Komitetu Narod.

Rewizjoniści do niej ani Aguda nie należeli. Rewizjoniści stworzyli małą własną „organizację zemsty”, która po dwóch dniach walki ją przerwała. W Z.O.B. przeważał element robotniczy i młody. Najmłodszy — 13-letni (Lusiek z młodego Bundu), najstarszy — lat 40. Wszyscy ideowcy różnych kierunków. Braterstwo broni (bundowców, chałuców, szomrów itd.) — wzorowe. Ogólna postawa ludności — diametralnie sprzeczna w ubiegłym roku i obecnie. Wybitnie krzywdząca i niesłuszna byłaby też ocena, że ów heroizm i determinacja były produktem rozpaczki. Niejeden z walczących miał możliwość wydostania się z ghetta — nie uczynił tego, spowodowany silną wolą spełnienia zadań, wypływających z wysokiego etosu wymierzenia wrogowi odwetu, walki o godność, honor, walki z fałszywym wrogiem ludzkości i własnego narodu. Po stronie niemieckiej — ostrożność, graniczająca z tchórzostwem. Z przeciągającą się bohaterką walką blakła aureola niezwykłości armii niemieckiej, a unaoczniała się społeczeństwu polskiemu wielka możliwość i nadzieja w walce z okupantem. W tej niemiecko-żydowskiej wojnie znajdowała Polska Podziemna wzmocnienie swego wspaniałego opornego ducha przeciw Niemcom. Za to dali Niemcy upust swemu szałowi i wściekłości, obracając w perzynę i gruzy całe ghetto. W piątym dniu walk wydaliśmy piękną odezwę Z.O.B., w której walczący ślą Polsce Podziemnej i Stolicy pozdrowienia bojowe. Odłamy polskiego ruchu robotniczego odpowiedziały enuncjacjami solidarności i podziwu. W ogóle stanowisko całego polskiego ruchu podziemnego cechowały — zależnie od nastawienia poszczególnych ugrupowań do problemu żydowskiego — na ogół respekt dla obrońców i powaga wobec tych zmagających. Stolica i Kraj były nimi zelektryzowane. W czasie walk wydawaliśmy imieniem Komisji Koordy-

nacyjnej Bundu i Ż.K.Nar. regularne, nieraz codzienne komunikaty z placu boju, zamieszczane w codziennym wydawanym przez konspiracyjne, oficjalne czynniki cywilne Biuletynie i nadawane przez radiostację „Świt”. Rezultatem walk było: po stronie żydowskiej kilka tysięcy zabitych, żywcem spalonych lub rozstrzelanych i zagazowanych, około 25.000 wywiezionych do obozu w Trawnikach, Poniatowie, Majdanku i obozu konc. w Lublinie oraz sterczące od min, pocisków armatnich, pożarów, ruiny i zgliszczą domów. Ghetto warszawskie — to wielkie cmentarzysko. W jego podziemiach jeszcze błąka się zapewne dogasające życie setek, a może tysięcy niedobitków. Oto przed dwoma dniami zjawiał się 13-letni chłopak stamtąd z kartką z 10.6, świadcząca o „życiu” w tamtym świecie w tych nowoczesnych katakumbach. Bombardowanie Warszawy w 1939 r. spowodowało zniszczenie 75 tys. izb — wojna zaś z ghettem wykazuje zniszczenie stu kilku tysięcy izb. Straty niemieckie — przeszło tysiąc zabitych i rannych oraz olbrzymie szkody materialne przedsiębiorstw pracujących dla niemieckiego przemysłu wojennego, niszczonej i palonych przez Ż.O.B. Straty Ż.O.B. stosunkowo niewielkie, acz zginęły w walce dzielne jednostki z komendantem (M. Ordche, szomer) na czele, inż. Klepfišem, filarem jej uzbrojenia i Berkiem — czł. naszego C.K. oraz innymi. Gdy różne grupy bojowe Ż.O.B., działające zresztą oddzielnie, nie mogły już dalej walczyć — wskutek między innymi braku amunicji — wówczas zaczęły wysiłki swoje skierowywać ku wyjściu z tego piekła. Pozostało około 200 ludzi Ż.O.B. Pierwszą jaskółką która przyniosła z placu boju wiadomość z walk Ż.O.B., był Frydrych z Bundu (działacz Jutrzni), wysłużony żołnierz wojsk polskich, niezwykle odwagi i brawury człowiek. Został on niedługo rozstrzelany przez wroga, po ujęciu go wraz z grupą bojowców, poza murami ghetta. Wśród dramatycznych okoliczności, podkopami przedostał się do nas, spełniając poruczone zadanie. W niezwykle wprost z fantastycznością graniczące momenty rozy i niebezpieczeństwa obfitowało owe przedostanie się pozostałych przy życiu członków Ż.O.B. z gehenny ghetta, kanałami poza ghetto. Dwie większe grupy w liczbie około 70 zdołały się przedostać wśród sensacyjnych okoliczności do lasu, kilka innych grup, już przy wylotach kanałów, już to po wydostaniu się z nich z bronią w rękę — w walce zginęło. Reszta, około 60 — zginęła zapewne w kanałach, obstawiona przez wojska niemieckie.

Ghetto warszawskie — podobnie jak wiele innych ghatt — przestało więc oficjalnie istnieć. W obwieszczeniu, w którym mowa jest o karze śmierci dla wszystkich Żydów i wszystkich tych, którzy ich ukrywają — mówi się już o „byłej” dzielnicy. Przy likwidacji ghatt — w obecnym drugim okresie — z wielu stron nadchodzą wołania o broń, której jest bardzo mało, a raczej w ogóle nie ma. Toteż podobnych walk jak w Warsza-

wie — nie ma, są jednak w różnych miejscach fakty oporu liczniejsze niż w poprzednim okresie. Przykład Warszawy działał pobudzająco. Niestety warunki uniemożliwiły przygotowanie się do podobnej walki.

W obecnej chwili są cztery odcinki, mieszczące pozostałych przy życiu Żydów w Polsce. Są nimi: ghetta, obozy pracy i koncentracyjne, lasy, dzielnice aryjskie miast oraz wsie. Większych ghatt jest jeszcze zaledwie kilka (Zagłębie Dąbr., Łódź, Białystok, Wilno, Radom i zapewne kilka pomniejszych). Te wszystkie wcześniej, czy później, podzielił los innych, już zlikwidowanych. Pozostaną zatem trzy grupy ośrodków życia żyd., z których każdy ma swoje swoiste oblicze i tryb życia. Najskromniejszy liczbowo to ośrodek leśny, gdzie przebywają już to żydowskie, już to mieszane grupy partyzanckie. Najliczniejszym ośrodkiem to obozy pracy i obozy karne, w których znane są warunki i życia i pracy, pod kulą, nahajem, wśród tortur i głodu. Ostatnim ośrodkiem — to rozproszeni w dzielnicach aryjskich Żydzi, żyjący jako aryjczycy. Jest to ośrodek w całości z zasady konspiracyjny. W dzielnicach aryjskich, a obecnie w odżydzonych miastach Żydom przebywać nie wolno. Każdy Żyd, dlatego że jest, względnie że pochodzi od Żydów, jest uważany za przestępcę, którego w razie wykrycia należy ukarać natychmiast śmiercią. Toteż żyjący w miastach Żydzi muszą się we wszystkim upodobnić do otoczenia i niczym od niego nie odcinać. Stąd tragiczny dualizm życia, zwłaszcza, że problem mieszkaniowy jest niezwykle ciężki — mieszkań mało i bardzo drogie, uzyskać je trudno, a jeśli — to sublokatorskie. Zaostrza się sprawa tym więcej, im większy jest nacisk władz wobec tych, którzy ukrywają lub w inny sposób pomagają Żydom. Powstaje wśród społeczeństwa psychoza, celowo podsycana i tworzona przez okupanta — psychoza na tle Żydów. Rośnie nacisk niemiecki, intensywniej akcja tropienia i likwidowania Żydów. Cała sfera wywiadowców i różnych gatunków policji mundurowanej i nieumundurowanej węszy i uwiija się dzieł w dzieł na ulicy; w lokalach publicznych, by wyłowić wciąż nowe ofiary. Jest to doskonałe pole do szantażu, który staje się kłęską. Są osoby, ulegające wielokrotnemu szantażowi. Szantaż ograbia swe ofiary ze swego dobytku w mieszkaniu nie tylko z pieniędzy i kosztowności, a na ulicy rabuje i odzież i obuwie. Walka z szantażem jest prowadzona. Leży ona w interesie całego ruchu Polski Podziemnej.

W takich oto warunkach wypada żyć Żydom w dzielnicach aryjskich, w ciągłym napięciu, czy z powodu wyglądu, czy przypadku, czy zachowania nie nastąpi w każdej chwili katastrofa, a to niezależnie od ogólnego ciśnienia okrutnego terroru niemieckiego przeciw całej ludności stosowanego. Wszystkie wyż. wymienione 4 wzgl. 3 ośrodki życia żydowskiego ulegną zupełnej likwidacji, jedne wcześniej, drugie później. Ta likwidacja już się odbywa — to ostatni jej etap. Jedyne zwycięstwo do-

tychczasowe i to całkowite, jakie Hitler odniesie — mimo swej sromotnej klęski — to zwycięstwo nad milionami bezbronnymi i bezkarnie mordowanymi Żydów. Najszybsza i bezpośrednia akcja ratownicza — oto kardynalne zadanie obecnej chwili. Najpewniejszą drogą — to zakończenie wojny, zaś do tego momentu zastosowanie odwetu z dalszym zagrożeniem, zwłaszcza że ilość jeńców niemieckich jest znaczna. Jeśli jednak o tym, jako o środkach realnych — wobec znanego biernego stanowiska naszych możnych sprzymierzonych — myśleć nie można, pozostaje jedna droga ratunku — droga międzynarodowego układu wymiany. Wszystkie inne drogi — drogi pomocy finansowej i wydobywanie z więzień, obozów, zaopatrywanie w dokumenty i wykupywanie z szantażów — to rzeczy wprawdzie konieczne i przez nas wykonywane, trudne i rabujące nerwy oraz znaczne koszty, ale paliatywy i w dodatku załatwiającej sprawę jednostek a nie całokształtu pozostałego efektywu społecznego Żydów, którzy ostatecznie i doszczętnie zginą. Pozostaną być może białe kruki. Sprawdziły się już przewidywania, zamieszczone 10 miesięcy temu z 31 sierpnia ub. r. i sprawdzą się one do ostatniego słowa, jeśli teraz — w ostatniej chwili — ta proponowana przez nas wielka akcja nie zostanie natychmiast przeprowadzona.

Na tle tych niespotykanych w dziejach warunków i stosunków, w takim oto klimacie wypadło nam prowadzić naszą pracę organizacyjną. Wielkie zadania, jakie w takich przełomowych czasach stają przed każdą robotniczą organizacją socjal. — musiały w takim okresie przyjąć charakter walki o ratowanie ludzi od fizycznej śmierci, a przede wszystkim — przygotowania się do dalszej walki zbrojnej. To stanowiło niemal istotę pracy organizacyjnej, determinowało niemal wszystkie posunięcia. Siłą faktu działały dwa ośrodki organizacyjne — jeden w ghetcie, drugi — poza nim, oba oczywiście podporządkowujące swe wysiłki owemu naczelnemu zadaniu, każdy ośrodek inaczej działający, kroczący innymi drogami, narzuconymi przez odnośne momenty życia.

W rezultacie przygotowań czynnego oporu zbrojnego postanowiono skoordynować wysiłki w kierunku walki zbrojnej przeciw okupantowi z wysiłkami innych organizacji żydowskich, zgrupowanych w Żyd. Kom. Nar., do którego należą organizacje syjonistyczne z ich ugrupowaniami młodzieżowymi. Powstała Komisja Koordynacyjna Bundu i Ż.K.N. i z wyłonionym jej organem Żyd. Organizacją Bojową, ograniczającą swą pracę do odcinka walki czynnego oporu na terenie Warszawy. Reprezentacja Komisji Koordynacyjnej na terenie pozaghettowym wobec konspiracyjnych władz wojskowych była dwuosobową — po jednym z Bundu i Ż.K.N.-u. Jej zadaniem było uzyskanie broni i ewentualnie broni z zewnątrz w wypadku nowej akcji likwidacyjnej w ghetcie oraz realizacja sprawy grup partyzantskich z udziałem Żydów. Wybitnym wkładem naszym było: zao-

patrzenie Ż.O.B. w materiały wybuchowe oraz produkcja amunicji tu i w ghetcie dla zbrojnego oporu. Nieocenione usługi pod tym względem położył tow. inż. Klepfisz, który zginął w ostatnich walkach. Ponadto zasililiśmy wydatnie kasy K.K. i Ż.O.B. naszymi funduszami. Ośrodek pozaghettowy utrzymywał kontakty z czynnikami cywilnymi i wojskowymi Polski Podziemnej oraz jej organizacjami, a to W.R.N., P.S., z prowincją, z Wami oraz spełniał znaczną część prac dla akcji czynnego oporu i ważne czynności w czasie walki ghetta z Niemcami. Ośrodek pozaghettowy wysyłał do Was depesze — znacznie mniej od Was otrzymał — sprawozdanie od Was było tylko jedno z 6 marca, wydawnictw żadnych. Jeszcze przed ostatnimi walkami zaproponowaliśmy rozszerzenie koordynacji na prace samopomocowe oraz — terytorialnie — na całą Polskę. Wniosek nasz został przyjęty, ale do realizacji nie doszło, bo nastąpiły owe ostatnie zmagania zbrojne z Niemcami. Jednak w tym czasie załatwiono szereg spraw faktycznie wspólnie. Między innymi wysłane zostały wspólne memoriały do Pełnomocnika Rządu w Kraju i konsp. władz wojsk., przedstawione były skoordynowane komunikaty z placu boju.

Jednym z odcinków prac ośrodka poza ghettoowego był nasz udział w Radzie Pomocy Żydom, w której zasiada dwuosobowa reprezentacja żydowska — po jednym z Bundu i Ż.K.N. Do Rady należą: W.R.N. (prezes), Stronictwo Ludowe (wiceprezes), Bund (wiceprezes), Stronictwo Demokratyczne (skarbnik), Polska Organizacja Demokratyczna (ref. mieszkaniowy), ŻKN (sekretarz) oraz przedstawiciel Pełnomocnika Rządu. My z funduszów Rady nie korzystamy jak długo mamy własne. Budżet Rady z pierwszej kwoty 50 tys. wzrósł do sumy 550 tys. za miesiąc czerwiec, z których 150 tys. idzie na prowincję. Rada warszawska jest ciałem centralnym, a Rady krakowska i lwowska są okręgowymi i są zasilane z funduszów przez nią przekazywanych. Podopiecznych jest w Warszawie około tysiąca. Stawki przeciętne wynoszą około 300 kilkadziesiąt złotych, oczywiście niewystarczające nawet na najskromniejsze utrzymanie. Obok pomocy finansowej najwydatniejszą jest bardzo pożyteczna pomoc w dokumentach — bezpłatnie każdemu Żydowi udzielana. Rada wydała odezwy w sprawie pomocy i walki z szantażem.

W czasie akcji w lecie ub. r. organizacja w ghetcie wydała numer pisma „Szturm” nawołując masy do oporu, zaś w listopadzie-grudniu wyszły dwa numery dalsze naszego pisma, a w kwietniu przed ostatnimi wypadkami wyszedł ostatni w ghetcie warszawskim numer naszego organu — wszystko w języku żydowskim. W ośrodku pozaghettowym niestety nie udało się dotychczas z powodu przede wszystkim trudności technicznych wydanie pisma, Gromadzące się materiały oraz Biuletyn prawdopodobnie w niedługim czasie wydamy po pokonaniu wymienionych trudności. Poza tymi sprawami ogólnego charakteru bodaj najwięcej pracy, czasu i nerwów pożerają czynności techniczne, zwią-

zane z udzielaniem naszym ludziom pomocy pieniężnej, mieszkaniowej i w związku z wyspami. Tu zauważyć należy, że o ile cała Polska pracuje w warunkach konspiracyjnych, wobec których konspiracja za czasów carskich była sielanką, to nasza konspiracja jest stokroć cięższa, o której pojęcia mieć nie mogą inni. My jesteśmy konspiracją podwójną: jako Żydzi i jako polityczna organizacja Polski Podziemnej. A to już wyjaśnia wszystko. Żyjemy pod ciśnieniem terroru. Gina ludzie codziennie. Ostatnio po przedostaniu się po ciężkich walkach w ghetcie zginął w rezultacie szantażu inż. Kwiatek (czł. naszego C.K.) i Rozowski (dzielny komendant jednego odcinka frontu w ghetcie). W ogóle nie sposób wyliczyć wszystkich, którzy zginęli. Szczególnie dotknięta została nasza organizacja wielką wyspą polityczną — wynikłą na tle wypadku z kolportażem naszej bibuły — na całej naszej prowincji jeszcze przed oficjalną likwidacją ghatt. W Krakowie, Lublinie, Tomaszowie, Częstochowie, Radomiu, Piotrkowie zaaresztowano wielu naszych najważniejszych towarzyszy wówczas tam czynnych i wywieziono do Oświęcimia, gdzie ich wymordowano. Kilku zaledwie uciekło. Dr Fensterblau uciekł z Radomia i był w warszawskim ghetcie, gdzie się ukrywał przed Gestapo, skąd go wraz z rodziną podczas akcji wywieziono do Treblinki. Z Piotrkowa, gdzie jeszcze przed i podczas akcji zginęli wszyscy najwybitniejsi działacze, wymknęli się Samson (rodzina jego zginęła) i Kimelman, którego stał wywieziono do Treblinki. We Lwowie nasutek donosu zginął tow. Lejb Landau. O Soni Nowogrodzkiej wiecie już z depeszy, zabrano ją w sierpniu ub. r. do wagonu — straciliśmy w niej dzielnego członka C.K. Nie będę już wymieniał innych. Podam Wam nazwiska osób, które są ze mną i albo czynnie pracują, albo są pod naszą opieką, a na których Wam zależy. Z Krakowa: Papier z żoną, dr Lińszyc z żoną i synem, dr Glasner z rodziną, Fiszgrund z rodziną (bez żony), Hanka Aleksandrowiczówna, córka dra Ignacego, dr Nemer i dr Goldfinger (obaj obecnie w obozie pod Krakowem). Z Warszawy: Zdzisław z żoną Polakową i synem, Bernard, Samsonowicz, Orzechowa z córką Marka (on w więzieniu), Celemeński, Hodesowa z córką, Szefnerowa z siostrą, Margolisowa z Łodzi z córką, syn Zyberta, dzieci Lucjana, żona i dzieci Kwiatka, żona inż. Klepfisza z córką, Felicja żona Józefa z córką Irką i wnukiem, Rachela Auerbach, Ewa Kirszenbaum z Kutna, Falk (w obozie koncentracyjnym w Budzynie), Falkowa z synem, dr Kielsonówna (Pawiak, obecnie Oświęcim), Gałka Leszczyńska (w obozie dla obcokrajowców, gdzie udała się bez naszej wiedzy), Zelmanowa z Łodzi, Marmelsztejnowa z synem z Łodzi (on zginął podczas ostatniej akcji), żona Artura z synem jeszcze do 12 maja żyła w ghetcie. Zauważę, że z podziemi ghetta może jeszcze wydobędą się niektórzy nasi najlepsi jeśli zostali (Kaufman, Wirowski byli jeszcze po akcji w bunkrach ghetta — pewnie zginęli). W obozach w Poniatowie i Trawnikach, Krakowie, Czę-

stochowie, Piotrkowie żyją liczne nasze grupy partyjne, prowadzące tam robotę samopomocową i organizacyjno-przygotowawczo-bojową, również w Skarżysku, w Starachowicach, we wschodniej Małopolsce jest wielu naszych towarzyszy z którymi utrzymujemy kontakty. Otrzymawszy szczegóły i wiadomości o strasznym straceniu Henryka Erlicha i Wiktora Altera założyliśmy na konferencji, którą wtedy w sprawach organizacyjnych odbywaliśmy, uroczysty protest z oburzeniem pod adresem tej niesłychanej zbrodni sprawców. Rezolucję tę przesłaliśmy polskiej prasie socjalistycznej — gdzie w publikacji WRN została wydrukowana. Wreszcie z powodu śmierci Zygielbojma, która wywarła na nas wstrząsające wrażenie, wysłaliśmy do Prezesa Rady Narodowej w L. depeszę, którą znać. Odnośnie spraw finansowych zawiadomiliśmy Was ostatnio, że nastąpiły pewne nieporozumienia na tym tle, gdyż nie wszystkie sumy zaawizowane przez Zygielbojma otrzymaliśmy. Wysłana została przez Pana Pełnomocnika Rządu depesza w tej sprawie.

Kończąc to szkicowe sprawozdanie za czas od 1 września 1942, do 22 czerwca 43 r. Wielu spraw nie poruszyłem. O nich może następnym razem. Nie mogę sprawozdania zakończyć bez uczynienia następujących uwag. Stanęliśmy wobec rzeczy wielkich, największych jakie kiedykolwiek naród przeżywał. Ale w analizie i refleksjach na ten temat nie mogę nie podkreślić, że gromy które w nas uderzyły są rezultatem wojennego działania faszystów, jako prądu wybitnie reakcyjnego i kontrrewolucyjnego, że zatem nasze dawne stanowisko, nasz światopogląd znalazły potwierdzenie w smutnej rzeczywistości, która nas tak tragicznie dotknęła. Toteż jeśli sytuacja nasza narzuca nam zajmowanie się wyłącznie niemal odcinkiem żydowskim — i to czynimy z punktu widzenia całości społ. żyd. i harmonijnie zgodnie z naszym politycznym nastawieniem — to nie zapominamy o całokształcie sytuacji całej Polski i o wolność walczących ludów i uświadamiamy sobie, o co się bój na świecie toczy i dokąd zmierza. Ale zarazem wiemy — my, czynni tu w naszej partii — że najprawdopodobniej nie będziemy już mogli współdziałać z innymi bratnimi organizacjami w tworzeniu zrębów Nowego Świata Pokoju i Sprawiedliwości Społecznej. I tego nam mocno żal. Mamy jednak świadomość, że choć społeczeństwo żydowskie zapłaciło haracz najpotężniejszy na rzecz powstania tego świata, a my w nim również — nie tylko liczbowo — spełniać będziemy naszą powinność nadal, do ostatniego tchu.

Serdeczne pozdrowienia.

Za C.K.R.Z.M.P. w Polsce
BEREZOWSKI

Warszawa 22.6.43.

8. SPRAWOZDANIE „B” KOMITETU CENTRALNEGO „BUNDU”

Do Przedstawicielstwa Bundu w Londynie (na ręce dra Emanuela Scherera, członka Rady Narodowej w Londynie)

Sprawozdanie

W czerwcu bieżącego roku zawiadomiony zostałem o możliwości przesłania Wam krótkiego sprawozdania. Skorzystałem ze sposobności i napisałem sprawozdanie, nawiązujące do mojego memoriału z 31 sierpnia 1942 r. przysłanego Wam ub. r., a obejmujące czasokres od 1 września 1942 roku do końca czerwca 1943 r. Niestety z powodu technicznych przeszkód nie mogło ono być Wam przekazane. — Obecnie otrzymałem zaproszenie do napisania całokształtu sprawozdania i to już bez ograniczenia co do objętości. Z powodu braku czasu i konieczności załatwienia bardzo pilnych innych spraw, ograniczam się obecnie do sporządzenia sprawozdania tylko za czas od 1 lipca br. do 15 listopada br. a za okres poprzedni tj. od 1 września 1942 r. do końca czerwca 1943 r. załączam wspomniane wyżej już gotowe sprawozdanie, które oznaczam literą A, zaś niniejsze literą B.

B. Sprawozdanie za czas od 1 lipca 1943 r. do 15 listopada 43 r.

Składając sprawozdanie z naszych prac i usiłowań, jest rzeczą konieczną wspomnieć o podłożu i warunkach, które je wywołały. Tym istotnym podstawowym czynnikiem, które determinował niemal całą naszą działalność, to dalsza realizacja przez hitleryzm programu wytracania obecnie już resztek społeczeństwa żydowskiego.

I. Dalszy ciąg likwidacji Żydów

Po masowych, znanych Wam już likwidacjach, które w poprzednich okresach spowodowały wymordowanie olbrzymiej większości społeczeństwa żydowskiego, wytracanie to odbywało się nadal i w omawianym okresie w nowopowstałych po masowych likwidacjach, różnorodnych ośrodkach żydowskich, z różnym nasileniem i w różnoraki sposób, przy użyciu znanych już z poprzednich akcji likwidacyjnych, metod podstępnych, a w każdym razie zwierzęco-barbarzyńskich.

W czasie tym nastąpiło całkowite już zlikwidowanie skurczonych pod względem ludnościowym, z powodu poprzednich akcji, gheft na terenie G.G., Ostlandu i Reichu (chyba z wy-

jątkiem Łodzi, w której istnieje jeszcze ghetto, obejmujące ok. 30.000 Żydów łódzkich i około 100.000 zagranicznych). Likwidowanie odbywało się w znany już sposób: część rozstrzeliwano na miejscu, część wywożono do komór gazowych w Treblince, Bełżcu, Sobiborze, Oświęcimiu i innych fabryk śmierci (następnie palono w krematoriach), część — szczególnie męska w sile wieku — skierowywana do istniejących już żydowskich obozów pracy lub umieszczana w nowotworzonych obozach, wreszcie część najdrobniejsza, pozostawiana w tych opustoszałych i spustoszonych gheftach dla przeprowadzenia w nich porządku, zebrania i segregowania ruchomego majątku żydowskiego celem zagrabienia go przez Niemców.

W rezultacie tych akcji likwidacyjnych następuje ucieczka pewnych małych grup lub tylko jednostek „szczęśliwców” w lasy lub do pobliskich miast, które są w obecnym okresie niemal całkowicie „oczyszczone” z elementu żydowskiego.

W omawianym czasie nastąpiła likwidacja gheft Będzina (30.000), Częstochowy, Tarnowa, Rzeszowa, Przemyśla, Mielca, Radomia, Piotrkowa (po kilka tysięcy Żydów), Białegostoku (30.000), Wilna (15.000) i miast we wschodniej Małopolsce jak Stryj, Sambor, Kołomyja, Buczac, Drohobycz, Borysław i in. (po kilka lub kilkanaście tysięcy).

Równoległe z likwidacją gheft odbywało się stale trójpennie grup, chroniących się z katastrofy likwidacyjnej gheft w lasach oraz wyłapywanie Żydów, ukrywających się w dzielnicach aryjskich i ich tracenie.

Ponadto wyszukiwali Niemcy grupy mieszczące się jeszcze w katakumbach, zwanych dziś bunkrami, spalonego ghefta warszawskiego i likwidowali grupy te na miejscu.

W czasie sprawozdawczym odbywało się w dalszym ciągu zwożenie do Polski Żydów z zagranicy z krajów zachodniej Europy i południowych jej terenów — państw wasalskich, z Bułgarii, Rumunii, Grecji, Jugosławii, a ostatnio i z Włoch. Tych wszystkich częściowo skierowywano do komór gazowych, a częściowo rozmieszczano w żydowskich obozach pracy.

Ostatnio, dopiero przed tygodniem — zapewne w związku z klęskami Niemców i ze zbliżaniem się ku zachodowi frontu rosyjskiego — zapoczątkowany został nowy okres: *likwidowania obozów*.

Dnia 3 listopada br. zlikwidowali Niemcy obóz w Trawninkach, mieszczący około 10.000 Żydów, przeważnie z ghefta warszawskiego, przywiezionych stamtąd w okresie walki zbrojnej, i to w sposób podstępny, wyprowadzając z obozu wpród mężczyzn pod pretekstem kopania rowów strzeleckich, następnie po rozebraniu do naga rozstrzeliwując wszystkich z karabinów maszynowych. Poczym wyprowadzone zostały z obozu kobiety i dzieci, z którymi podobnie postąpili oprawcy niemieccy. To samo miało miejsce 5 listopada br. częściowo w obozie Poniatowie (około 15.000 Żydów z ghefta warszawskiego

w czasie jego walk zbrojnych wywiezionych), w obozach Lublina i częściowo w obozie Janowskim koło Lwowa, gdzie zlikwidowano około 2.000 Żydów.

II. Obecny stan i rozmieszczenie ludności żydowskiej

Obecnie żyją więc Żydzi w czterech zasadniczo różnych ośrodkach: w obozach, w lasach, w dzielnicach aryjskich i w obozach dla obcokrajowców.

1) *W obozach pracy*, znajdujących się już to w dawnych ghettach (tych najmniej), już to (najczęściej) poza miastami w ich pobliżu lub z dala od nich mieszczą się przedsiębiorstwa, w których pracują Żydzi, produkujący dla Niemców. Rygor w nich surowy. Głód, tortury, rozstrzeliwanie za najdrobniejsze wykroczenie lub za ucieczkę, za którą odpowiada zbiorowo kilkadziesiąt innych osób. Ponadto pracują Żydzi poza obrębem obozów na tzw. placówkach, przy których są skoszarowani lub do których przychodzą z obozów. Na placówkach tych pracują już to sami, już też z robotnikami polskimi. Obozów tych jest na terenie G.G. kilkadziesiąt o rozmaitym nasileniu liczbowym. I tak: 2 pod Krakowem (w Płaszowie i na cmentarzu żydowskim przy ul. Jerozolimskiej), mieszczące kilkanaście tysięcy Żydów; we Lwowie obóz janowski (po ostatniej likwidacji pozostało w nim około 2.000 Żydów); w Piotrkowie (około 2.000); w Częstochowie (około 2.000); w Trawnikach (około 10.000) właśnie co dopiero zlikwidowany; w Poniatowie (około 15.000) co dopiero częściowo zlikwidowany; w Bochni (kilkaset); w Tarnowie (około 200), część przeniesiona do obozu w Płaszowie; w Rzeszowie (kilkaset); w Szebniach pod Jasłem (kilka tysięcy); w Pustkowie (kilka tysięcy); w Borysławiu (około 1.200); dalej obozy w Budzynie (kilka tysięcy); w Blizinie, Kielcach (2.000), Radomiu, którego ghetto niedawno zamieniono w obóz (około 2.000), Skarżysku-Kamiennej, Starachowicach, Annopolu, Św. Krzyżu (tysiąc) i w innych.

Po niedawnej likwidacji ghetta w Białymstoku drobną część wysłano do Trawnik, zaś po likwidacji ghetta w Wilnie, w czasie której znaczną część stracono na miejscu, część wysłano do obozu w Woronowie, a część w okolice Kowna. Wreszcie pozostało ghetto łódzkie, będące jedną wielką fabryką, pracującą dla Niemców.

2) *W lasach*: z uratowanych z pogromu ghetta pewne grupy uciekły w lasy różnymi sposobami i drogami, uzbrojone lub bezbronne i w lasach pędzą żywot. Z nich przeważająca część — z konieczności utrzymania się przy życiu — tworzy dzikie grupy, które, by żyć, grabią okolice, znikoma część przystaje do grup partyzanckich, w odnośnych terenach działających. Wszystko to pędzone jest żywiołem i warunkami, stworzonymi przez

terror niemiecki. Warunki te to życie koczowników, szczerzonych i ściganych zewsząd z miejsca na miejsce i tępionych.

3) *W dzielnicach aryjskich*: trzecia grupa żyje rozsypana w dzielnicach aryjskich różnych większych miast jako aryjczycy już to kryjąc się w domach, już to pracując nieraz zawodowo (szczególnie kobiety jako pracownice domowe), już też pracując konspiracyjnie w organizacjach podziemnych. Materialnie u nich często wielka bieda, łagodzona działalnością Rady Pomocy i organizacji żydowskich tj. Bundu i Ż.K.N. Ten żywot biedy przerwany jest od czasu do czasu — najczęściej na skutek donosów — aktami szantażu lub najściem Gestapo i likwidacją.

4) *W obozach dla obcokrajowców*: wreszcie czwarta grupa znajduje się w obozach obcokrajowców w Vitelle (Alzacja), Salzburgu, Bergen pod Hanowerem. Łączna ich ilość wynosi około kilkunastu tysięcy. Są to ci Żydzi, którzy uzyskali obywatelstwo Paragwaju lub innych państw. Warunki życia w tych obozach, o ile zdołały dotrzeć do nas z nich wiadomości, są niejednolite. W jednym jak Vitelle pono dobre, innym, jak Bergen, pono bardzo ciężkie. Ostatnio doszły nas słuchy, iż tenże obóz w Bergen miał zostać zlikwidowany. Wiadomość atoli niesprawdzona.

Uwarstwienie wymienionych ośrodków różne.

Jaki jest stosunek liczbowy wymienionych ośrodków, zwłaszcza w ostatnim okresie, z powodu znaczniejszej fluktuacji trudno dokładnie ustalić, w każdym razie prawdopodobnie najliczniejszy odsetek Żydów znajduje się w obozach, a następnie w dzielnicach aryjskich. Dalej znacznie drobniejszy ułamek mieści się w obozach dla obcokrajowców. Natomiast najmniej odsetek stanowią grupy w lasach.

III. Nasze zadania

Na tle tej niezwyklej sytuacji i nadzwyczajnych warunków, wytworzonych terrorystyczną akcją okupanta przeciw społeczeństwu żydowskiemu, a raczej jego resztkom, wylaniają się również niezwykle potrzeby i zadania. Stanęliśmy wobec olbrzymiego ogromu zadań, których nie byłyby w stanie spełnić organizacje liczniejszych i silniejszych narodów, narodów zorganizowanych państwowo, o rozbudowanych aparatach i nie tylko dysponujących siłami materialnymi, fizycznymi i duchowymi bez porównania większymi niż nasze, ale co ważniejsze, nie żyjących przecież w tak niepomiernie ciężkich warunkach, w jakich my żyjemy, aczkolwiek narody te — szczególnie Polska — ściśnięte żelazną obręczą okupacji, masowo dzieją w dzień bezustannie krwawią serdeczną krwią swych najbliższych.

Padły pod obuchem żelaznej pięści nowoczesnych Hunów —

jeden naród po drugim, jeden potężniejszy od drugiego, zaopatrzonego w aparat państwowy, a przede wszystkim dysponujący wyszkoloną siłą zbrojną od dziesiątek i setek lat nawet. I żaden z nich nie mógł postawić tamy przeciw tej fali okrutnej, ale mimo to o ileż słabszej od tej fali, jaka nas zalewa. Jakżeż my, o tyle od tamtych słabsi, bez tych elementów siły, bez przygotowania i możliwości — mniejszość wytracana, z której już jeno cienie pozostały — jakżeż my, w takich nadzwyczajnych warunkach żyjący, mielibyśmy moc podołać temu ogromowi zadań i potrzeb, wpływających ze szkiełkowo odmalowanej tragicznej sytuacji naszej! I jakżeż można jąć się i kontynuować pracę i walkę, które, wobec żelaznej konsekwencji w przeprowadzeniu programu wymordowania do ostatniego jej członka całej społeczności, w rezultacie swym okazują się beznadziejne i są pracą Danaid! A wreszcie rzecz ostatnia. W na poły choćby normalnych czasach tak olbrzymie zadania wymagałyby równie ogromnego aparatu ludzi, których tu teraz nie ma, bo prawie wszystko, niestety, wyginęło. W porównaniu z ową wielką masą najróżniejszych działaczy, którą przed wojną, a nawet w pewnej jeszcze mierze w pierwszych latach obecnej okupacji dysponowaliśmy, ostała się jeno bardzo skromna grupa, co się zaprzęga do twardego kieratu naszej bundowskiej pracy i walki konspiracyjnej.

I mimo to nic nas nie zniechęca, nic nas nie odstrasza: ani ogrom różnorodnych i całkiem nowych a niezwykle trudnych zadań, ni beznadziejność naszych wysiłków, ni groźne niebezpieczeństwa na każdym kroku na nas czyhające, ni to wreszcie, że jest nas w pracy tak strasznie mało i że w dodatku to tego to owego porywa od czasu do czasu spośród naszych najbliższych — śmierć.

Jesteśmy w pracy i trwamy w niej podobni do lekarza, co ma przed sobą beznadziejnie chorego pacjenta, którego on do ostatniej chwili leczyć uważa za swój obowiązek, podobni do kapitana okrętu tonącego, co czyni wszystko dla ratowania tonących, trwając niewzruszenie na swym odpowiedzialnym stanowisku. Czynimy to, bo przepojeni jesteśmy wolą spełnienia pracy, która przecież może coś uratuje z tego straszliwego popopu na przyszłość, pracy, która podyktowana jest zawziętą wolą walki z wrogiem, pracy, która by godnie kończyła naszą chlubną pełną tradycji bojowej przeszłość socjalistyczną.

Nasze zadania streszczają się obecnie: do zadań utrzymania przy życiu bodaj tych resztek, które przy życiu pozostały, oczywiście nie tylko w sensie czysto organizacyjnym, ale w sensie ogólnym, by bodaj jakiś na przyszłość rezerwat i świadkowie zbrodni pozostali, do zadań walki ze sprawcami tej zbrodni solidarnie z innymi ich przeciwnikami i do zadań organizacyjno-ideologicznych.

Więc: 1) pomoc materialna i moralna na szeroko zakrojonej skali, 2) akcja czynnego oporu przeciw wrogowi wspólnemu,

3) praca organizacyjno-ideowa i to wszystko, co z tymi zadaniami jest związane — oto zakres naszej działalności obecnej.

Nie sposób wyliczyć tu wszystkich tych spraw i je dokładnie omówić, a które wchodzą w zakres powyższych zadań. Sprawy mieszkaniowe, rozdawnictwo pomocy materialnej, legalizacja (dokumenty, meldunki itp.), skomplikowane konsekwencje poszantażowe, przygotowania do oporu czynnego, aresztowania, paczki, odzież, leki, kontakty różnorakie w miejscu i z obozami na prowincji, listy, pisma, wyjazdy, posiedzenia i wiele podobnych innych spraw — to wszystko, co nas pochłania, co pożera czas, nerwy i zdrowie.

IV. Komisja Koordynacyjna i Ż.O.B.

Na terenie ghetta Warszawy i dla tego terenu na odcinku czynnego oporu powstała — jak Wam wiadomo — po akcji likwidacyjnej z lipca ub.r. komisja, która koordynowała wysiłki naszej organizacji z takimiż wysiłkami Ż.K.N. Ta praca wydała pozytywne rezultaty (walki zbrojne w styczniu i kwietniu-maju 1943). Po całkowitej likwidacji ghetta warszawskiego, faktyczna w czasie tej ostatniej istniejąca na terenie aryjskim koordynacja, zamieniona zostało w lipcu także w formalną i obejmowała szerszy zakres rzeczowy i terenowo tj. także pomoc materialną i całą Polskę. Nie było i nie jest to wcale ciało o charakterze politycznym, a tym mniej reprezentacja polityczno-społeczna społeczeństwa żydowskiego, a jedynie z uwagi na celowość i znaczenie ciało koordynujące wysiłki obu stron na tych samych odcinkach pracy i walki. Żadna ze stron nie zamierzała nawet przydawać temu ciału takich politycznych znamion. „Sprawy polityczne — jak brzmi ustęp z statutu Komisji Koordynacyjnej — które każda z koordynujących stron załatwia samodzielnie zgodnie ze swoim światopoglądem, są z koordynacji wyłączone”.

Na zasadzie tych wspólnych postanowień przeprowadziliśmy prace koordynacyjne tu w Warszawie i na prowincji odnośnie obozów w zakresie samopomocy i przygotowania zbrojnego oporu. Jeśli chodzi o pracę pierwszą, to na terenie Warszawy przychodziliśmy z pomocą jako K.K. różnym osobom, które nie należały do zasięgu organizacyjnego naszego czy Ż.K.N., ani nie otrzymywały z powodu braku gotówki od Rady Pomocy odnośnego kursu. Ponadto udzielaliśmy również jako K.K. znaczniejszych kwot nie tylko Żydom, a to celem ratowania wskutek ich aresztowania, a nawet nie-Żydom działającym na odcinku samopomocy z ramienia Rady w wypadku ich aresztowania.

Odnośnie prowincji wysyłaliśmy jako K.K. do różnych ośrodków obozowych znaczniejsze sumy dochodzące do setek tysięcy złotych.

Odnośne szczegóły finansowe znajdziecie zresztą później. Tu tylko zauważyć należy, że K.K. nie ma własnej kasy ani skarbnika, bo sprawy odnośne są od wypadku do wypadku każdorazowo zgodnie załatwiane. Przy załatwianiu spraw należących do zakresu K.K. czynnych jest także kilku naszych towarzyszy (w różnych nieraz trudnych i ryzykownych misjach). Jeśli chodzi o przygotowania do zbrojnego oporu to w tym kierunku była w kontakcie dwuosobowa reprezentacja K.K. względnie O.B. z oficjalnym czynnikiem wojskowym Polski Podziemnej. Zresztą szereg charakterystycznych spraw załatwionych przez K.K. znajdzie w odnośnych poniższych ustępach swoje omówienie.

V. Walka zbrojna

A. W okresie sprawozdawczym — zapewne na skutek tych głębszych przyczyn, które wywołały walkę zbrojną ghetta warsz. oraz zapewne wskutek ogólnej atmosfery wytworzonej w kraju tą walką — miał miejsce szereg aktów *zbrojnego oporu żyd. w różnych ośrodkach*, aktów które stanowią dalsze ogniwa owego łańcucha czynów zapoczątkowanych bohaterską walką warszawską, a które stają z nią na równi.

1. Więc przede wszystkim *Białystok*, ów jeden z wielu przed wojną i pod silnym wpływem Bundu pozostający żydowski ośrodek pracy produktywnej, stawiał czynny opór katom niemieckim, gdy ci w połowie sierpnia br. rozpoczęli likwidację białostockiego ghetta. Opór zbrojny trwał około miesiąca i był wielkim czynem determinacji i bohaterstwa. Niemcy, którzy użyli w tej walce podobnych metod i narzędzi co w Warszawie, stracili znaczną ilość ofiar. 30.000 ghetto białostockie, z którego wielu padło, zostało zlikwidowane, a część jego niewielka przewieziona do Trawnik.

2. A dalej *Treblinka* — obóz komór gazowych, w których hitlerowcy wytracili setki tysięcy Żydów, został przez pracujących w nim Żydów z początkiem sierpnia br. rozbity. Zrewoltowani Żydzi wybiwszy do nogi 30 osobową niemiecko-ukraińską załogę obozu, zabrali jej broń, spalili budynki tej kaźni, zniszczyli przewody i zorganizowali ucieczkę do pobliskich lasów około 2.000 Żydów.

3. Na znacznie mniejszą skalę miały miejsce inne akty oporu żydowskiego w *Tarnowie*, *Będzinie*, *Częstochowie* i *Borystawiu* w związku z likwidacją ghetta w tych miastach w omawianym okresie sprawozdawczym.

4. Podobny zdeterminowany i heroiczny czyn jak w Treblince miał miejsce i w *Sobiborze*, również miejscu kaźni setek tysięcy Żydów. Było to w październiku br., skąd także uszła znaczna ilość Żydów.

5. Wreszcie — wprawdzie nie zbrojnego, a jednak poważnego aktu oporu dokonali Żydzi ghetta *łódzkiego* jeszcze w lutym br., przeprowadzając *strajk generalny* na skutek rozpoczęcia przez Niemców masowych egzekucji, które w rezultacie tej walki ustały.

6. W końcu zaznaczyć należy, że niektóre dalsze skupiska obozowe w szczególności *Poniatów* i *Trawniki* przygotowały akcję zbrojnego oporu w czym pomocną była K.K. i O.B. które wysyłały do nich środki finansowe, broń, instrukcje i łączników. Akcją przygotowawczą oporu podobnie jak akcją samopomocową kierowały wewnątrz obozów analogicznie jak tu Komisje Koordynacyjne, w których nasi towarzysze, stanowiący w tych obozach ugrupowania największe względnie największy odsetek, brali bardzo czynny i wybitny udział kierowniczy.

B. *Partyzantki*. Jak wyżej wspomniałem w związku z likwidacją w ghettach a następnie i samychże ghetto, oraz z reżymem okrutnym w obozach żyd., uciekają od czasu do czasu pewne grupy Żydów (zwłaszcza aktywniejsze) o tzw. niedobrym wyglądzie zewnętrznym z miejsc straceń także do lasów i tworzą w ten sposób grupy „rekwirujące” lub (znacznie rzadziej) łączą się z nadarzającymi im się po drodze grupami partyzanckimi. Chodziło o ujęcie organizacyjne przez Ż.O.B. tych elementów żydowskich. I w tym kierunku odbywały się rozmowy delegacji K.K. względnie Ż.O.B. z odnośnym oficjalnym czynnikiem wojskowym Polski Podziemnej, który zajmował krytyczne wobec takiego rozwiązania sprawy stanowisko podobnie jak odnośnie do uzbrojenia obozów żydowskich w ogóle. Stanowisko to — uległo ewolucji w kierunku pozytywnym, co w logicznej konsekwencji powinno doprowadzić do podobnej ewolucji odnośnie samychże partyzantek, skoro rezultatem uzbrojenia obozów będzie zbrojne ich rozbijanie względnie przebicie się z nich do lasów, co znów w konsekwencji spowodować by musiało umożliwienie tym do lasu z bronią w ręku zbiegłym dalszego tam żywota, a więc partyzanckiego.

C. *Oddział powstańczy w Warszawie*. Został już formalnie zorganizowany, do którego należy parędziesiąt Żydów pod kierunkiem oficera W.P. Oddział ten miałby — po faktycznym uruchomieniu — być czynny jak nazwa jego wskazuje w chwili ogólnego powstania przeciw okupantowi łącznie z innymi oddziałami, których byłby częścią składową. I ta sprawa jest finalizacją rozmów K.K. względnie Ż.O.B. na odcinku wojskowym z odnośnym oficjalnym konspiracyjnym czynnikiem.

VI. Prowincja

Jedną z największych naszych trosk i usiłowań w okresie sprawozdawczym było nawiązanie i utrzymywanie kontaktów z prowincją, a raczej z obozami żyd. rozszanymi po całej Polsce.

Ta przede wszystkim troska ciążyła oczywiście również na K.K. Toteż już poprzód, a następnie już przez K.K. nawiązane zostały żywe kontakty za pośrednictwem wysłanników własnych wspólnych, oraz przy pomocy Rady (przede wszystkim przy pomocy towarzyszy z P.P.S. oraz Stron. Dem.) przez których wysłano do obozów listy z instrukcjami, słowami otuchy, pieniędzmi i bronią. Wszędzie tam inicjowane było organizowanie ciał podobnych do naszej K.K. o podobnym jak u nas charakterze i zakresie działania. Nawiązaliśmy i utrzymaliśmy stałe kontakty przede wszystkim z Krakowem, Poniatowem, Trawnikami, Piotrkowem, Lwowem, Ostrowcem, Radomiem, Kielcami, Częstochową, Budzynie i całym szeregiem pomniejszych miejscowości jak Skarżysko-Kamienna, Starachowice, Blizin i inne, przy czym niejednokrotnie same obozy nawiązują nowe kontakty z sąsiadami, komunikując sobie od nas otrzymane wiadomości oraz dzieląc się z otrzymanymi od nas funduszami. Udało się nam dalej uzyskać kontakt — doraźnie — z Białymstokiem (Ostland) bezpośrednio po akcji zbrojnej tego ghetta. Wzruszające są listy przychodzące z tych ośrodków cierpień, poniżenia i śmierci. List np. który otrzymaliśmy w odpowiedzi na nasze pismo skierowane do towarzyszy w Białymstoku do głębi nas poruszył. „Sen czy jawa — głos pomocy od towarzyszy warszawskich...” pisze ze łzami do głębi wstrząśnięty tow. Kosower, który co dopiero uratował się z wojny niemiecko-żydowskiej w Białymstoku i przebywa u tow. polskiego, który go wraz z drugim naszym tow. przyjął do siebie. Podobne są listy od tow. naszych z obozu Płaszowskiego pod Krakowem, którzy byli w kontakcie z tow. naszymi w Tarnowie i udzielili im części z przysłanej im przez nas pomocy finansowej. Z Trawnika (obecnie już zlikwidowanych) znów dociera do nas wiadomość od naszych tow., że obchodzili oni nawet tam, oczywiście w swoisty sposób, uroczystość 46-lecia naszej partii. Słowem staramy się dotrzeć wszędzie by nieść sukurs materialny i moralny. Często, jak zauważyliście już, list który dociera do jednostki gdzieś hen daleko od nas i pieniądze są dla tej jednostki otuchą i impulsem do dalszej walki i wytrwania. Dla przykładu: posłaliśmy do Piotrkowa 20.000 złotych do obozu dla wszystkich na ręce naszego towarzysza. Gdybyście też mogli czytać i ten list stamtąd! Wzruszające do łez słowa. Był to moment najpiękniejszy — pisze — w jego życiu. W najstraszliwszych warunkach skomunikował się z resztą swoich towarzyszy ideowych, dotarł do innych ośrodków pracy, podzielił się z nimi pieniędzmi i wiadomościami od nas otrzymanymi, wysłał nawet jakąś cudowną drogą trochę pieniędzy do Skarżyska i Blizina, gdzie są miejscowi towarzysze z Piotrkowa, podał nam ich nazwiska, stąd mamy też adres organizacyjny na Skarżysko i Blizin. Stąd zrodził się plan, który jest opracowany, wydobycia ludzi stamtąd. Tak samo z Częstochową. Jest tam Kuśnierz i Brener oraz inni. Przez nich może otrzymamy wiado-

mości o innych z nimi pracujących towarzyszach z innych miast. Stąd znów rozszerzenie kontaktów i dalsza w ich rezultacie praca nasza. Z całą serdecznością i obowiązkowością odnosimy się do konieczności zaspakajania tych wciąż rosnących potrzeb. Toteż przesyłaliśmy, przesyłamy dalej i będziemy coraz więcej przysyłać setki tysięcy złotych do tych obozów, o czym zresztą dokładniej w finansowej części sprawozdania. Najważniejsza atoli rzecz, aby to wszystko nie było tak beznadziejne, by bodaj pewne grupy drobne wydobyć z tych piekieł obozów i uratować na przyszłość. Jednak są to tak niezwykle trudne, strasznie trudne sprawy, że aż serce zamiera, zwłaszcza, gdy się już zaczął okres likwidowania samych obozów.

VII. Rada Pomocy Żydom

Prace nasze, K.K. oraz Rady zajął się coraz silniej z uwagi na wspólny odcinek pracy w zakresie pomocy materialnej. Znaczne korzyści, bardzo cenne przynoszą np. legalizacje, bezpłatnie wszystkim Żydom przez Radę udzielane. Dalej pomoc w pracy w terenie odnośnie obozów, do których docieramy przez Radę. Z drugiej strony od czasu napływu znaczniejszych dla nas z zagranicy sum przelewamy podobnie jak Z.K.N. do kasy Rady większe kwoty, które w globalnej sumie za czas od sierpnia do listopada br. włącznie jako nasz udział wynoszą 300.000 złotych, o czym dokładniej w finansowej części sprawozdania. Wreszcie między innymi sprawy o charakterze socjalnym, j. np. sprawa J.U.S. i ustosunkowanie się Rady do tej instytucji, o czym niżej, ujęta została przez Radę w sformułowaniu zaproponowanym przez K.K.

VIII. Sprawa obozów żydowskich dla obcokrajowców

Niestety mimo wszystko potęga iluzji utrzymała się i po masowych żydowskich tragediach u samych Żydów. Dowodem jaskrawym sprawa obozów dla Żydów obcokrajowców w Vitelle czy Hanowerze. Znaczna część listów wysyłanych do konsulatu Paragwaju i Szwajcarii do Żydów zamieszkałych w ghettach pod okupacją niemiecką w Polsce, listów z promesą udzielenia im obywatelstwa paragwajskiego nie dotarła do adresatów z powodu ich uprzedniego stracenia w czasie likwidacji ghetta warszawskiego. Listy te stały się wobec tego przedmiotem giełdy, przy czym sprawę tę wzięty w swe ręce kanalie w osobach żydowskich konfidentów Gestapo, wyłudzające nieraz olbrzymie za te listy sumy. Zaczęto uważać wśród pewnych niepoprawnych sfer żydowskich listy te za prowadzące na drogę do wyzwolenia, do uratowania swego zagrożonego życia, za jego glejt żelazny. Nastrój ten zaczął się coraz bardziej szerzyć i wszędzie prawie

słychać było: Vitelle. Rosła wśród zrozpaczonych na zagładę skazanych Żydów psychoza, świadomie zresztą podsycana przez żydowskich konfidentów Gestapo. Nastrój ten zaczął się udzielać nawet pewnym zresztą logicznym towarzyszom naszym, którzy byli na nasze centralne kierownictwo nawet przez pewien czas rozżaleni, żeśmy zajęli krytyczne stanowisko w tej nowej sprawie, którą skłonni byliśmy uważać za nową niemiecką zasadzkę na Żydów i za sprawę ponadto, którą z zasadniczych względów uznaliśmy za niemożliwą do załatwienia choćby pośrednio z żydowskimi gestapowcami.

W tej sprawie wystosowaliśmy jako K.K. do was depeszę z prośbą o wyjaśnienie, czy obozy te stoją pod oficjalną ochroną Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Odpowiedzi zresztą nie otrzymaliśmy. Nie trzeba było jednak długo czekać na rozbięcie omawianej tu nowej tragicznej iluzji. Przy jakimś trzecim z rządu zdaje się transporcie mającym odejść do rajy „obozy dla obcokrajowców” pod Hanowerem nastąpiło aresztowanie przeszło 300 Żydów przeznaczonych wśród innych w kierunku wspomnianego obozu, i rozstrzelanie ich na Pawiaku. Ostatnio zaś doszła do nas — niesprawdzona jeszcze — wiadomość o zlikwidowaniu na znaną modłę niemiecką wspomnianego obozu w Bergen pod Hanowerem. Po owym fakcie rozstrzelania głasy mal-kontentów całkowicie ucichły.

IX. J.U.S.

Po akcji likwidacyjnej ghetta krakowskiego i innych powołali Niemcy w Krakowie do życia instytucję zw. *Juedische Unterstuetzungs-Stelle* (J.U.S.) prowadzona przez dr. Weicherta przy nieoficjalnej współpracy dwóch poważnych osób z organizacji syjonistycznej z Krakowa. Organizacja ta (J.U.S.) ma rzekomo na celu rozdział leków i innych przedmiotów przesyłanych przez Żydów z zagranicy za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, a to po obozach żydowskich w G.G. W istocie jednak jest to dywersyjna afera okupanta, który ma na celu nadal podstępnie okłamywać opinię zagraniczną w przedmiocie jego stanowiska wobec Żydów, a ponadto potrzebne dla siebie leki zabierać dla siebie. Na naszą propozycję, na którą koordynująca z nami strona się zgodziła, K.K. powzięła negatywną decyzję odnośnie zaproponowanej nam pośrednio przez kierownika JUS'u współpracy z nami względnie i z Radą, która na wniosek K.K. podobne w tej sprawie zajęła stanowisko co K.K., zawiadamiając o tym delegaturę Rządu. — K.K. w tej sprawie wystosowała do Was i dra Szwarcbarta depeszę przestrzegającą opinię zagraniczną przed JUS'em i całą tą aferą oraz domagającą się wstrzymania wysyłki leków i innych przedmiotów dla JUS'u.

Po raz drugi podtrzymała K.K. tę decyzję, gdy panowie z JUS'u zwrócili się o jej rewizję.

Po jakimś czasie oświadczyli oni, że poddają się decyzji K.K. i że przekazują jej odnośnie pozostałe przedmioty JUS'u, ale obecnie jak przewidywaliśmy z tym się ociągają. Zainicjujemy w K.K. wyciągnięcie odpowiednich konsekwencji zgodnie z zasadniczą decyzją K.K.

X. Nasza praca organizacyjna na innych odcinkach

1. W okresie omawianym pozostawaliśmy nadal w kontakcie z delegaturą Rządu. Regulowanie przesyłanych przez Was do nas funduszków oraz komunikowanie się z Wami były treścią wspomnianych kontaktów z Delegaturą Rządu, które odbywały się poprzez referat żyd. w referacie mniejszości przy Delegaturze Rządu.

2. Sprawy oporu zbrojnego, w szczególności sprawy uzbrajania obozów żydowskich, sprawy żydowskich grup partyzantskich i żydowskiego oddziału powstańczego w Warszawie ewentualnie w kraju stanowiły przedmiot rozmów z oficjalnym czynnikiem wojskowym konspiracyjnym poprzez przedstawicielstwo K.K. względnie Ż.O.B. jako jej organu wobec tego czynnika wojskowego, o czym powyżej była mowa, przy czym naszym stanowiskiem w tych sprawach było stanowisko mieszanych oddziałów na jednym i drugim odcinku.

3. I w obecnym okresie były utrzymywane nadal stosunki z obozem socjalistycznym polskim, w szczególności serdeczne z WRN oraz ze Stronnictwem Demokratycznym, z którymi spotykamy się przede wszystkim w pracy na odcinku Rady Pomocy.

4. Wewnętrzna nasza praca wykonywana jest przez Centralne Kierownictwo z Prezydium na czele jako instancją kierowniczą oraz aparat techniczno-łącznikowy, przez który oraz z pomocą innych docieramy do naszych grup w Warszawie i na prowincji dostarczając im różnorodnej pomocy, informując o naszej pracy ustnie lub pisemnie oraz wysłuchując ich życzeń itd. Przygotowane biuletyny (wewnętrzny i rocznicowy) oraz kwestionariusz w sprawie problemu żydowskiego i innych.

5. Stosunek z zagranicą tj. z Wami to jedna z największych naszych bolączek. Za czasów urzędowania tow. Artura jeszcze jakoś od czasu do czasu był od Was znak życia, ale od chwili jego śmierci tragicznej zupełna cisza, aczkolwiek myśmy, już to sami jako organizacja Bundu, już to przez K.K. do Was wystosowali cały szereg ogólnych i informujących Was depesz oraz depesz szczególnie w sprawie przysyłania do nas funduszków, z powodu których braku dusiliśmy się i groziła ludziom naszym prawdziwa katastrofa. Mam nadzieję, że wreszcie nastąpi w tym kierunku radykalna poprawa, że po kilkumiesięcznej przerwie będziecie nas informowali systematycznie już to w depeszach, listach, już też w waszych wydawnictwach i wydawnictwach innych w

sprawach co Wy robicie i myślicie na tematy nasze oraz szersze ogólne i co w tych kierunkach robią i mówią inni*).

6. O zasadniczych problemach już to „życia” żydowskiego tu w kraju oraz za granicą już to spraw ogólnych w szerokim zasięgu, o naszym wobec nich ustosunkowaniu, co wszystko mimo grozy warunków naszych i zaprzętania umysłów całą mocą konkretnych i trudnych spraw nie jest nam obce, co nas mimo wszystko bardzo interesuje jako ugrupowanie o charakterze społecznym — najbliższym razem dokładnie.

7. Przytaczam Wam rezolucję naszego Centralnego Kierownictwa z 9.V.1943, o której jest krótka wzmianka w poprzednim sprawozdaniu, która omawia fakt stracenia tow.tow. Henryka i Wiktora.

Protest ten brzmi:

„Wstrząśnięci do głębi zakomunikowaną nam obecnie w chwilach najgorętszych walk ghetta warszawskiego wiadomością o straceniu przez władze sowieckie tow. Henryka Erlicha i Wiktora Altera i oficjalnym uzasadnieniem tego wyroku rzekomą ich w Czerwonej Armii „propagandą za natychmiastowym odrębnym pokojem z Hitlerem” — piętnujemy najostrzej w obliczu całego świata socjalizmu i wolności czyn ten jako zbrodnię oraz przeciwko niej i usiłowaniom poharńbienia ich nieskazitelnego imienia najuroczyściej protestujemy.

„Zbrodnia dokonana na osobach naszych najlepszych towarzyszy, którzy padli ofiarą niezłomności swoich przekonań, jako szermierze ideałów wolności i rewolucyjnego socjalizmu, wyrządza nie tylko żydowskiemu i robotniczemu socjalistycznemu ruchowi Polski ale i całemu międzynarodowemu obozowi socjalizmu niepowetowaną szkodę, zwłaszcza w obecnym przełomowym okresie dziejowym, gdy konieczna jest konsolidacja przede wszystkim całej klasy robotniczej w rozgromieniu faszystwu i w czekającej ją bezpośrednio po tym walce o socjalistyczną przebudowę świata.

(*) Przedstawicielstwo zagraniczne „Bundu” w czasie wojny znajdowało się w Nowym Jorku. Kontakty pomiędzy Centralnym Komitetem „Bundu” w Warszawie a jego przedstawicielstwem w Nowym Jorku szły drogą przez Londyn, za pośrednictwem aparatu Rządu Polskiego w Londynie i Delegatury Rządu w Warszawie. (Z aparatu tego na takich samych prawach korzystali również syjoniści: dr Ignacy Schwarzbart w Londynie i Żydowski Komitet Narodowy w Warszawie). Do swego zgonu tj. do dnia 11 maja 1943 sprawę kontaktów „Bundu” miał w swym ręku Szmul Zygielbojm (Artur), członek Rady Narodowej R.P. w Londynie z ramienia „Bundu”. Po jego tragicznym zgonie przedstawicielstwo „Bundu” w Nowym Jorku zaproponowało, a Rząd Polski w Londynie zamianował członkiem Rady Narodowej dra Emanuela Scherera, który jednak mógł przybyć z Nowego Jorku do Londynu i objąć swe obowiązki po Zygielbojmie dopiero z początkiem listopada 1943. W Warszawie wiadziano o nominacji dra Scherera, nie wiadziano jednak, że faktycznie miejsce „Bundu” w Radzie Narodowej w Londynie było przez pół roku nieobsadzone. Stąd wymówki.

(Przypisek A.C.)

„Henryk Erlich i Wiktor Alter wiecznie żyć będą w historii Bundu i całego nowoczesnego społeczeństwa polskiego, w dziejach walczącej Polski oraz międzynarodowego socjalizmu, jako wybitni ich przywódcy, jako chorążowie bezkompromisowego boju z faszystwem, jako rewolucjoniści ducha i czynu — jako świetlane postacie, które zginęły tragiczną śmiercią męczeńską.

Cen. Kier. R.Ż.M.P. w Polsce”

Powyższy protest przesłany został w swoim czasie podziemnej prasie socjalistycznej w kraju, a opublikowały go „Materiały i Dokumenty Ruchu Mas Pracujących Polski” — organ WRN.

XI. Sprawozdanie finansowe

Przystępuję do sprawozdania finansowego. Na wstępie uważam za konieczne oświadczyć Wam co następuje i co niewątpliwie przyjmiecie z zadowoleniem. Nasza organizacja polityczna znana jest w społeczeństwie żydowskim ze swej solidności pod każdym względem. I tej tak charakterystycznej dla naszego dawnego ruchu solidności finansowej jesteśmy i teraz stale, tradycyjnie wierni. W warunkach konspiracyjnych, o których najstarsi, nie będący tu razem z nami, konspiracyjni działacze nie mogą mieć wyobrażenia, my całą naszą gospodarkę finansową prowadzimy tak, iż jest ona oparta na bezpośrednich aktach i dokumentach kasowych, pokwitowaniach odnośnych czynników i osób w zapisach do ksiąg kasowych przez nas prowadzonych, słowem na zasadach racjonalnej rachunkowości kasowo-finansowej. Jeszcze bardziej dbamy o merytoryczną nie tylko formalną stronę tej gospodarki. Działa w Centr. Kierownictwie Komisja Rewizyjna, która co miesiąc ściśle merytorycznie kontroluje wpływy i wydatki, przeprowadza rozliczenia i sprawdza protokoły. Komisja ta, ciesząc się naszym i Waszym autorytetem organizacyjno-moralnym stwierdza za każdym razem, że gospodarka nasza jest racjonalna i wzorowa. Jej założeniem jest: ściśła oszczędność gdzie można, szeroka pomoc finansowa gdzie to konieczne, wykluczenie uprzywilejowania jakiegokolwiek z równoczesnym rozumieniem potrzeb ogółu naszych „podopiecznych”, bądź bezpośrednio i wyłącznie przez nas utrzymanych, a więc towarzyszy partyjnych i ich rodzin, bądź osób nie związanych z nami organizacyjnie lecz wskutek ustaw faszystowskich cierpiących i prześladowanych, bądź nawet osób aryjczyków, którym z uwagi na ich wartości osobiste uważamy za stosowne przyjść z pomocą, bądź Żydów w ogóle bez względu na polityczną przynależność, których wspomóc wypada.

Ze względów technicznych nie sposób za tak długi okres czasu podać w sprawozdaniu szczegóły tej działalności pod wzglę-

dem liczbowym. Z ogólnych jednak liczb, które Wam poniżej podajemy, zorientujecie się w całokształcie tej naszej finansowej gospodarki, a zarazem sami wysnujecie wnioski odnośnie naszych działań, zadań i potrzeb. A zatem:

I. Wpływy

Otrzymałmy od Was przez delegaturę w banknotach dolarowych i w takiej walucie nam je wypłacono:

A. W roku 1942 w październiku	5.000
W roku 1943 w grudniu	5.000
W roku 1943 w lutym	10.000
W roku 1943 w kwietniu	13.000

Razem dolarów

33.000

B. Następnie otrzymałmy przez delegaturę w złotych polskich:

W roku 1943 1. IX	300.000
W roku 1943 2. IX	345.000
W roku 1943 3. IX	150.000

Razem złotych

795.000

Co wynosiło po przeliczeniu na dolary 10.000 dolarów.

C. Również w złotych polskich otrzymałmy przez delegaturę:

W roku 1943 7. X	500.000
W roku 1943 13. X	700.000
W roku 1943 19. X	194.000
W roku 1943 27. X	456.000

Razem złotych

1.850.000

Co po przeliczeniu na dolary wynosi 15.000 dolarów.

II. Wydatki

Z wpływów wymienionych pod A. zwróciliśmy delegaturze udzieloną nam przedtem pożyczkę (byliśmy bez grosza) w kwocie 15.000 złotych, co wynosi wg. ówczesnego kursu około 300 dolarów. W dolarach zaś wydatkowaliśmy:

A. Zwroty. Wasze zlecenia wypłat i nasze dotacje

a) 5.000 dolarów jako zwrot pożyczonych w dawnym ghetcie warszawskim przez tamtejszych naszych towarzyszy na po-

trzeby organizacyjne (samopomocowe cele przygotowawcze do obrony, wydawniczo-prasowe i inne).

b) 2.000 dolarów nasza dotacja wypłacona dyrekcji „Jointu”.

c) 500 dolarów wypłaciliśmy według Waszego zlecenia Poale Syjon Prawicy.

d) 1.000 dolarów wypłaciliśmy według Waszego zlecenia Poale Syjon Lewicy.

e) 3000 dolarów wypłaciliśmy według waszego zlecenia Poale Syjon Prawicy.

f) 400 dolarów wypłaciliśmy z początkiem maja 1943 K.K. względnie O.B. według dyspozycji naszych towarzyszy w ghetcie warszawskim.

g) 300 dolarów zwróciliśmy wymienionej wyżej delegaturze (15.000 zł.).

12.000 dolarów razem.

B. Wydatki nasze budżetowe

W czasie od połowy października 1942 do 1 lipca 1943 tj. w okresie 8 i pół miesiący budżetowe wydatki nasze wynosiły przeciętnie miesięcznie 2 i pół tysiąca dolarów co za 8 i pół miesiący stanowiło

21.250 dol.

ta suma plus wymieniona pod A

12.200 dol.

daje łączną kwotę

33.450 dol.

czyli na dzień 1 lipca zadłużenie nasze u osób prywatnych wynosiło w dolarach 450 dolarów.

Co obejmowały nasze wydatki? Utrzymywanie naszych paruset towarzyszy, ich rodzin, mieszkania, zaopatrywania w odzież, bieliznę, obuwie, leki, schrony (o ile to potrzebne), wykupywanie z więzień (na ten cel wydaliśmy ogółem 2.000 dolarów), opłacanie szantażystów (przykładowo wymieniono w sprawozdaniu komendanta odcinka frontu O.B.: nasz tow. Rozowski uległ podwójnemu szantażowi, który kosztował 20.000 złotych a jednak po drugim wypadku zginął) oraz wsparcia dla osób na prowincji kryjących się w dzielnicach aryjskich względnie dla rodzin naszych towarzyszy pozostałych przy życiu. Okres miesiący czerwiec, lipiec, sierpień br., kiedyśmy mieli właśnie wskutek wzmożonej akcji likwidacyjnej i rozszerzenia naszych prac największej potrzeb. był dla nas finansowo najtragiczniejszym okresem. Zadużyliśmy się i byliśmy ciągle bez pieniędzy. Groziła katastrofa zwłaszcza dla dzieci, kobiet i tych mężczyzn, którzy musieli być przykuci do swoich mieszkań. Równocześnie zaczęliśmy na szeroką skalę wspólnie z Ż.K.N. prowadzić akcję pomocy dla obozów (Poniatów, Trawniki, Piotrków, Kraków, Lwów, Kielce, Radom,

Lublin i wiele innych punktów) posyłając tam setki tysięcy złotych.

W Ż.K.N. zadłużyliśmy się wówczas na sumę zł. 125.000 oraz z poprzedniego okresu na kwotę 292.000. Aż wreszcie z sum otrzymanych od Was przez Delegaturę we wrześniu, październiku — mogliśmy spłacić wszystkie długi i mieliśmy na bieżące wydatki budżetowe potrzebne fundusze. Rachunek ten przedstawia się za ten okres jak następuje:

Od 1.VII.1943 do 30 listopada 1943

Wpływy (już poprzednio wymienione)

1. IX. 43	300.000 zł.		
2. IX. 43	345.000 zł.		
3. IX. 43	150.000 zł.	Razem	— 795.000 złotych
7. X. 43	500.000 zł.		
13. X. 43	700.000 zł.		
19. X. 43	194.000 zł.		
27. X. 43	456.000 zł.	Razem	<u>1.850.000 złotych</u>
	Ogółem		2645.000 złotych
	oraz w dolarach		8.000 dolarów
			reszta w trakcie dostarczania.

Wydatki

1) Pokrycie deficytu 450 dolarów za czas do 1.VII. 43 tj.	40.000 zł.
2) zwrot Ż.K.N. pożyczki w Kwocie	125.000 zł.
3) udział nasz we wspólnych wydatkach Komisji Koordynacyjnej Bundu i Ż.K.N. (na obozy, O.B. itd.) a przez Ż.K.N. wyłożony na dzień 15. X. za czas od maja 43	292.000 zł.
4) Utrzymanie i zaopatrzenie ludzi (podopiecznych i realizacja budżetu wynoszącego przeciętnie 450.000 miesięcznie, a więc od 1.VII. 43 do 30.XI. 43 tj. w ciągu 5 miesięcy 5 razy 450.000	<u>2250.000 zł.</u>
Ogółem	<u>2606.500 zł.</u>

Ponieważ wpływy wynosiły w tym okresie 2.645.000 otrzymamy na dzień 30 listopada saldo kasowe 38.500 złotych oraz 8.000 dolarów.

W wymienionych wyżej sumach przez nas wydatkowanych mieści się stała nasza dotacja przy Delegaturze. Wynosiła

ona za czas od 1 sierpnia do chwili obecnej kwotę 275.000 złotych. Zaś specjalnie na referat opieki nad dziećmi czynny przy Radzie Pomocy wpłaciliśmy jednorazowo w październiku 25.000 zł. Zaznaczamy i tutaj, że nasi towarzysze lub ich rodziny będące na naszym wyłącznym utrzymaniu z funduszu Rady nie korzystają i nie korzystali. Sumy, które nasz przedstawiciel zasiadający w Radzie rozprawdza za pośrednictwem swoich ognisk łącznikowych wśród kilkuset (w tym miesiącu z górą 400) podopiecznych Rady, a z funduszu Rady przezeń podejmowanych, dotyczą osób nic z naszą organizacją nie mających wspólnego, a jednak będących w naszym zasięgu czy to przez osobiste znajomości i kontakty z pokrewnymi organizacjami, czy z powodu innych okoliczności. Rzecz prosta, że te sumy absolutnie nie są brane pod uwagę w powyższym naszym sprawozdaniu. Jest to odrębna rachunkowość, która podlega kontroli Rady podobnie jak sumy przez przedstawicieli innych stronnictw, będących w Radzie rozprawdane. Wspominamy jednak o tym na tym miejscu dla porządku i jasności obrazu.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga. Dotyczy ona Komisji Koordynacyjnej Ż.K.N. i Bundu. Piszę na innym miejscu o tej działalności naszej na tym odcinku. Finansowa strona tej działalności przedstawia się następująco. *Komisja Koordynacyjna nie ma własnego budżetu ani własnej kasy.*

Wydatki przez nią wykonane są jak już powyżej zauważyłem na podstawie porozumienia obu koordynujących ze sobą stron de casu ad casum i na konkretne wspólnie ustalone cele samopomocy i Ż.O.B. Każda ze stron wnosi odpowiednie kwoty z własnych kas organizacyjnych w stosunku 40 do 60, a ostatnio 50 do 50 pokrywanych przez Bund i Ż.K.N. Planowanie wydatków odbywa się w ramach spraw należących do wspólnego zakresu koordynowania wspólnie. Własną zaś gospodarkę finansową prowadzimy wg. własnych budżetów organizacyjnych stosownie do aktualnych możliwości i potrzeb.

Nie bez korzyści będzie dla Was następujące wyjaśnienie: pozornie wydawać się może paradoksalne, że akuratnie w okresie, gdy postępuje naprzd szybka i na szeroką skalę eksterminacja Żydów nasze budżety rosną i rozszerzają się.

A jednak nie jest to przypadkiem. Ogrom odpowiedzialności, jaka na nas spoczywa za losy ostatnich resztek tępionych Żydów, zmusza do nadmiernych wysiłków. Każda jednostka, nie mówiąc już o całych grupach żyjących jeszcze w skupiskach (obozach, bunkrach itd.), staje się dla nas bezcenną wartością społeczną, nad którą musimy roztoczyć opiekę. Omawiana paradoksalnie sytuacja jest pozorną. Świadczy ona tylko o wyjątkowości stosunków, w jakich na ogół działać wypada.

Kończąc tę część sprawozdania, a zarazem jego całokształt zwracam uwagę Waszą na fakt coraz to nowych potrzeb finansowych — i na to co jest Wam dobrze znane, że jesteśmy jako organizacja zdani *tylko* na Waszą pomoc, bo my znikąd ani

nie chcemy ani nie powinniśmy otrzymywać pomocy, tylko od naszego partyjnego przedstawicielstwa. Pamiętajcie więc o tym stale, aby nie miały miejsca fakty z niedawnej przeszłości, gdyśmy w ciągu tyłu miesięcy byli bez grosza i groziła nam, i przez to setkom rodzin, katastrofa. Sporządźcie też ścisły wykaz sum nam w ciągu całego czasu przysyłanych i nadesłajcie informację odnośnie Waszych intencji na przyszłość, względnie planów.

Odpowiedzcie wreszcie na pytania, czy wysłaliście kiedykolwiek jakieś sumy wspólnie dla Z.K.N. i dla nas, bo my o tym nic nie wiemy i takich sum wspólnych nie otrzymaliśmy.

Ponadto proszę o wyjaśnienie czy w ogóle jakiejkolwiek sumy tu do kraju dla wszystkich Żydów zostały przesłane i przez kogo.

Załączamy serdeczne pozdrowienia partyjne z prośbą o natychmiastowe zawiadomienie nas o fakcie odbioru przez Was niniejszego sprawozdania.

Za Centralne Kierownictwo R.Ż.M.P. w Polsce

BEREZOWSKI

Warszawa, 15 listopada 1943 r.

9. KORESPONDENCJA Z OBOZU OSWIĘCIM

Załącznik do pisma Centralnego Komitetu Robotniczego P.P.S., z daty 10 stycznia 1944 r., przesyłka 1/44, list nr K. 70, adresowanego do Komitetu Zagranicznego P.P.S. na ręce tow. Kacpra (Kwapińskiego) i Kremerowskiego (Ciolkosza). W dopisku: „Przesyłamy z prośbą o jak najszersze wykorzystanie raportu naszego towarzysza z Oświęcimia”. Z raportu, obejmującego okres październik, listopad, grudzień 1943 r., podaję poniżej tylko jego pierwszą część:

Jak już donosiliśmy w miesiącu październiku na terenie obozu zostały przeprowadzone masowe aresztowania prawie we wszystkich blokach. Aresztowania te polegały na osadzeniu w bunkrach wszystkich podejrzanych o jakkolwiek robotę organizacyjną. Ofiarą wtedy padło dużo grup wojskowych na czele z płk. Gilowicz-Lisowskim-Stamirowskim. Poza tym wiele innych osób cywilnych. Wszystkich rozstrzelano. Rozstrzelanie tej grupy było prawie ostatnim aktem krwawej roboty kierownika wydziału politycznego obozu, a w szczególności Bogera przed nagłą zmianą kursu, w drugiej połowie listopada.

Jeszcze w dniu 9. 11. wywieziono z bunkru grupę ludzi i rozstrzelano w Birkowcu. Razem z wojskowymi został rozstrzelany przywódca ONR Mosdorf. Był to jeden z nielicznych nacjonalistów, który w obozie zachował się jeśli idzie o stosunek do współwięźniów i innych narodowości jak prawdziwy Polak. Był on Pflegerem na Krankenbau. Doniósł go do kierownika politycznego inny współwięzień Białorusin, obecnie Volksdeutsch, ochotnik do wojska niemieckiego Zenon Łowski, który wyraził się dosłownie: „My tego Mosdorfowi nie zapomnimy, że wtedy gdy my prowadziliśmy tak owocną walkę z Żydami, to pan Mosdorf chodził pod rękę z Żydami i komunistami”.

10. ZARZĄDZENIE NACZELNEGO WODZA P.S.Ż.

Minister Obrony Narodowej
DZIENNIK PERSONALNY Nr 2
Londyn, dnia 15 maja 1944 r.

II. Zarządzenia Naczelnego Wodza

Na podstawie art. 4. lit. d. i e. oraz art. 9 ust. 1 ustawy z dnia 23. III. 1933 r. o orderze wojennym „Virtuti Militari” (Dz. U.R.P. Nr 33 poz. 285)

nadaje
Krzyż Srebrny Orderu Wojennego „Virtuti Militari” V klasy

bl. pam. inż. Klepfiusz Michałowi

w uznaniu męstwa osobistego i wybitnych czynów bojowych wykazanych w czasie walk w ghetcie w Warszawie w 1943 r.
(zarządzenie L. dz. 159/GNW, z dnia 18.2.1944 r.)

Naczelną Wódz Sosnkowski, Generał Broni

SPROSTOWANIE

Do pierwszej części powyższego zbioru dokumentów w numerze 3/137 „Kultury” zakradły się następujące omyłki: Na str. 82, zdanie 2-e w dokumencie nr 1 powinno zaczynać się „Czterysta tysięcy mężczyzn, kobiet, starców i dzieci, należących do niewolników ostatniej kategorii”; w wierszu 7 od dołu jest „ona”, winno być „on”; w wierszu 3 od dołu jest „czy”, winno być „i”. Na str. 83 w wierszu 13 od góry jest „ich”, winno być „już”. Na str. 84 w wierszu 14 od góry jest „Wolności Warszawy”, winno być „Wolnej Warszawy”; w wierszu 17 od góry jest „Wolności i pozwoli”, winno być „Wolności — pozwoli”. Na str. 85 w wierszu 6 od góry jest „z Belźcu”, winno być „w Belźcu”; w wierszu 20 od góry jest „bronią”, winno być „broniąc”. Na str. 90 w wierszu 18 od góry jest „zewpatrz”, winno być „zewnatrz”. Na str. 92-93 w liście poległych obrońców ghetta warszawskiego należy następująco sprostować szereg nazwisk: Aresztejn Zachariasz (D), Finkelsztejn Majorek (D), Kerenbrunn Alma (HH), Szajngot Tuwia (Tadek, HH), Sztengel Moniek (D) i Wengrowicz Jehuda (HH), oraz dodać jedenaście nazwisk: Baczyński Szlama (HH), Pelc Baruch (B), Perlsztejn Łaja (D), Pachol Chawa (D), Pasmanik Rebeka (A), Praszkiel (HZ), Perelman Meylech (B), Puttermilch Jakub (G), Papier Zygmunt (PL), Plotnicka Chańcia (D) i Papierówna (PL). Skrót HZ oznacza Hanoar Hacyjoni. Należy również poprawić następująco listę poległych wedle przynależności organizacyjnej: Akiba 8, Bund 32, Dror 84, Gordonia 8, Haszomer Hacair 36, Hanoar Hacyjoni 4, Lewica tj. komuniści 35, Poale Syjon Lewica 10, Poale Syjon Prawica 6, nieokreślony 1, razem 224. Wreszcie należy dodać, że odpis sprawozdania ppłk. Webera (str. 86-89) otrzymałem — tak samo jak odpis relacji kpt. Pszennego — ze zbiorów Studium Polski Podziemnej w Londynie, gdzie znajduje się oryginał.

Ponadto w numerze 4/174 „Kultury” na str. 120 w wierszu 16 od dołu jest „chazak weemac”, winno być „chisku weimicu”.

A. C.

Książki

Zwierciadło dyrektora teatru

Sredniowiecze i epoka Renesansu z zamiłowaniem uprawiały rodzaj literacki, który nazywał się „speculum” czyli zwierciadło. Łączył on w sobie znamiona portretu idealnego z pouczeniem. Np. „Speculum principis” czyli zwierciadło księcia stawiło przed oczy wzór i wskazywało jak należy do niego dążyć, jakie warunki trzeba spełnić, żeby się zbliżyć do ideału.

Myślałem o tej odległej praktyce literackiej czytając nową książkę Arnolda Szyfmana: „55 lat w teatrze” (1). Najwięcej i najściślej można by ją określić jako zwierciadło dyrektora teatru. Jej środek zresztą zajmuje szkic, który dokładnie przystaje do tego określenia rodzajowego. Jest to odczyt o dyrektorsze doskonałym, wygłoszony przez Szyfmana w Pradze w r. 1930. Cała książka stanowi jakby ilustrację dążenia do tej mety we własnym życiu, własnym działaniu praktycznym.

To działanie obejmuje więcej niż pół wieku i ma dwie dominanty: Teatr Polski w Warszawie sprzed pierwszej wojny i Teatr Wielki w Warszawie po drugiej wojnie światowej. W historii naszej sceny nie było człowieka, z którego nazwiskiem łączyłyby się tak znaczące historycznie wydarzenia, takie dwa materialne znaki, dwa monumentalne gmachy. Przypuszczam, że nie ma zbyt wielu takich ludzi w historii teatru powszechnego.

Naturalną kolejną rzeczą najcenniejsze i najciekawsze grupy artykułów w zbiorze dotyczą tych dwóch instytucji. Teatr Pol-

(1) Arnold Szyfman: „55 lat w teatrze”. Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe. Warszawa 1961. Stron 298.

ski powstał dzięki zabiegom Szyfmana w r. 1913; był on jego kierownikiem w sumie lat czterdzieści. Teatr Wielki ma w r. 1963 zacząć działalność jako reprezentacyjna siedziba opery i baletu; Szyfman jest kierownikiem jego budowy od lat z górą dziesięciu.

Teatr Polski, „teatr na wskroś nowoczesny, w owym czasie nie tylko najnowocześniejszy w Polsce, lecz nie ustępujący pod tym względem innym teatrom dramatycznym w Europie” — pomyślał Szyfman jako scenę prywatną. Był to pomysł zuchwały, jeśli się zważy, że w stolicy „Przywiślańskiego kraju” prawie od stu lat istniał monopol teatrów rządowych, polskich z języka, carskich z ustroju wewnętrznego. Szyfman przełamał ten monopol, zainicjował rewolucję organizacyjną i artystyczną, utrzymał niezależny charakter Teatru Polskiego do r. 1925. Książka odświeża rozmaite, także późniejsze, perypetie tej imprezy, pokazuje jej powiązania z podłożem gospodarczym, ze środowiskiem społecznym, z odbiorcą i krytyką.

Z Teatru Wielkiego po ostatniej wojnie pozostało usypisko gruzów osłonięte skrzydlatą fasadą Coraziego. Pod kierownictwem Szyfmana na tym miejscu wyrasta „gmach teatralny nie tylko największy w Polsce, ale jeden z największych w Europie”. Zajmuje on przestrzeń trzykrotnie większą niż dawny, będzie miał widownię dwa razy obszerniejszą, mogącą pomieścić 2.000 widzów, scenę stanowiącą ostatni wyraz techniki. Połączy w jednym obrębie: pracownię, magazyny, szkołę baletową (już wykończoną i czynną), muzeum teatralne również już otwarte, trzecie tego rodzaju po Wiedniu i Moskwie, wreszcie studium operowe. Książka pokazuje narastanie tego projektu, jego przyoblekanie się w ciało. Nie ma powodu wątpić, że jest to „jeden z najnowocześniejszych i najbardziej sumiennie przemyślanych warsztatów teatralnych tak pod względem funkcjonalnym jak artystycznym”. Ale trzeba stwierdzić, że wywołuje on głosy sprzeciwu i jego wartość będzie można ocenić dopiero w praktycznym działaniu.

Dwukrotnie przypadła Szyfmanowi w udziale szansa budowania warsztatu, na którym się pracuje, konstruowania instrumentu, na którym się gra. To sprawia, że jego książka pozwala wejrzeć w sam środek, w najtajniejsze tryby mechanizmu teatralnego. W świetle tej książki Szyfman ukazuje się przede wszystkim jako budowniczy i technolog, organizator, dyrektor i kierownik gospodarczy teatru, „jednego z najbardziej skomplikowanych przedsięwzięć”. Sam stwierdza, że właśnie ta jego strona pochłaniała „trzy czwarte jego energii, umiejętności i doświadczenia”.

Zwierciadło odbija wyraziście konkretność, praktyczność, rzeczowość organizacji umysłowej Szyfmana. Jeśli jest to marzyciel, to myślący konkretami, stawiający marzenie na ziemi. Przyziemność myślenia ma swój odpowiednik w stylu związłym i trzeźwym, niekiedy raczej brzydkim niż wdzięcznym („Erynie

z wężymi włosami", „zopereciaty", potwór językowy „unikalny" w znaczeniu jedyny). Czasem ten styl osiąga efekty zabawnej naoczności: „Biedna Warszawa — czytamy w artykule z r. 1919 — zjada codziennie w jednej tylko cukierni warszawskiej 22.000 pączków po 75 fenigów, co stanowi pełne codzienne teatry: Polski, Rozmaitości i Letni".

Ten praktycyista opiera każde swoje działanie na ścisłym rachunku, ale również na podłożu teoretycznej wiedzy, na historycznej znajomości problemu. „Ex re" Teatru Wielkiego znajdujemy w książce historię opery i baletu na ziemiach polskich. Gdy Szyfman zabiera głos w sprawie projektowanego „Amfiteatru śląskiego", legitymuje się znajomością teatru na wolnym powietrzu (rzadko kiedy zdarza mu się coś pominąć, np. usiłowania L.H. Morstina świeżo i szczegółowo opisane w „Przygodach teatralnych"). Ta pedanteria rzeczowości jest zawsze pouczająca, a niekiedy — rewelacyjna. Żeby się posłużyć tylko jednym przykładem z historii baletu: Szyfman naliczył (zastrzega się, że „dotychczas", że rachunek nie jest zamknięty) ponad 40 nazwisk tancerzy i tancerek polskich w słynnych na cały świat „Ballets Russes" Diagilewa. W r. 1921 wśród 24 tancerzy tych „Ballets" było 18 Polaków, w zespole Pawłowej na 12 tancerzy i tancerek, 11 wywodziło się z Polski!

Szyfmanowskie „Speculum" pokazuje dyrektora nie tylko w funkcjonowaniu, ale również w wywodzie genetycznym, w kształtowaniu się i wzroście. Poszczególne działy książki szeregują prace chronologicznie. Pierwszy z nich nosi nawet tytuł „Lata terminatorskie w teatrze". Pominięto tu próby dramatyczne („Fifi", grana w 1906), próby organizacyjne („Figliki" w Krakowie, „Momus" w Warszawie), znane od niedawna skąd inąd. Wysłunięto na czoło korespondencje o teatrach zagranicznych, ogłaszane w „Krytyce" Feldmana w latach 1904-1906. Podróż artystyczna była dla Szyfmana i pozostała do dzisiaj ważnym, istotnym zabiegiem samokształcącym, rozszerzającym widnokręgi. W młodości Szyfman ciężył głównie do Niemiec i Austrii, do Francji i Włoch w drugim rzucie, jako człowiek dojrzały przymusowo zetknął się z teatrem rosyjskim, w okresie późniejszym i ostatnim rozszerzył krąg zainteresowań na Anglię i Stany Zjednoczone. Jako kierownik budowy Teatru Wielkiego odbył specjalne podróże eksploracyjne na Zachód i na Wschód. Niemal każda relacja jest instruktywna, mówi coś istotnego o podróżniku lub o opisywanym zjawisku: „Widziałem — stwierdza Szyfman w jakimś miejscu — większość baletów Diagilewa na scenie i śledziłem uważnie rozwój jego działalności od pierwszego występu w Paryżu". Ludzi, którzy mogą to napisać, jest już niewiele. W Polsce Szyfman jest chyba jedyny.

Można o nim powiedzieć, że jest zawsze *au courant*, i *à la page* tego co się dzieje w teatrze, a zwłaszcza w dziedzinie technologii i architektury teatralnej. Ciekawe, że nawet kryzys

repertuaru szekspirowskiego (n.b. nie ma o nim mowy w ojczyźnie Szekspira) sprowadza Szyfman do budownictwa i tu wskazuje sposób jego zażegnania. Gdzie indziej natykamy się na etykietę: „elektro-akustyka, nauka zupełnie nowa o bogatej literaturze". Nie można mieć wątpliwości, że Szyfman jest w tej literaturze na tyle zorientowany, że potrafiłby ją wyłożyć z taką samą prostotą i przejrzystością jak jaką napisana jest cała książka.

W ogóle Szyfmana cechuje zadziwiająca chwytność, zdolność wyczuwania, łapania w powietrzu idei, prądów i zjawisk. Odbiór „ojca reformy teatralnej" Craiga w Polsce umieszczam pod koniec pierwszej dekady tego wieku. Gdzieś około r. 1908 Tadeusz Pawlikowski udzielił mu miejsca w lwowskim „Kraju" i nawiązał z nim nieujawnioną dotąd korespondencję. W tym samym czasie młody Leon Schiller spotkał się z Craigem na paryskim bruku i miało to być jedno z płodniejszych spotkań w historii nowoczesnego teatru polskiego. Teraz okazuje się, że Szyfman wyprzedził ich obydwu. Znał pierwszy dialog Craiga o „Sztuce teatru", wydany wprawdzie po niemiecku już w r. 1905 i pisał o nim w roku następnym.

Wzorem dla Szyfmana był bodaj nie Craig, ale Reinhardt. Poświęca mu słowa zdradzające u tego trzeźwogłowca zapatrzenie się i urzeczenie: „Człowiek — pisze on o Reinhardzie — który z jednej strony jest przepysznym aferzystą z otwartym okiem na życie praktyczne, z drugiej reżyserem o zupełnie niezwykłym, bujnym talencie...".

Książka Szyfmana dowodzi, że nie udało mu się osiągnąć tego ideału. Z przyczyn zewnętrznych, ale również z temperamentu był organizatorem, „politykiem teatralnym" (jak go nazywa w przedmowie Edward Csató) w nieporównanie większej mierze, niż artystą teatru. Otworzył Teatr Polski słynną inscenizacją „Irydionu", ale w ciągu ćwierćwiecza jego istnienia wystąpił jako inscenizator wszystkiego dziewięć razy. Teatr Polski stanowi dzieło Szyfmana jako akt przełomu, dokonanie materialne i duchowe, całość kierowana jedną wolą, ale jego indywidualny wkład twórczy jest niewielki.

Credo artystyczne, dające się wyczytać z kart książki, budzi zainteresowanie właśnie z uwagi na tę całość. W dialogach, naśladowujących formę craigowską bez jej nieobliczalnej kapryśności i oryginalności, Szyfman deklaruje się jako zwolennik teatru antyiluzjonistycznego i teatru reżyserkiego. W usta dramaturgów wkłada apoteozę reżysera, „który wszystko trzyma w rękę, od którego wszystko zależy, który nadaje dramatu jednolitą barwę, nie dopuszcza, by powstały dysharmonie i niekonsekwencje... wprowadza w dramat swoje jednolite pojęcia i odczucia, swoją indywidualność, i zaznaczyć ją jest w stanie tak wyraźnie jak autor dramatu". Z czasem przejdzie Szyfman na stanowisko przeciwstawne, rozczaruje się do teatru reżysera, opowie się za teatrem autora. „Eksperymenty insceni-

zacyjne — czytamy w wypowiedzi o dwadzieści kilka lat później — które miały zastąpić autora i dać masom to zadowolenie jakiego nie dostawało słowu, zawiodyły na całej linii”. Z tego wynika aksjomat: „repetuar decyduje o wszystkim w teatrze”. Całą książkę przenika troska o repertuar, ciągle szukanie praktycznych rozwiązań także w tym zakresie. W r. 1929 wystąpił Szyfman z pomysłem udzielania dyrekcjom teatrów premii za każdy udany debiut dramatopisarski, co Ford wprowadził w życie ale trzydzieści lat później.

Najlubszą stroną książki Szyfmana są partie literackie, Szyfmanowi zbywa na kulturze i wrażliwości estetycznej. Analiza „Lira” wydaje się na tle dzisiejszego stanu wiedzy i współczesnego odczuwania żenująco płytka. Trudno by było obronić twierdzenie, że „Anhelli” i „Beniowski” nie noszą śladu jakichkolwiek wpływów; wpływ „Don Juana” Byrona na „Beniowskiego” można dostrzec gołym okiem, nieuzbrojonym w „szkiełko” uczonego-wpływołoga. Dziś już nie wolno twierdzić, że dramat Słowackiego wywodzi się tylko z Szekspira; w równej mierze wywodzi się z romantycznego teatru francuskiego. Nie bardzo wolno, jeśli jednocześnie stwierdza się, że prace zebrane w tomie uległy „poważnym skrótom, przedstawieniom, przeróbkom i dopełnieniom”.

Z punktu widzenia metody historycznej budzi to sprzeciw. Bez możliwości porównania obecnego tekstu z pierwodrukami, nie zawsze wiadomo co usunięto, co dodano, co wyraża dawny a co dzisiejszy pogląd autora. To założenie zmniejsza wagę „55 lat w teatrze” jako dokumentu historycznego, od innej strony zbliża je do „speculum”, do zwierciadła idealnego (oczywiście z nieuniknionymi skazami). Jest to bardziej książka o dzisiejszym człowieku, niż o jego drodze życiowej.

Powstała ona jako wytwór uboczny, jako typowo szyfmanowski etap przygotowawczy do pamiętników, które będą nosiły tytuł: „Labyrinth zwany teatrem” (jest uderzające jak wszyscy ludzie pokolenia Szyfmana nie mogą się uwolnić od sugestii Wyspiańskiego — ten tytuł, jak nazwanie olbrzymiej summy Leona Schillera „Teatr ogromny”, wywodzi się z jednego źródła, jest tytułem aluzyjnym, nawiązującym do dedykacji książki o „Hamlecie”). Pamiętniki przyniosą bogatszy materiał, bardziej systematyczny układ, akcenty polemiczne. Będą one zapewne jedną z ważnych książek o teatrze polskim, ale należy wątpić czy zmienią zasadnicze proporcje zjawiska odbite w zwierciadle, które otrzymaliśmy teraz. Jest to zwierciadło urodzonego dyrektora teatru, mimo wszystkich przeciwności losu urodzonego pod szczęśliwą gwiazdą na wyjątkowo bogate i pełne życie.

Tymon TERLECKI

Trylogia o Kordianie

Mogłoby się zdawać, że po długim ciągu prac o Mickiewiczu i Słowackim, że po Kleinerze i Pigoni, nie ma już nic do powiedzenia na temat tych dwóch poetów. **Angielska książka** Wiktora Weintrauba, poświęcona Mickiewiczowi, niedawno wydana książka Jarosława Maciejewskiego o „Kordianie” (1) dowodzą czegoś przeciwnego.

Obie zresztą łączy ten sam nowatorski, a wolny od doktrynerstwa stosunek do wielkich zjawisk. Obie są świadectwem dużej wyobraźni naukowej i szczególnie wyostrożonego krytycyzmu — tylko z takim uzbrojeniem można się przebić przez komentarz, obciążający twórczość wielkich romantyków i otworzyć w nim wyłom ku nowemu światłu. Praca Maciejewskiego jest tym godniejsza uwagi, że stanowi prymicję badawczą.

Cała jej nowość zawiera się w podtytule „dramatyczna trylogia”, gdy podtytuł „Kordiana” w prawydanym paryskim z r. 1834 brzmi: „Część pierwsza trilogii. Spisek koronacyjny”. Nie ma żadnych materialnych dowodów na to, że istniała część druga, druk trzeciej części był zapowiedziany i o jej zniszczeniu zachowało się bezpośrednie świadectwo poety. Według wszelkiego prawdopodobieństwa część druga nie wyszła poza stadium planów i szkiców, trzecia była skończona lub prawie skończona.

Jak wyglądała ta całość niewątpliwie istniejąca w zamyśle twórczym i w zarysie pisarskim? To jest pytanie, które sobie postawił Maciejewski. W tym pytaniu tai się zarówno dla badacza jak i dla czytelnika bodziec, podniecający wyobraźnię i emocje, by zobaczyć kształt, który kiedyś w jakiejś postaci istniał, a którego nie ma i nigdy nie będzie, by odtworzyć bodaj kontury owego kształtu.

Główną podstawą rekonstrukcji jest istniejący tekst części pierwszej czyli „Spisku koronacyjnego”. Jeśli Słowacki zamyslał i zapowiedział na karcie tytułowej dalsze części, część wstępna musi je zawierać *in nuce*, w stanie załączkowym. To założenie Maciejewskiego ma analogie w innych dyscyplinach. Filologowie klasycyści w podobny sposób na podstawie zachowanego fragmentu tragedii odtwarzają jej całość. Historyk architektury potrafi w jednej nawią otworzyć przypuszczalny kształt dwóch innych, dopisać na planie poziomym i poprzecznym ich idealne istnienie.

Przy takim założeniu wyjściowym rzecz Maciejewskiego jest przede wszystkim nową monografią „Kordiana”, tego, który

(1) Jarosław Maciejewski: *Kordian, dramatyczna trylogia*. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1961. Stron 264 i 34 ilustracje.

stanowi obiektywny, sprawdzalny fakt literacki, wraca ciągle na sceny polskie, budzi wzruszenia estetyczne. W tym zakresie młody monografista zdradza wyraźny dar analizy, świeżość spojrzenia, niezależność od znakomitych, doświadczeńszych poprzedników.

Rozbiór istniejącego tekstu Maciejewski wsparł bardzo rozległą aparaturą historyczno-literacką, odsłonięciem podłoża faktycznego, biograficznego, a nawet lokalnego. Chyba pierwszy w tym stopniu uznał „Kordiana” za „dramat sytuacji, dramat miejsca” w znaczeniu, w jakim dramatami miejsca i sytuacji są dzieła Wyspiańskiego.

W otoczu, w które wpisał utwór Słowackiego, najciekawszy i najbardziej odkrywczy jest kontekst teatralny. Na przekór długiej tradycji głoszącej, że „Kordian” należy do typu „Lese-drama”, dramatu niescenicznego Maciejewski przekonywająco dowodzi, że przeciwnie był on pomyślany teatralnie i inspirowany przez współczesny teatr francuski. Schodzi się tutaj ze swoim kolegą, Zbigniewem Raszewskim, który prowadzi systematyczne badania idące w tym kierunku (obaż zresztą są wychowankami uniwersytetu w Poznaniu i uczniami Zygmunta Szwejkowskiego).

Monografiście „Kordiana” i rekonstruktorowi zniszczonych części dalszych trylogii pod tym tytułem udało się dotrzeć do tekstu widowiska, które bodaj ponad wszelką wątpliwość było natchnieniem Słowackiego. Ukazało się ono z końcem 1832 r. w paryskim Cirque Olympique, łączącym scenę teatralną z cyrkową areną, umożliwiającym ruchy tłumów, parady i bitwy, błyskawiczne „zmiany otwarte” dekoracji, dokonywane na oczach publiczności, ukazywanie dziwów przyrodniczych i nadprzyrodzonych. Nazywało się „Les Polonais”, jego autorem był niejaki Prosper le Poitevin de Lagreville. Premierę oglądali Chopin, Słowacki i niejednen z bohaterów świeżych wydarzeń m.in. Lelewel. Monstrualna bujda w czterech aktach i 12 obrazach odtwarzała dopiero co dobite powstanie listopadowe jaskrawymi kolorami brawurowo patetycznego patriotyzmu, przy surmach nawołujących do solidarności polsko-francuskiej. (N.b. Powstania 1944 r. nikt na Zachodzie nie potwierdził ani w podobny, ani w godniejszy sposób — jednak nie we wszystkim świat „idzie naprzód”).

Widowisko było dowodem reporterskiej obrotności, ale i dobrej woli. Drażniło Polaków ignorancją, powierzchownością, splecieniem, ale jednocześnie poruszało ich jako akt samorzutnej propagandy. Słowackiego ten rzemieślniczy produkt pobudził dwojako. Pomógł mu uprządkować, poetycko zobiektywizować własny stosunek do atmosfery przedpowstaniowej i powstania. Podniecił jego ambicję do stworzenia widowiska na wielką scenę, właśnie w rodzaju Cyрку Olimpijskiego. „Wykorzystując zdobyte techniki i sugestywność iluzji zapragnął dodać do wido-

wiskowej feerii głębie myśli, kunszt kompozycji dramatycznej i wspaniałość poetyckiego słowa”.

Zachowany tekst francuskiego sztukoroba umożliwił interesującą charakterystykę „Kordiana” jako dzieła teatralnego i jest pomocą w odtworzeniu faktury scenicznej dalszych jego części. Maciejewski przypuszcza, że przedstawiały one najważniejsze wypadki powstania: zamachy i starcia zbrojne, posiedzenia sejmu i zamieszki uliczne. „Wszystko to z pewnością miało się rozgrywać przy twórcze muzyki, okrzykach tłumy i huku dział”.

Analiza własnych dzieł Słowackiego, śledząca wątki i motywy powrotne jego twórczości (to jest tor, który wytyczył Kleiner w swojej monografii), analiza tła politycznego, przeżyć i przemyśleń osobistych, literatury powstającej współcześnie, przede wszystkim żarliwej publicystyki Mochnackiego, po raz pierwszy uwzględnionej tak szeroko w tym związku — pozwala monografiście ze sporą siłą sugestywną wywołać przed naszymi oczami zaginioną partię trylogii o Kordianie. Punktem węzłowym drugiej części była, według niego, bitwa grochowska, w której Kordian brał czynny udział. Punkt węzłowy trzeciej części stanowił upadek Warszawy, na której szczytach Kordian ginął, wieszcząc zmartwychwstanie Polski.

Ten gruby schemat treściowy wypełnia Maciejewski tkanką bardziej subtelnej gatunku. Dowodzi, że niedawne wypadki i osobiste perypetie romantycznego bohatera były „tylko szatą, ciałem dla ogólnego poglądu na historię narodu i Europy”. Ten pogląd kształtował się w opozycji wobec Mickiewicza i jego mistrza Lelewela. Przeciwstawiał się walenrodzizmowi, akcji spiskowej i naukom „Ksiąg pielgrzymstwa”. Ujmując rzecz w proste symbole Słowacki wyrażał przekonanie, że drogę do przyszłości wytycza nie sztylet, ale „poświęcony w kościołach pałasz”, nie „podstęp i zdrada”, ale otwarta walka na polu bitwy. W jeszcze głębszym podłożu dzieła tkwiła historiozofia, uogólniające spojrzenie na dzieje Polski i Europy: światem rządzą szatańskie siły, ale zawsze, nawet w najkrytyczniejszych chwilach, wdanie się Boga może uratować indywidualnego bohatera i zbiorowość narodową.

Nasuwa się pytanie dlaczego Słowacki spalił dalsze części, a na pewno część trzecią tego ambitnego dzieła? Maciejewski wysuwa przypuszczenie, że stało się to pod wpływem przyjaźni z Krasińskim, w innym zakresie tak błogostawionej i płodnej „Poeta bezimienny” i samorodny krytyk literacki niezbyt cenil „Kordiana”. Sam Słowacki przeczytawszy jesienią 1838 r. „Irydioną” doszedł do przekonania, że jego młodzieńczy plód nie zasługuje na to, by mu nadać kształt ostateczny i pokazać światu.

Być może. Tylko to jest pewne, że odległa decyzja poety stała się dla młodego historyka podniętą pracą. Ale nie byłoby słuszne traktować ją jako rekonstrukcję dla rekonstrukcji, odtwarzanie czegoś czego naprawdę odtworzyć nie można. Wiel-

ki, złożony wysiłek podjęto dla zrozumienia rzeczywiście istniejącego utworu, tej jego części, która nas doszła. Maciejewski ma słuszną rację mówiąc, że bez „koncepcji całościowej” trudno wyjaśnić zawilgości kompozycyjne i niemniej liczne zagadki treści „Kordiana”. Stworzył taką koncepcję jako nowy, obszerny komentarz.

To założenie kryje w sobie niebezpieczeństwo „wczytania w tekst” tego czego w nim nie ma, wyczytywania z niego co się chce wyczytać, niebezpieczeństwo autosugestii i próbowania własnej siły sugestywnej na czytelniku. Mimo ostrożności i powściągliwości Maciejewski nie ustrzegł się przed tym niebezpieczeństwem (jeden przykład: „hostie mszalne” objaśnia jako „symbol pierwiastka religijnego lub raczej klerykalnego” — owo „raczej” w tym kontekście jest rozbrajające).

Również od strony formalnej jego praca zdradza niejedną słabość. Szczególnie brzdąca w niej brak umiejętności czy wprawy w ogniskowaniu wywodów; rzecz często robi wrażenie nie książki skomponowanej według jednolitego planu, ale luźnych rozpraw. Obciąża ją nadmiar surowego materiału i dygresji. Znaczą ją młodzieńcza cecha: uleganie urokom własnych odkryć.

Ale z tym wszystkim książka o „Kordianie” jest nieprzeciętnym debiutem naukowym. Przynosi liczne zdobycze i powodzenia. Obiecuje jeszcze więcej.

Tymon TERLECKI

Nadesłane nowości wydawnicze

LEC (Stanislas). *Unkempt Thoughts*. Translated by Jacek Galazka. Introduction by Clifton Fadiman. Str. 160. (Ed. St. Martin's Press, New York, 1962, cena dol. 3,75).

TERLECKI (Tymon). *Pani Helena*. Opowieść biograficzna o Modrzejewskiej. Str. 281 i 9 nlb. Tom XLI Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, luty 1962, cena 25 sh.).

SW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna*. Tom 21. Męstwo (2-2, qu. 123-140). Przeł. i opatrzył objaśnieniami ks. Sta-

niślaw Belch. Str. 209 i 5 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, marzec 1962).

RASIN (Miroslav). *Uhlem na oblohu*. Str. 107. (Wyd. University Press Co., New York, 1961, cena dol. 2,00).

SKOCZYLAS (Adam). *Stefano we shall come tomorrow*. Str. 34 i 10 ilustracji. (Publ. Poets' and Painters' Press, London 1962).

Le mur de Berlin. *Un défi aux aux droits de l'homme*. Pp. 57 i 3 nlb. (Wyd. Commission Internationale de Juristes, Genève, 1962).

Listy do Redakcji

Haan/Rhein, 9 maja 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytując wywody utalentowanego publicysty p. Mieroszewskiego, nie mogę się czasem oprzeć wrażeniom, jakoby p. Mieroszewski jest zarzucał mi że „pożądał wszystkie rozumy”. Po prostu choćby dlatego, że Mieroszewski uważa, iż jego wnioski i tezy polityczne winne być wyrocznią dla wszystkich czytelników i polityków.

Nieprawdą jest, że 80% „polonologów” niemieckich pochodzi z terenów zza Odry i Nysy. Na nieznanym zagadnieniu bazuje też twierdzenie p. Mieroszewskiego, że większość owych „polonologów” nie posiada praktycznego doświadczenia. Czyżby p. Mieroszewski nie słyszał o młodej generacji przesiedleńców? (W żargonie tzw. Polski Ludowej tzw. „Autochtoni”). Są w NRF — i to bez przesady — młodzi akademicy tej generacji, którzy posiadają nieco świeższą praktykę a być może i rozeznanie polskiej problematyki wewnętrznej, aniżeli dwudziestoletni emigrant Mieroszewski. Ludzie ci mają poza tym jedną istotną zaletę, że są pozbawieni nacjonalizmu. Wiedzą oni też, że to co głosi p. Mieroszewski nie pokrywa się często z poglądem polskiej opinii publicznej.

Pan Mieroszewski zbyt często zapomina, że polityka a publicystyka to dwa zupełnie odmienne zagadnienia. Dla „niemcologa” Mieroszewskiego jedynie prasa lewicowa w NRF jest „realną”. Tym samym chciałbym podkreślić, że Golo Mann lub p. von Bismarck (który w dodatku nie jest wnukiem tzw. „Żelaznego Kanclerza”, jak „Kultura” twierdzi) mogą być bardzo szlachetnymi postaciami, niemniej są oni kiepskimi politykami, a przede wszystkim nie mają zielonego pojęcia o problematyce polsko-niemieckiej!

Łączę wyrazy poważania.

Mgr. Joachim Georg GÖRLICH, „polonolog” niemiecki

Drogi Panie Redaktorze!

Do korekty mojego artykułu w majowym numerze „Kultury” wkradł się błąd, który uszedł mojej uwadze. Na str. 15 cytuję zdanie Mannheima: „Ideologie są fikcjami umysłowymi, których funkcja polega na przysławianiu prawdziwej natury społeczeństwa. Służą one tym, którzy dążą do stabilizacji porządku społecznego”. W tekście oryginalnym pisałem dalej: „Znaczny stopień ruchomości społecznej w Związku Sowieckim sprawia, że w tym wypadku należałoby położyć nacisk na aspekt polityczny porządku społecznego”. Miałem oczywiście na myśli „social mobility”, łatwość z jaką jednostka może przejść z klasy do klasy (wysoki procent synów robotników czy chłopów na uniwersytetach itd.). W korekcie zmieniono moją „ruchomość społeczną” na lepiej po polsku brzmiący, ale nie jednoznaczny „ferment społeczny”, co pozbawia moje zdanie właściwego sensu.

Tytuł oryginalny mojego artykułu brzmiał: „Komunizm na rozdrożu”, co również nie pokrywa się całkowicie z tytułem „Bezdroża komunizmu”, pod którym ukazał się w „Kulturze”.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku i uścisk dłoni.

K. A. JELEŃSKI

Stanford, Calif., w kwietniu 1962 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Czy nie należałoby skończyć ze stosowaniem taryfy ulgowej do technicznej korekty „Kultury”? Jeśli liczne drobne omyłki literowe i w przestankowaniu irytują tylko autorów, omyłkowe umieszczanie całych wierszy musi niekiedy wprowadzać w zakłopotanie coniektórych uważniejszych czytelników.

Mało mnie pociesza fakt, że zdarza się to również w przedmowach wydawanych przez „Kulturę” książek autorów, zamieszkałych od Paryża znacznie bliżej, niż ja na Dalekim Zachodzie.

21-szy wiersz od dołu na stronie 119 marcowego numeru „Kultury” należałoby odczytać: „tów Ambasady Polskiej w ZSSR, Dowództwa Armii Polskiej” i dalej, jak wydrukowane.

Łączę najlepsze wyrazy.

W. SUKIENNICKI

Londyn, 10 maja 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Jerzy Niemojowski postanowił wyjaśnić „zdecydowane pomieszenie pojęć” panujące w moim liście z 13.11.61 r. Zapal polemiczny i chęć epatowania nie zwalniają jednak z podstawowego obowiązku jakim jest uważne przeczytanie krytykowanego listu. Jeśli p. Niemojowski to uczyni, przekona się, że napisał swoją wypowiedź pod „zdecydowanie” złym adresem.

Łączę wyrazy szacunku.

Florian SMIEJA

Genewa, dnia 15 kwietnia 1962 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Zawsze byłem ciekawy dlaczego — w tak godny pożalowania sposób — odezwały się „nożyce” Instytutu J. Piłsudskiego w Londynie w sprawie działalności p. Wł. Pobóg-Malinowskiego.

List gen. Skwarczyńskiego, który miał, jego zdaniem, wystarczyć dla zorientowania czytelników „Kultury”, mnie niczego nie wyjaśnił. Historię p. Pobóg-Malinowskiego, czytam — zdając sobie zupełnie sprawę z jej wad i zalet — nie jako książkę napisaną przez „wyrzuciela opinii ogółu Piłsudczyków” dochodzących obecnie, nie myślę się chyba, do poważnego wieku ósmego krzyżyka, ale jako książkę, z której przemawia autor.

Uchwały poważnej Instytucji nie uzasadnia się paroma wyrwanymi przykładami. Jeżeli dziś jeszcze, w 1962 roku, sądzi gen. Skwarczyński, że tworzenie O.Z.N. było realizacją chęci konsolidacji narodowej, a zadanie utworzenia B.B.W.R. „kierowniczą funkcją” i zadaniem życiowym człowieka tego pokroju co Walery Sławek, to wyjaśnia to tylko, dlaczego gen. Skwarczyński za uchwałą Instytutu głosował. Nie wyjaśnia natomiast, dlaczego nożycki się odezwały.

Łączę wyrazy szacunku.

Aleksander WASUNG

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1962

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20...	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Franciszek Socha-Paprocki, rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao Paulo. Tel.: 34.18.59.		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538		19 NF	37 NF
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; M. Król, 637 Kent Road, Winnipeg, Man.; « Zwiaskowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407.	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonz-zerstr. 7/1	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	4.- DM 5 sh. 6 d.	22 DM 31 sh.	40 DM 60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgratan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U. S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 134 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 12932 Shackelford Lane, apt. 6, Garden Grove, Cal.		1 dol.	5 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiemi lub przekazem pocztowym.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXVI

JÓZEF CZAPSKI

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

WYDANIE DRUGIE

Cena egz. 15 NF (dol. 3,25; 22/6)



TOM LXXVII

CZESŁAW MIŁOSZ

CZŁOWIEK WŚRÓD SKORPIONÓW

STUDIUM O STANISŁAWIE BRZOZOWSKIM

Cena egz. 9 NF (dol. 2,00; 13/6)



TOM LXXVIII

BERNARD SINGER

OD WITOSA DO SŁAWKA

Cena egz. 18 NF (dol. 4,00; 27/-)



TOM LXXIX

CZESŁAW MIŁOSZ

KRÓL POPIEL

I INNE WIERSZE

Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6)

